



№ 19 B

BIBLIOTEKA

IMIENIA

KLEMENTYNY TAŃSKIEJ.

TOM I.



Bucinum G. G. G.

W KRAKOWIE.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządkiem Józefa Filipowskiego.

1898.

T R E Ś Ć .

WSTĘP: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa . . .	Str. 5
---	-----------

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Czacki w Krzemieńcu.

I. Szkołka w Poryeku	33
II. Szkoła nie szkołka	47
III. Panicze i syn stolarza	65
IV. Przygody uboższego ucznia	80
V. Rozrywki, mundury, zakończenie roku szkolnego	98
VI. Sądy uczniów, wieczorki w kasynie	106
VII. Bohaterstwo obywatela	118
VIII. U schyłku dni	129

CZĘŚĆ DRUGA.

Krzemieniec po śmierci założyciela.

I. Wykroczenia, zabawy	143
II. Uczniowie szkoły krzemienieckiej	151

CIAĞ DALSZY.

III. Uczniowie szkoły krzemienieckiej	172
---	-----

WSTĘP.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.

Prawda, że lubicie czytać. Czytanie to taka miła rozrywka! Ulubiona książka, to niby dobry towarzysz, a nawet przyjaciel. Gdyby nie książka do czytania, to nie wiedzielibyście, czym zapełnić czas wolny od nauki szkolnej; szczególnie podczas słotnej jesieni, lub długich wieczorów zimowych.

A czy też wiecie, kto pierwszy u nas pomyślał o książkach dla dzieci? Komu słusznie należy się nazwa: założycielki biblioteki dla młodzieży polskiej? Oto Klementynie Tańskiej. Ona to pierwsza pisać zaczęła dla rozrywki i pożytku polskiej młodzieży, a dopiero za jej przykładem poszli inni. W ten sposób utworzyła się piękna biblioteka dla dlatwy i młodzieży polskiej.

Posłuchajcie, opowiem wam nieco o Klementynie Tańskiej, o tej prawdziwej przyjaciółce a nawet dobrodziejce polskich dzieci. Jak Klementyna Tańska kochała dzieci, poznacie z własnych jej słów, zapisanych w jej pamiętniku, a które wam tu powtórzę:

«Nad wszelki wyraz dzieci kocham, uważać je, zgadywać, co czują, czem będą, jedną jest z najmilszych rozrywek moich. Pisać dla dzieci, czytać o dzieciach, patrzeć na nie, nie sprzykrzy mi się nigdy».

Ta wasza przyjaciółka, ta wasza dobrodziejka, nazywała dzieci polskie, dziećmi swojemi; a była ona zaoną, szlachetną kobietą, o niej Eleonora Ziemięcka (także polska autorka) powiedziała:

Klementyna Tańska jest najdoskonalszym wzorem kobiety chrześcijańskiej. Późną jesienią, bo 23 listopada 1798 r. urodziła się w Warszawie, państwu Tańskim, trzecia z rzędu córeczka, której matka dała na imię Klementyna.

Tańscy byli w trudnych warunkach pieniężnych, w chwili, gdy Bóg udarował ich małą Klemunią. Chrzcziny córeczki odbyły się bez okazałości, bez skromnej nawet uczty. Do chrztu trzymali małeństwo: dziad i baba. Dawniej przecież zaliczali się Tańscy do ludzi zamożnych. Gdy Tański żenił się ze swoją żoną, panną Maryą Czempińską, córką zamożnego warszawskiego doktora, miał stałe utrzymanie jako urzędnik, prócz tego dostał od rodziców mały kapitalik. Urząd i procent od kapitału zapewniały młodej parze przyzwoite i pewne utrzymanie — pewne, o ile pewnem jest cokolwiek na ziemi: mianowicie też na ziemi polskiej w owej epoce. Rodzice Klemuni weszli w związek małżeński w r. 1791, pamiętnym z ogłoszenia konstytucyi z dnia 3 maja. Lecz po owej wiekopomnej chwili, na-

stały czasy straszne dla naszej Ojczyzny: drugi rozbiór Polski, powstanie Kościuszkowskie zakończone nieszczęśliwie, rzeź Pragi i trzeci rozbiór ukochanej Ojczyzny. Straszne dzieje okupił naród nasz potokami krwi i łez. Naród popadł w niewolę. Jedni musieli opuścić kraj i za granicą tęsknić za utraconą Ojczyzną, inni przebywali najsroźsze katusze na Syberyi, inni wreszcie zostali w kraju, potraciwszy majątki i utrzymanie. Klęski dotykające naród i Ojczyznę, dotknęły w okrutny sposób Tańskich. Rodzice Tańskiego, mieszkający na Pradze, zginęli podczas strasznej rzezi Pragi 4 listopada 1794 r. Po trzecim rozbiórze Polski, Tański utracił urząd i majątek. Nieszczęścia ukochanej Ojczyzny i nieszczęścia rodzinne, uderzające strasznym ciosem na ojca Klemuni, sprawiły, że nieszczęśliwy człowiek osiwał w przeciągu dni kilku.

Do cierpienia po stratach tak wielkich przybywał niepokój o przyszłość, o kęs chleba dla rodziny.

Z rozpaczliwego położenia wyprowadził Tańskiego dawny kolega szkolny, a serdeczny jego przyjaciel, Jan Łuszczewski, dziedzic kilku włości. Wypuścił on w dzierżawę Tańskiemu jedną ze swoich wiosek, pod bardzo przystępnymi warunkami.

Tański przyjął ofiarowaną mu dzierżawę z wdzięcznością i zaraz przesiedlił się do owej wioski zwanej Wyczułkami, odległej o sześć mil od Warszawy.

Wyczułki, to wioska mała z dworem **nie**

wiele różniącym się od wiejskiej zagrody. Dach dworku kryty był słomianą strzechą.

Jakkolwiek Tański nie sposobił się na gospodarza, przecież zabrał się ochoczo do pracy koło roli. Po przebytych nieszczęściach był zadowolony, że znalazł dach nad głową i skromny ale wystarczający kawałek chleba. Nie tak łatwo pogodziła się z nowem położeniem pani Tańska, wychowana w mieście w wygodach i dostatkach, nawykła jednak powoli do nowego trybu życia, przekonała się, że można żyć przyjemnie nawet pod słomianą strzechą. W sąsiedztwie Wyczułek mieszkali zacni ludzie, z którymi państwo Tańscy się poprzyjaźnili. Państwo Tańscy przebywali właśnie chwilowo w Warszawie, gdy Bóg obdarzył ich Klemunią.

Z kilkotygodniową córeczką powrólili do Wyczułek, gdzie przeżyła Klemunia pierwsze trzy lata życia swego. Nieszczęściem małeństwo miało niedobłą niankę, która upuściła dziecinę tak nieszczęśliwie, że wskutek tego stała się ułomna.

Gdy Klemunia skończyła trzy lata, zaszła w jej życiu ważna zmiana: Przyczyną tej zmiany byli księżstwo Czartoryscy z Puław, słynni w Polsce z tego, że zajmowali się gorąco sprawami Rzeczypospolitej, dbając o szerzenie nauki w kraju, wspierali oni ludzi uczonych, gromadzili ich na dworze w Puławach tak, że dwór w Puławach dorównywał niemal królewskiemu.

Aby przyjść w pomoc podupadłym przez rozbiór Polski rodzinom szlacheckim, założyła księżna Czartoryska w Puławach pensjonat dla

panienek. Tu otrzymywały uczennice naukę i utrzymanie bezpłatnie. Do pensjonatu w Puławach przyjęła księżna Czartoryska najstarszą siostrę Klemuni, Olesię.

Tański odwiózł sam córkę do Puław, a że był człowiekiem wykształconym, a w dodatku bardzo miłym, spodobał się tak księstwu, że ofiarowali mu urząd sekretarza. Urząd był korzystniejszy niż dzierżawa Wyczulek, to też Tański przyjął ofiarowane mu miejsce w Puławach, dokąd też niebawem przeprowadzili się Tańscy.

Klemunia z rodzicami nie pojechała, zabrały ją panie Szymanowskie do Izdebnia.

Szesnastoletnia córka starościny Szymanowskiej, panna Dorota, kochała bardzo małą Klemunię; oddawna chciała ją zabrać od rodziców i zająć się wychowaniem dziewczynki. Rodzice odmawiali dotąd, gdy jednak przyszło się przeprowadzać do Puław, a panna Dorota bardzo gorąco o Klemunię prosiła, zdobyli się wreszcie na rozłączenie z córeczką. Z małego dworku, z pod strzechy słomianej, przeniesiono małą Klemunię do pańskiej siedziby w Izdebnie.

Panna Dorota dokładała wszelkich starań, aby jej wychowanka nie tęskniła za rodzicami i siostrami. Oprowadzała ją po obszernych komnatach, biegała z dziewczynką po cieniстых ulicach ogrodu, uczyła ją pacierza. A gdy Klemunia nauczyła się modlitwy, klękała do wspólnego pacierza, odmawianego wieczorem w pokoju pani starościny. Dziewczynka chodziła także z paniami do wiejskiego kościółka na nabożeństwo. Z ko-

ściola wstępowały często do wiejskiego szpitala, utrzymywanego staraniem pani starościny.

Chorzy w szpitalu witali panie ze dworu, jak aniołów opiekuńczych, błogosławiąc i modląc się za swe dobrodziejki.

W takim to zacnym domu upływały dziecięce lata Klemuni. Gdy już małeńka podrosła nieco, panna Dorota rozpoczęła z nią naukę.

Oto mała uczenniczka siedzi na kolanach swojej nauczycielki i z mozolem, uważnie wymawia litery, wskazywane jej na elementarzu.

Po lekcjach nie zabrakło Klemuni rozrywek, obmyślała je dobra panna Dorota, nie brakło także dziewczynce odpowiedniego towarzystwa.

W domu pani starościny wychowywało się zawsze kilka sierot, z nimi też pobawić się mogła Klemunia.

Każdego lata spotykała Klemunię wielka uciecha. Rodzice z siostrami przyjeżdżali na kilka tygodni do Izdebn. Pobyt ukochanych był uroczystem świętem dla Klemuni, kochającej serdecznie rodziców i siostry; za to odjazd ich zasmucał dziewczynkę, biedactwo tęskniło zawsze czas jakiś.

Jakkolwiek pani Szymanowska i jej córka panna Dorota, kochały Klemunię, jakby najbliższą krewną, jakkolwiek otaczały ją najtroskliwszą opieką, a panna Dorota nie szczędziła trudu, ucząc ją kilka godzin dziennie, przecież dziewczynka, opływająca w dostatkach w pańskim domu, tęskniła coraz bardziej za matką i siostrami. Kilkotygodniowy pobyt pani Tańskiej

w Izdebnie, nie zaspakajał stęsknionego serca Klemuni, owszem po odjeździe matki tęsknota jej potęgowała się tak bardzo, że mizerniała i smutniała coraz więcej. Klemuni żyjącej zdala od matki, zdawało się, że jest sierotą. Czyż mogła być wesołą i swobodną? Długie godziny przepędzała w samotności w ogrodzie, marząc o ukochanej matce, przemyśliwając, w jaki sposób mogłaby połączyć się znowu z rodziną. Matka widząc potęgującą się tęsknotę Klemuni, która niekorzystnie oddziaływała na jej zdrowie, postanowiła zabrać córkę do siebie. Do zabrania Klemuni z Izdebna skłaniała panią Tańską jeszcze jedna okoliczność. Dziewczynka otrzymywała w Izdebnie staranne wychowanie i wykształcenie, ale kierunek wykształcenia nie podobał się pani Tańskiej. Klemunia uczyła się wszystkiego wyłącznie po francusku, czytywała jedynie francuskie książki. Paniom z Izdebna wydawało się, że inaczej nie można kształcić panienki. W owych bowiem czasach francuszczyzna była tak w modzie, że w zamożniejszych domach uczyły się dzieci prawie wyłącznie po francusku.

Modzie tej holdowały nawet znaczne i rozumne opiekunki Klemuni. Panie z Izdebna były takimi zwolenniczkami francuszczyzny, że czytywały wyłącznie książki francuskie, modliły się nawet z książek francuskich. Ponimo zamiłowania do francuszczyzny, panie Szymanowskie uznały, że Polka powinna znać historię ojczystą. Uczyła się jej Klemunia. Ale czy uwierzycie, historii

polskiej uczyła się po francusku. Panna Dorota z największym trudem tłómaczyła historię polską na język francuski i w tej cudzoziemskiej szacie poznawała Klemunia dzieje ojczyste. Klemunia umiała wprawdzie czytać po polsku, ale w języku ojczystym nie czytywała książek, nie ćwiczyła się również w polskim pisaniu. Jedyne ćwiczenie w języku ojczystym wymyśliła sobie dziewczynka sama. Pani Szymanowska długie godziny spędzała na modłach w kościele, Klemunia, towarzysząca staroście, nie potrafiła tak długo modlić się, wiedziała jednak, że w kościele nie godzi się myśleć o czym innym, jak o rzeczach świętych. Chcąc oddalić od siebie myśli nie święte, chcąc ustrzedz się od pokusy, tłómaczyła w myśli modlitwy z książeczki francuskiej na język polski.

Sprawiło to Klemuni wielką przyjemność. Słowa modlitwy wymawiane po polsku, brzmiały w jej duszy uroczyściej, niż w języku francuskim.

Matka Klemuni była rozumną kobietą, dobrą Polką, to też nie podobało się jej wychowanie francuskie córki, chciała zmienić je jak najprędzej na polskie.

Po nagłej śmierci męża pani Tańska mieszkała w Puławach, pobierając pensję od księstwa Czartoryskich. Dla kształcenia córek postanowiła osiąść w Warszawie. Kiedy swoje postanowienie urzeczywistniła, przyjechała do Izdebną, aby podziękować paniom Szymanow-

skim za opiekę nad Klemunią, a następnie zabrać ją z sobą do Warszawy.

Postanowienie pani Tańskiej bardzo zmartwiło opiekunki Klemuni. Kochały one tak bardzo swoją wychowankę, że nie mogły pogodzić się z myślą rozłączenia się z nią. — Ale że panie z Izdebną były zacne i rozumne, zatem zgodziły się po namyśle z żądaniem matki, uznając, że ona ma większe do swej córki prawa od nich. Klemunia pożegnawszy swoje opiekunki, odjechała z matką do Warszawy. O jakże czuła się szczęśliwą, gdy znowu pod jednym dachem zamieszkała z matką i siostrami. Szczęśliwą pomimo, że tutaj nie czekały ją ani takie dostatki, ani takie wygody, jak w pańskiej siedzibie w Izdebnie. Ale Klemuni w małych pokoikach było tak słodko, tak dobrze przy sercu ukochanej matki, obok dwóch sióstr, z którymi teraz dopiero poznała się dokładnie. Trzecia jej siostra dawniej umarła.

Z dwóch sióstr Klemuni, starsza od niej Olesia była już dorosłą panną, młodsza zaś Marynia liczyła wtedy lat ośm. Zamieszkawszy w Warszawie matka i córki musiały obliczać się bardzo, mając szczupłe dochody.

Pani i panienki zajmowały się same wszystkim, bo nie było funduszu na liczną służbę. Dorastająca Olesia i czternastoletnia Klemunia uczyły najmłodszą siostrę.

Klemunia uczyła Marynię dwóch przedmiotów: religii i historii. Do swego nowego obowiązku wzięła się z wielką gorliwością, a nau-

czenie młodszej siostrzyczki okupić musiała trudem niemalym. Jak wiemy, uczyła się wszystkiego po francusku, z książek francuskich. — Siostrzyczkę jednakże trzeba było uczyć koniecznie po polsku, dziewczynka bowiem chowająca się dotychczas u babki, nie umiała wcale po francusku. Klemunia do każdej lekcyi z siostrą przygotowywała się z wielkim mozolem, z książek francuskich robiła wyciągi po polsku i z nich dopiero uczyła siostrę.

Klemunia czytała była w Izdebnie dużo książek historycznych, podróży, powieści, co wzbogaciło jej umysł różnorodnemi wiadomościami; dlatego też uważano ją w domu za »małego Salomona« a i Klemunia sama za uczoną się uważała.

Wkrótce jednak po przybyciu do matki mały Salomon przekonał się, że daleko mu do mędrca, dlatego też zaczął pracować nad dalszem swoim wykształceniem.

W domu pani Tańskiej bywali ludzie zaci, ludzie uczeni, rozumni i kochający Polskę. Obcując z nimi, obcując z wykształconą matką, przekonała się Klemunia, że wykształcenie jej jest niedostateczne, nie знаła bowiem żadnych dzieł pisanych w języku ojczystym. Poznawszy braki w swoim wykształceniu, poczęła je uzupełniać polskiem czytaniem. Pragnęła poznać co rychlej skarby literatury ojczystej. Zamiłowanie w polskiej literaturze rozbudziła w niej matka, a największy wpływ wywarł na młodziutką panienkę wiersz Brodzińskiego pod napisem: »Żal za pol-

skim językiem«. Przeczytawszy owe wiersze wstydziła się Klemunia, że będąc Polką, nie znała dokładnie polskiej literatury, nie umiała władać pisemnie polskim językiem. I teraz oto błąd ów mimowolny naprawiała, czytając i robiąc wyciągi z poważnych autorów. Klemunia poza pracą umysłową zajmowała się i robotą ręczną.

Gdy najstarsza jej siostra miała wyjść za mąż, odłożyła szesnastoletnia podówczas Klemunia uczone książki, a pomagała szyć siostrze wyprawę.

Starsza siostra Klemuni tak o tem pisze w swoim pamiętniku:

»Tak zajęliśmy się szyciem, że w końcu sądziłam, iż z tego szycia zamienimy się w igły. Ze ja szyłam, nic dziwnego, chciałam mieć skończoną wyprawę jak najprędzej, ale Klementyna szyła, bo jest poczciwą, zacną, nieoszacowaną«.

Gdy Klementyna Tańska ukończyła lat 21, wyszło z druku pierwsze jej dzieło pod tytułem: »Pamiętka po dobrej matce przez młodą Polkę«.

W książce swojej wskazuje Tańska, jak należy wychowywać panienki. Przedewszystkiem zaleca wychowanie polskie.

Pierwsza zatem książka, którą napisała młodziutka Klementyna, była rzeczą poważną, napisaną gładko, poprawnym językiem, a zawierała myśli piękne, szlachetne, patriotyczne. To też polskie społeczeństwo przyjęło »Pamiętkę« z radością, czytało ją z zajęciem, obdarowało autorkę szacunkiem i uwielbieniem. Młoda Polka,

pracująca poważnie z zamiarem służenia swemu społeczeństwu, czyż nie zasługiwała na szacunek? Tem bardziej, że sama odebrała wykształcenie francuskie, pomimo to uznała, że wykształcenie takie jest dla Polki niewłaściwe. Klementyna rozumiała, że Polka nim pozna rzeczy cudze, powinna poznać i ukochać kraj własny i oto chwyta za pióro i wskazuje w książce swojej, jak rodzice powinni wychowywać córki, aby stały się zacnymi polskimi obywatelkami. Młodzianka autorka zasługiwała także na uznanie za wytrwałą pracę, dzięki której potrafiła otrząsnąć się z francuszczyzny i przyswoić sobie polski język do tego stopnia, że mogła pisać książki.

Z książką swoją stanęła przed czytelnikami nieśmiało, bała się nawet na niej podpisać swego nazwiska, a oto spotyka ją niespodziewane powodzenie.

Książkę jej rozchwycono tak szybko, że w krótkim czasie, bo w przeciągu dwóch lat przedrukowano ją trzy razy. Jakież wrażenie sprawiło na autorce niespodziewane powodzenie »Pamiętki«. Wrażenie swoje zapisała Klementyna w pamiętniku a ze słów tych poznać możemy piękną szlachetną duszę autorki, to też je tu w skróceniu powtórzę:

»Czyż mogłam się spodziewać — pisze Klementyna — że Pamiętka tak bardzo spodoba się publiczności. Wszyscy podziwiają moją pracę, wszyscy ją uwielbiają. Pochwały słyszę od przyjaciół i od obcych, pochwały otrzymuję drukiem i na piśmie. Czyż zasłużyłam na takie szczęście?



KLEMENTYNA TAŃSKA.

Zdaje mi się, że Bóg nie moje lecz rodzicielskie cnoty we mnie nagradza. Bogu winnam wszystko, Jemu też składam dzięki. Bóg opiekuje się mną od dzieciństwa, powierzył mnie ludziom zacnym, którzy zaszczytli w duszy mojej zasady wiary i cnoty. Jemu winna jestem przyjaźń uczonych. On uczynił mnie zdatną do skreślenia na papierze tego, co wlał w serce. Radość matki mojej jest bez granic, radość jej miłą mi jest nad wszystkie pochwały, zdrowie nawet ukochanej matki polepszyło się od czasu mego autorskiego powodzenia.

Jakżem szczęśliwa! Dziełko moje jest użyteczne. Z poważnych ust usłyszałam, że po przeczytaniu rad moich, czuje każdy podwójną w sobie chęć do cnoty i pracuje nad tem, żeby lepszym został. Z własnej pracy utrzymać się mogę, nie jestem już ciężarem matce. Jest za co dziękować Bogu. Jemu winna jestem szczęście moje«.

Ze słów powyższych przekonujemy się, że niespodziewane powodzenie nie wbiło w pychę młodej autorki. Owszem przepelniona radością, nie przyznaje sobie żadnej zasługi. Bogu i wychowawcom przypisuje powodzenie swoje, dla nich też w sercu autorki potęguje się uczucie wdzięczności i czci. Kochającej córce radość matki miłą była nad pochwały i uznanie czytelników. Sobie nie przypisuje Klementyna żadnej zasługi, a przecież zasługę miała wielką. Młoda Polka przestraszyła się francuskiego wychowania dla polskich kobiet i dlatego w książce swojej zaleca zaślepionemu francuszczyzną spo-

leczeństwu wychowanie polskie. To też rozumni, dobrzy polscy patryoci uradowali się książką napisaną w duchu polskim i otoczyli szacunkiem autorke.

Młoda autorka zachęcona powodzeniem, zabiera się znowu do pracy bardzo poważnej, oto do napisania dzieła, w którym postanowiła wyjaśnić młodzieży naukę religii. Poważnemu przedsięwzięciu przyklasnęły panie z Izdebną.

Jakkolwiek Klementyna przestała być wychowanką pań Szymanowskich, to przecież serdeczny stosunek z niemi utrzymywała ciągle. Klementyna odwiedzała swoje dawne opiekunki, przebywała w Izdebnie czasami po kilka tygodni. Panie z Izdebną cieszyły się powodzeniem autorskiem swojej wychowanki, nauczyły się od niej czytywać książki polskie.

A oto teraz Klementyna układa razem z dawniejszą panną Dorotą, dziś mężatką, plan do nowego dzieła, z którego mają dzieci polskie nauczyć się poznawać Boga, nauczyć się wielbić i kochać Stwórcę świata. Sędziwa pani Szymanowska obiecuje Klementynie pomoc, obiecuje zrobić wyciągi z dzieł francuskich treści religijnej.

Klementyna ułożywszy plan poważnej pracy, przygotowuje się do niej czytaniem dzieł treści religijnej. Rozpoczynając pisać nowe dzieło, obawia się, czy nie zabrała się do pracy nad siły, czy potrafi wywiązać się należycie z trudnego zadania.

»Jeżeli zamiar mój się nie powiedzie, pisze

w swoim pamiętniku, to i tak nie pożałuję pracy mojej, rozczytując się w dziełach treści poważnej, odniosę niezaprzeczoną korzyść, wzbogacę duszę moją, korzyść, której mi sama śmierć nie odejmie».

Chodźmy spojrzeć na autorkę, pracującą gorliwie nad nowem dziełem.

W szczupłym mieszkaniu matki nie miała Klementyna osobnego pokoju. Zrobiono jej pracownię w sypialnym pokoju w ten sposób, że stoliczek, przy którym pracowała, otoczono dwoma parawanami. Przez ściany parawanu dochodziły do pracowni rozmowy, prowadzone w domu, pomimo to Klementyna cieszyła się swoim kącikiem, do którego nikt nie wchodził, gdy tam pracowała.

My przez szparkę w parawanie spojrzymy na młodą autorkę. Na jej szlachetnej, rozumnej twarzy, widnieje zaduma głęboka, to znowu tkliwość i rozrzewnienie. Twarz ta naprzemian blade lub pokrywa się rumieńcem. Klementyna czyta z książek rozłożonych na stole lub pisze. Lecz oto musi przerwać pisanie, bo do oczu napłynęły łzy i zasłoniły jej litery.

Jakiż jest powód tych łez?

Odpowiedź znajdujemy w pamiętniku Klementyny:

»Praca moja najslodszych uczuć dla mnie jest źródłem, wśród pisania tak się często dusza moja uniesie, że zdaje mi się, że jestem już w lepszym świecie. To ciągle zajęcie jednym i tak ważnym przedmiotem, ulepsza mnie, podwyższa;

zamknięta w moim gabinecie, zapominam o wszystkim. Boga tylko widzę i często nie spostrzegę się, kiedy lzy słodkie zasuną mi oczy i przerwą pisanie. Ach! w tych chwilach cała ziemia przedemną znika, w tych chwilach jestem szczęśliwa!»

Pracy swojej pisanej w takim nabożnym nastroju ducha, dała autorka tytuł: »Amelia matką«.

Klementyna Tańska napisawszy dziełko o wychowaniu, następnie o nauczaniu religii, zabrała się do pisania książek dla dzieci. Polskimi książkami pragnęła zastąpić książki francuskie.

»Cóż dziwnego, że dzieci polskie czytają książki francuskie«, pisze Klementyna w swoim pamiętniku, »kiedy książek polskich nie mają«.

Wkrótce też myśl swoją zamienia autorka w czyn. Pisze pierwszą książkę pod tytułem: »Wiązanie Helenki«. W książeczce tej mieści się nauka czytania i szereg drobnych, nauczających powiastek. Książeczkę ową napisała Klementyna Tańska na wiązanie dla swojej siostrzenicy, Helenki i dlatego dała jej ten tytuł.

Z »Wiązania Helenki« uczyło się czytać, uczyło się grzeczności i cnoty, tysiące dzieci. Książeczkę ową dwadzieścia razy przedrukowano, bo tak się szybko rozchodziła.

Aby dzieci, nauczywszy się czytać na »Wiązaniu Helenki« miały książki do czytania, pisze Klementyna piękne powiastki dla dzieci, wreszcie wydaje dla nich pismo noszące nazwę:

»Rozrywki«. »Rozrywki« wychodziły raz na miesiąc w formie grubej książki i zawierały w sobie wiadomości o znakomitych polskich ludziach, opisy różnych okolic rodzinnego kraju, opowiadania i opowieści historyczne.

W »Rozrywkach« znajdowały się także powiastki, mniejsze lub większe wierszyki, słowem wszystko, co w sercach młodych czytelników miało wzbudzić miłość Boga, kraju i miłość enoty.

Na pożyteczną pracę młodej autorki, zwrócił uwagę rząd. W czasach owych Warszawa cieszyła się polskimi rządami, wprawdzie nie istniało już Księstwo Warszawskie, utworzone przez Napoleona. Nie stało go, gdy jego twórca dotknięty klęską w wojnie, utracił francuską koronę i jako jeńiec umarł na wygnaniu.

Po upadku Napoleona zwołano zjazd do Wiednia w r. 1815, w celu ustalenia pokoju w Europie. Zjazd ów nazwano kongresem wiedeńskim. Owóż na kongresie wiedeńskim utworzono Królestwo Polskie, zwane także Kongresówką. Królestwo połączono z Rosją, a rosyjski car Aleksander I. miał być zarazem królem polskim.

Rządy w Królestwie sprawowali Polacy. To też nie dziwnego, że zwrócili uwagę na młodą, rozumną i szlachetną autorkę. Komisya oświecenia uprosiła 26-letnią Klementynę, aby objęła urząd eforki. Obowiązkiem eforki był dozór nad pensyonatami żeńskimi. A gdy w rok później założono w Warszawie instytut guwernantek,

wezvano Tańską na profesorkę w nowej szkole, gdzie wykładała naukę obyczajów.

W tak różnorodny sposób służyła Klementyna Tańska krajowi. Wkrótce potem wyszła za mąż za Karola Hoffmana. Wyszędłszy za mąż nie przestała urzędować w instytucie guwernantek, nie przestała pisywać. Umiała wszystkie obowiązki pogodzić ze sobą.

Pracowite, użyteczne życie Klementyny z Tańskich Hoffmanowej upływało szczęśliwie wśród kochającej ją rodziny, wśród szanującego ją społeczeństwa. Ale i w jej szczęśliwym życiu nie brakło ciężkich, dotkliwych bólów. Straciła matkę, a w kilka lat później ukochaną siostrę Maryę. Prócz nieszczęść rodzinnych spotkały panią Hoffmanową nieszczęścia, dotykające naszą Ojczyznę, jęczącą pod jarzmem ucisku. Car Aleksander a po jego śmierci Mikołaj wybrali sobie odpowiednie narzędzie do ciemienia Polaków; narzędziem tem był brat carów, wielki książę Konstanty, który jako naczelnik wojska polskiego mieszkał w Warszawie.

Ten pastwił się tak okrutnie nad Polakami, że wojsko i naród doprowadzone do ostateczności ciemnictwem Konstantego, chwyciło za broń d. 29 listopada 1830 r., by wypędzić Moskali z Warszawy. Wtedy polskie niewiasty zabrały się do dzieła. Pierwszą między niemi była Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Dnia 29 grudnia założyła ona: Związek dobroczynności Warszawianek, w celu niesienia pomocy powstańcom.

Słuchając huku dział, szczęku oręża, wiedząc, że synowie, ojcowie lub bracia narażają życie w bohaterskiej walce, krzątały się, aby dla walczących przysposobić posiłek, aby ran- nym przygotować miejsce, gdzieby znaleźli od- poczynek, pomoc i opiekę.

Powstanie listopadowe, rozpoczęte w War- szawie, rozszerzyło się po wszystkich ziemiach Polski, zostających pod zaborem rosyjskim, tj.: na Litwie, Żmudzi, Wołyniu i Podolu. Jednak pomimo nadludzkich wysiłków upadło. Rząd mo- skiewski stłumiwszy powstanie, począł nieszczę- śliwy naród prześladować w najokropniejszy sposób.

Aby uniknąć prześladowania, wiele osób opuszczało kraj rodzinny. Pomiędzy nimi znajdo- wali się także państwo Hoffmanowie. Zasłużoną autorkę, znaną obywatelkę, żegnały Warsza- wianki z wielkim żalem i ofiarowały odjeżdżającej piękny złoty pierścion. Klementyna Hoffmanowa opuszczała ukochaną Ojczyznę z serdecznym ża- lem, a na obczyźnie tęskniąc za krajem, bolejąc nad niedolą, w pracy szukała lekarstwa na cier- pienia.

Pisywała ciągle, a pracę autorską często odkładała, aby zająć się domem. W kraju żyła nasza autorka w dostatkach, od czasu gdy za- częła pobierać znaczną pensję za urzędowanie w instytucie guwernantek, poza tem miała także znaczny dochód ze swoich dzieł. Po wyjeździe z kraju fundusze państwa Hoffmanów pomniej- szyły się znacznie, to też znakomita autorka mu-

siała zajmować się najzwyklejszymi gospodarstwiemi robotami. Szczupłe dochody nie pozwalały na przyjęcie służącej. Niedolę swoją znosiła zacna kobieta bez skargi. Wkrótce choroba powiększyła jeszcze jej utrapienia. Hoffmanowa poddała się bolesnej operacji, którą zniosła z prawdziwem męstwem. Znękana tęsknotą za krajem i ciężką chorobą, umarła Klementyna Hoffmanowa w Paryżu w 1845 r. Zwłoki czciwej autorki spoczywają na cmentarzu zwanym Perè Lachaise.

Życie Klementyny z Tańskich Hoffmanowej zacne, pracowite, użyteczne, pozostanie na zawsze wzorem dla kobiet uczciwych. Była ona bowiem wzorową córką, kochającą siostrą, dobrą żoną, zacną obywatelką; służyła czynem i piórem Ojczyźnie.

Nasz nieśmiertelny wieszcz, Adam Mickiewicz, powiedział:

»W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę«.

Klementyna Hoffmanowa poza tem, że napisała ksiąg wiele, przeżyła dobrze nie dzień jeden, ale wszystkie dni swego życia. Żyła dobrze, zacie, usiłowała stać się pożyteczną swemu społeczeństwu.

Wspomnienie o zasłużonej naszej autorce zakończę własnymi jej słowy:

»Ludzie cnotliwi podwójnem życiem na tej ziemi żyją, żyją krótko, ale dzielnie, żyją przez to dobro, które sami przez siebie bezpośrednio

czynią; żyją wieki tem dobrem, do którego zachęca, pobudza».

Słowa powyższe stosują się także do Klementyny Tańskiej. Żyje ona wśród nas tem dobrem, które przez całe życie pełniła, i tem dobrem, do którego pobudziła i zachęciła drugih. Czyż zatem nie zasłużyła sobie na uczczenie w stuletnią rocznicę urodzin, przypadającą właśnie w tym roku.

Miłość i wdzięczność dla Klementyny Tańskiej przechowuje się w sercach polskiego społeczeństwa. Wie o tem Wydział Stowarzyszenia nauczycielek, to też sądzi, że dogodzi potrzebie serc szanujących pamięć Klementyny Tańskiej, obchodząc uroczystie setną rocznicę jej urodzin.

Uroczysty obchód rozpoczyna Wydział Stowarzyszenia nauczycielek wydaniem książki dla młodzieży, która stanowi pierwszy tom »Biblioteczki imienia Klementyny Tańskiej«. Ponieważ Klementyna Tańska w pismach swoich przede wszystkim starała się młodych czytelników zaznajomić z rzeczami ojczystemi, zatem Wydział Stowarzyszenia nauczycielek uważa, że najlepiej uczci zmarłą Autorkę, idąc za jej przykładem i darząc młodzież książką treści historycznej.

Przeszłość nasza dziejowa jest naszym skarbem, w którym znajdujemy skarby cnót obywatelskich, przykłady miłości Boga i Ojczyzny. W naszym skarbcu znajdujemy także przestrożę i naukę, która posłuży nam jako wskazówka życia.

Z naszego skarbca dobyłam jeden piękny klejnot i oto ukazuję go oczom polskiej młodzieży. Patrzcie i uczcie się miłować Ojczyznę i służyć jej tak, jak to robili ludzie, z którymi zaznajomi was niniejsza książeczka.

Kraków 20 marca 1898 r.

Mieczysława Ślęczkowska.

Z NASZEGO SKARBKA

OBRAZEK Z ŻYCIA SZKOLNEGO

NAPISAŁA

MIECZYŚŁAWA ŚLECZKOWSKA.



W KRAKOWIE

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

1898.

NAKŁADEM KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA NAUCZYCIELEK.

CZĘŚĆ I.

CZACKI W KRZEMIĘNCU.

Światła a światła! lzy nasze błądły.
Światła a światła! wołał naród cały;
I zesłał promień Bóg na lud sarmacki
Zajaśniał Czacki.

Adam Mickiewicz.

I.

Szkółka w Porycku *).

Pan Szczęsny Czacki, podczaszy koronny wyszedłszy ze dworu, rozglądał się dokoła. Naraz posłyszał głos dzwonka. Co znaczy to dzwonienie o niezwykłej porze? pomyślał. Nim jednak zdołał zdać sobie sprawę z posłyszanego dzwonięcia, aliści co innego zwróciło jego uwagę. Z mieszkań dworzan poryckich wybiegała dziatwa z książkami lub innymi przyborami do nauki i spieszyła ku miasteczku, z którego odzywało się głosem piskliwym: dzieńdzielaj! dzieńdzielaj! dzieńdzielaj!

Dokąd te dzieci biegą? przemknęło pytanie po głowie pana podczaszego. Biegą z książkami, jakby do szkoły, a wszakże w Porycku jej niema, myślał i szedł za biegącą dziatwą, której przybywało w miarę przybliżania się do miasteczka. Z małych bowiem domków wybie-

*) Poryck miasteczko na Wołyniu; tu urodził się Tadeusz Czacki 28 sierpnia 1765 r., umarł w Dubnie 8 lutego 1813 r.

gały dzieci i szły wszystkie w jedną stronę, za głosem dzwonka.

— Hej! a dokąd biegniecie? — zapytał pan podczaszy dzieci, które go właśnie mijały.

— Do szkoły! — ozwało się naraz głosów kilka.

— Do szkoły? — powtórzył pan podczaszy tonem zadziwienia. — A któż to szkółkę w Porycku założył?

Dzieci na to pytanie odpowiedziały w pierwszej chwili śmiechem jedynie, po chwili jedna z dziewczynek, pytaniem na pytanie odpowiedziała.

— A czy to pan dziedzic nie wie, kto dla nas szkółkę założył?

— Ależ nie wiem! — odpowiedział pan podczaszy, a, w głosie jego brzmiało zniecierpliwienie.

— Nasz panicz szkółkę dla nas założył! — zawołał jakiś chłopczyk z gromadki.

— Który panicz? — pytał coraz bardziej zdziwiony podczaszy.

— Nasz kochany panicz! Panicz Tadeuszek! — ozwało się głosów kilka, poczem cała gromadka zwróciła się spiesznie ku miasteczku, jakby wynagradzając sobie czas stracony na rozmowie z panem dziedzicem.

Pan dziedzic tymczasem stał jak osłupiały, tak silne wrażenie zrobiła na nim posłyszana odpowiedź. Jego syn, dzieciak, lat dwanaście zaledwie liczący, zakłada szkółkę w miasteczku, zajmuje się poważnymi sprawami, jak człowiek

dorosły, a jego własny ojciec nic o tem nie wie. Zdziwiło to pana podczaszego w pierwszej chwili tak bardzo, że stał w miejscu jak wryty. Po chwili zdziwienie na poważnej twarzy ustąpiło rozrzwienieniu. Po krótkim namyśle podążył za dziećmi. Snać chciał własnymi oczami oglądać dzieło syna swego. Nie chcąc stracić z oczów szybko oddalających się dzieci, szedł za nimi pospiesznie, to też zmęczył się, nim doszedł do domku, stojącego na uboczu, do którego zbiegały się dzieci ze wszystkich stron miasteczka.

Pan podczaszy stanął przed domem, aby odpocząć, tymczasem wzrok jego biegł przez otwarte okno do wnętrza domu.

W obszernej izbie ujrzał zebraną dziatwę, siedzącą nad książkami. Wśród dzieci przechodził się mężczyzna średniego wieku, przyodziany w kontusz. Zachęcał malców do uwagi i pilności; ruchliwszych uciszał czarodziejskiem słowem: »Powiem paniczowi!« Słowa powyższe wywierały tu skutek cudowny. Ruchliwi stawali się spokojnymi, nieuważni uważnymi, leniwi pilnymi.

Wtem od strony dziedzińca dało się słyszeć lekkie stuknięcie do drzwi szkółki i ukazał się w nich dwunastoletni chłopczyzna, o jasnym, pogodnym czole, spoglądający rozumnie i dobrotliwie dokoła. Na widok wchodzącego rozjaśniły się oblicza zebranej w szkole dziatwy i rozjaśniło się oblicze nauczyciela. Witano małego przybysza oznakami radości i poszanowania. Chłopczyk pozdrowiwszy życzliwie nauczyciela i dzieci, pytał:

— Czy nie będę przeszkadzał?

— Nigdy nam Panicz nie przeszkadza, prosimy! prosimy! — odpowiedział, kłaniając się nauczyciel.

— Przyszedłem zapytać o postępy dzieci — rzekł Tadeuszek.

Nauczyciel wskazywał pilne, wytrwale pracujące, wskazywał te dzieci, które od ostatniej bytności Panicza, znacznie się poprawiły. Pochwały nauczyciela wywoływały rumieniec na uradowanych twarzach dzieci, uradowanie spotęgowało się jeszcze, bo dla pilnych, dla wytrwale pracujących, dla poprawiających się dzieci, znalazła się w rękach dobrego panicza nagroda. Obdarowywał dzieci obrazkami, jabłkami, lub innymi przysmakami, odjętymi od ust własnych. Tych, co na pochwałę lub nagrodę nie zasłużyli, a którzy w tej chwili stali zawstydzeni, zachęcał panicz do nauki i grzeczności, dobrem, przyjacielskim słowem. Porozmawiawszy chwilkę z nauczycielem, pożegnał wszystkich życzliwie, wybiegł szybko przed dom i spotkał się niespodziewanie oko w oko z ojcem. Na ten widok stanął. Na twarzy jego odmalowało się takie uczucie, jakie widnieje u dzieci pochwyconych na gorącym uczynku.

Zakłopotanie Tadeuszka rozweseliło ojca, rozrzewnionego przed chwilą pocziwym czynem syna, to też tonem żartobliwym rzekł:

— Przypadkiem dowiedziałem się, że mój syn założył szkółkę, lecz widocznie nie ma on

zaufania do ojca, skoro z nim o swoich zamiarach i czynach nie mówi.

Jakkolwiek w głosie pana podczaszego nie było ni cienia wymówki, owszem brzmiała w nim nuta wesoła, jednak słowa ojcowskie zakłopotwały więcej jeszcze Tadeuszka.

— Ależ! gdzież znowu! — wydobyło się zaprzeczenie z ust chłopca.

— Czyn wymowniejszy jest od słów — mówił ojciec tym samym żartobliwym tonem.

— Och tatku! nie dlatego nic ci nie mówiłem, żebym zaufania nie miał, lecz...

— Lecz dlaczego? — pytał ojciec, widząc, że chłopcu nie dopisuje wymowa.

Tadeuszek naleganiem ojca, jakby do muru przyparty, wahał się chwilę z odpowiedzią, wreszcie rzekł, szeptem prawie, ze spuszczonej oczami;

— Ksiądz profesor Grodzicki powtarza mi często to, czego uczyłem się w katechizmie: »Niech nie wie lewica, co robi prawica«.

— No, to pięknie, bardzo pięknie; skoro nauki profesora tkwią w pamięci i sercu mego syna. Ale snać nie pomyślałeś o tem, że ojciec może jest bliższym jeszcze niż lewica prawicy — mówił wzruszonym głosem pan podczaszy, przy-ciskając do piersi ukochanego syna.

Tadeuszek tuląc się do piersi ojcowskiej czuł, że ona mu jest najbliższą i najdroższą, nie powiedział jednak tego, lecz podnosząc na ojca oczy, z których widniało wzruszenie, zapytał:

— Czy tylko tatku nie masz naprawdę do

mnie żalu, że nic ci o szkółce mojej nie powiedziałem?

— Ależ chłopcze! — zaprzeczył ojciec — czy nie domyślasz się, że żartowałem. Powiniennem ci raczej podziękować, żeś mnie wyręczył. Mając na głowie spraw tyle, nie pomyślałem dotąd o szkółce w Porycku.

Pan podczaszy mówiąc te słowa, gładził rozumną główkę swego poczciwego chłopca, rozradowanego w tej chwili słowami ojca. Z rozrzwinięciem serdecznem pochwycił Tadeuszek żywo rękę ojcowską, spoczywającą na jego głowie, zsunął tę drogą rękę do ust swoich i okrywał ją pocałunkami.

— O jak to dobrze! — mówił po chwili — że tatku nie gniewasz się na mnie.

— Oj Tadeuszkule, Tadeuszkule!, postępujesz jak mąż dojrzały, a myślisz jak dziecko! Czyż mógłbym gniewać się na ciebie w chwili, gdy czynem poczciwym sprawiasz mi radość niewymowną. Czyn twój piękny budzi we mnie słodką nadzieję, że wyrośniesz na pożytek i chlubę naszej biednej ojczyzny.

Tadzio słuchając słów ojca, promieniał szczęściem.

— No, a teraz chodźmy do domu — mówił pan podczaszy. — Pójdziemy tędy, polami, opowiedz mi, skąd przyszła ci myśl założenia szkółki w Porycku.

Tadeuszek opanowawszy wzruszenie, jakie ogarnęło go w chwili odebranej pochwały, mówił dzwięcznym głosem:

— Słyszałem tyle razy z ust twoich tatku i z ust twoich poważnych gości, że w naszej ojczyźnie nauka za mało jest rozpowszechniona, że byłoby u nas lepiej, gdybyśmy mieli światłych obywateli. Z własnego doświadczenia wiem, że nauka i książki przynoszą pożytek i przyjemność. Tych korzyści dzieci naszych dworzan nie doznają, nie doznają ich także dzieci ubogich mieszkańców Porycka. Rozmawiam często z dziećmi w miasteczku i przekonuję się, że nie mają pojęcia ani o Bogu, ani o bożym świecie. Pomyślałem, że z tych dzieci wyrosną ciemni ludzie na szkodę ojczyzny. Chcąc temu zapobiedz, założyłem szkółkę.

Pan podczas słuchając syna ruchem głowy wyrażał swoje zadowolenie, a na ostatnie jego słowa odezwał się:

— Ale na założenie szkółki trzeba pieniędzy.

— Dzięki szczodrośliwości ojca miałem ich dosyć — odpowiedział Tadeuszek.

— Tak. Dawałem ci pieniądze na twoje osobiste przyjemności — wtrącił ojciec — i o ile wiem, używałaś ich dawniej na ulubione przysmaki.

Tadeuszek słuchał ojca w milczeniu. Zakłopotanie zamykało mu znowu usta, skromność nie pozwalała mu powiedzieć, że wyrzekł się przysmaków i innych przyjemności, bo potrzebował pieniędzy na utrzymanie szkółki dla ubogiej diatwy w Porycku.

Ojciec zrozumiał milczenie syna, oszczędza-

jąc mu słów, których skromność nie pozwalała wyrzec, mówił:

— Poczeiwe z ciebie dziecko, kosztem własnej przyjemności służyłeś drugim.

— Nie jest to znowu tak wielka ofiara z mojej strony — bronił się dobry chłopczyzna — bo na naszym stole nie brakuje przysmaków.

— Które zjadają pilne dzieci w szkółce — mówił ojciec, uśmiechając się pod wąsem.

Tadeuszek znowu zapłonał rumieńcem, zamiast odpowiedzi. Nie czekał na nią ojciec lecz pytał:

— A gdzie znalazłeś nauczyciela?

— Z wyszukaniem nauczyciela miałem największą trudność, lecz i tu Bóg mi dopomógł. Raz w kościele ujrzałem ubogo odzianego człowieka, modlącego się na książce łacińskiej, domyśliłem się, że ubogi i uczony. Zaprosiłem go do siebie i zgodziliśmy się. On za zapłatę podjął się uczyć dzieci i wyszukał w miasteczku stosowne mieszkanie. Działwa chętnie do szkoły chodzi i robi znaczne postępy*).

— Przekonałem się o tem naocznie, bo pod oknem twojej szkółki przysłuchiwałem się nauce. Widziałem także, że cię tam kochają i szanują; i słusznie! zasłużyłeś na jedno i drugie. A w sercu ojcowskiem do miłości przyłączyło się poszanowanie, dla dwunastoletniego syna, który w zaraniu życia stara się być pożytecznym dla drugich.

*) Nauczyciel w Porycku, wyszukany przez Tadeuszka, nazywał się Franciszek Świątkowski.

Tadeuszek w odpowiedzi całował rękę ojcowską, pomyślał, że ta chwila wynagrodziła mu sowiec przykrości, jakich doznawał, odmawiając sobie przysmaków. Nie powiedział jednak tego, bo wzruszenie zamykało chłopcu usta.

Od tego czasu oko ojcowskie częściej spoczywało na twarzy dobrego dziecka, a spojrzenie to wyrażało tklivość niewysłowioną. Spoglądając uważnie na syna, dostrzegał pan podczasy, że Tadeuszek bywał czasami smutnie zamyślony.

— Jakaż tam troska dolega memu synowi — pytał w takim razie. — Może tam w szkółce dzieci źle się sprawują?

— Ej, nie! w szkółce idzie wszystko doskonale.

— Więc może nie powiodła ci się jaka lekcya? — badał ojciec dalej, spoglądając na księdza profesora Grodzickiego.

— To się na Tadeuszkę nie pokaże — odpowiadał ksiądz Grodzicki. — Uczeń mój przykłada się do nauki pilnie i wytrwale, a jeżeli mi się kiedy na niego gniewać wypada, to o zbytek pilności. Muszę go nieraz odrywać od książki. Nie dosyć, że oczy wysiła przy nauce, jeszcze chciałby cały czas rekreacyi przesiedzieć nad czytaniem książek. Od książki odpędzać muszę panicza, bacząc na jego wzrok krótki.

— Wszystko w miarę synu kochany! trzeba wzrok szanować, a i ruch na świeżem powietrzu dla zdrowia konieczny — upominał łagodnie syna pan podczasy. — No, ale powiedz chłopcze, czegoś mi tak posmutniał?

— Mnie dzięki Bogu nic nie dolega, ale...

— No, mów śmiało, jakież to ale — pytał ojciec, a spoglądał na syna okiem pełnem miłości. — Spojrzenie ojcowskie ośmielało Tadeuszka, to też otwierały się usta chłopca i opowiadać jęły o jakiejś cudzej niedoli, której jednak serce dobrego dziecka zaradzić nie umiało skutecznie, więc do łaski ojcowskiej wymownie za biedakami przemawia:

W licznych dobrach, należących do ojca Tadeuszka, wydarzały się często nieszczęścia: W jednej włości ogień pozbawił mienia biedaków, w innej choroba ojca rodziny sprowadziła nędzę i głód, gdzieindziej padła krowa lub koń okaleczał, to znowu popadł ktoś w niedostatek wskutek niedoleżnej starości lub kalectwa.

Ojciec słuchał uważnie wymownych słów syna, i zauważył, że mu w obronie własnej wymowa nie dopisuje, gdy jednak chodzi o cudzą sprawę, to słów przekonywujących nie braknie w ustach poczciwego chłopczyny.

— No i po cóż to kłopot się cudzą niedolą! trzeba było powiedzieć mi zaraz — odzywał się ojciec, wysłuchawszy syna. — Wglądnę ja w te sprawy i jakoś się złemu zaradzi; bądź tylko dobrej myśli! No, idź już teraz, i baw się swobodnie, a oczu mi zbytnio nad książkami nie wyteżaj.

Chłopczyk uradowany dobrocią ojcowską, bawił się wesoło i swobodnie tak długo, póki mu znowu jakie cudze nieszczęście nie zamąciło dziecięcej swobody. A zdarzało się to często!

Biedni ludziska nie śmiejący sami udawać się do pana dziedzica z prośbą o poratowanie, czyhali na dobrego panicza, który każdego biedaka wysłuchał uważnie, dobrem słowem pocieszył, i wstawić się do ojca przyobiecał.

Kochano też i szanowano Tadeuszka!

— »Dał nam go Bóg na pociechę w naszych strapieniach« — mawiali ludzie, gdy ujrzeli panicza biegającego po polach lub ogrodzie. — »Opatrzność Boska nam go zesłała!« — powiadali jedni do drugich. — »Nasz orędownik«. — »Dobrodziej naszych dzieci!« Opływa w dostatkach, nie zna co to bieda, a jednak odczuwa ludzką niedolę! Inni panicze to i nie spojrzą na ubogiego człowieka, dumni patrzą z góry na biednych ludzi i nie troszczą się ich dolą. Nasz inny! jedyny! gdy zjawi się, to człowiekowi robi się tak miło, jak wtedy, gdy błysnie jasne słońko wśród dnia pochmurnego! Dziecko to, istny promień Boży, zesłany na ziemię na pociechę ludzką!



TADEUSZ CZACKI.

II.

Szkoła nie szkółka.

Dnia 1-go października roku Pańskiego 1805 huknęło sto paszcz spiżowych, poczem dzwony wszystkich kościołów w Krzemieńcu głosem poważnym i uroczystym zwoływały ludność miasteczka do świątyni bożej. Gdyby nawet kto dnia tego spał najtwardziej, toć zbudziłyby go huki armatnie. Jednak w dniu tym pamiętnym wszystko, co żyło w Krzemieńcu, zerwało się z posłania z dnia brzaskiem, a było tu ludzi niemało! Prócz stałych mieszkańców miasteczka, najeżdżało się mnóstwo obywatelstwa z okolicy, a nawet przybyli goście ze stron dalszych, bo aż z Warszawy i Wilna, przyjechał dostojnik duchowny, ksiądz biskup Cieciszewski z Łucka i sam gubernator Wołynia, książę Wołkoński.

O dostojnych gościach ze stron blizkich i dalekich, wiedzieli mieszkańcy miasteczka, ciekawi ich też byli oglądać, a trafiała się do tego dobra sposobność. Huk armat i dźwięk dzwonów zapraszał na nabożeństwo, na którym będą

goście ze stron dalekich. Po modlitwie będzie można im się napatrzeć.

Mieszkańcy małej mieściny nie miewali dotąd gości tak dostojnych! cóż zatem dziwnego, że ich widzieć pragną.

Spieszą też ze stron wszystkich na uroczyste nabożeństwo. Dziś jednak tłumów pobożnych obszerny kościół pomieścić nie może, to też ci co przyszedli później, z wielkim żalem muszą pozostać na cmentarzu, pocieszając się nadzieją, że dostojnych gości ujrzą po nabożeństwie przy wychodnem.

Tymczasem ci, którzy dostali się do kościoła, wysłuchali najpierw mszy świętej, którą odprawił ksiądz biskup, potem pięknego kazania, wypowiedzianego przez księdza Bożydara Podhorodeńskiego.

Pięknemi słowy opowiadał kapłan o potrzebie łączenia religii z nauką. Potrzebie tej zaradzając — mówił — otworzono, staraniem ludzi dobrej woli, szkołę w Krzemieńcu, a otwarcie jej jest dla nas świętem, które rozpoczynamy uroczystem nabożeństwem.

Mądrych, ozdobnych słów słuchano w kościele pilnie i uważnie. Do tych, którzy modlili się najgoręcej, rozglądali się najciekawiej i słuchali najuważniej, należał chłopak 12-letni może, który w kościele po modlitwie zamienił się w słuch i zwrok. Wspiął się na palcach, wyciągnął długą, cienką szyję, podniósł głowę i wodził ciekawym wzrokiem po obywatelstwie, które zajęło miejsca w stalach przed wielkim ołtarzem.

To znowu przyglądał się dziatwie, zapisanej do nowo otwierającej się szkoły, a stojącej w środku kościoła. Od czasu do czasu zwracał się do otyłego mieszczanina, trącał go łokciem i pytał:

— A kto to tatulu ten pan lub ta pani?

— A Bóg ich tam raczy znać — odpowiadał, ruszając ramionami — a czy to państwo takie znać może ubogi stolarz z Krzemieńca?

Rozmowę ojca z synem zasłyszał stojący obok w szarej kapocie, wysoki, chudy mężczyzna, bo zwracając się do chłopca rzekł:

— Skoroś ciekawy, to patrz a słuchaj, pokażę ci najdostojniejszych gości. Tam po prawej stronie ołtarza na miejscu honorowem, zasiadł gubernator Wołynia, Wołkoński. Tam, trochę dalej, to panowie z Warszawy, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, obok nich panowie profesorowie z Wilna.

Poczem chciał wymienić nazwiska znacznie-szych obywateli okolicznych, ale umilkł nagle, bo zabrał głos Tadeusz Czacki, założyciel szkoły w Krzemieńcu.

— Patrz i słuchaj! bo oto przemawiać będzie mąż wielkiego serca i wielkiej nauki.

W kościele zapanowała cisza, wśród której słyhać było każde słowo, wymawiane dźwięcznie, wyraźnie.

Tadeusz Czacki witał w przybytku Bożym zebranych, którzy dzień otwarcia szkoły obchodzą jako radosne święto. Rzadko trafia się taka ważna i przyjemna dla wszystkich uroczystość, jaką jest dzisiejsza — mówił Czacki. — Oto ro-

dzice składają trwałe ofiary dla szczęścia potomków. Młodzież uznaje dzień dzisiejszy za święto nadziei dla siebie. Rodzi się w ich sercach uczucie wdzięczności dla wychowawców. Nauczyciele zapisani do tej szkoły cieszą się, iż Bóg pozwolił im pracować dla ojczyzny. Szanowne duchowieństwo zasyła modły do Pana o błogosławieństwo dla młodzieży i profesorów, aby razem, całemi siłami pracowali nad udoskonaleniem własnem, ku pożytkowi ogólnemu.

A komu zawdzięczamy tę podniosłą chwilę? Oto miłościwie panującemu monarsze, Aleksandrowi I, który pragnie, aby każdy naród w jego państwie, mógł w swoim języku własne i nabyte wiadomości rozpowszechnić*).

Mowa Tadeusza Czackiego była piękna i długa. Nie można było całej zapamiętać, utkwily jednak wszystkim najważniejsze ustępy. Między innemi powiedział, że nauka potrzebną jest zarówno mężczyźnie jak i kobiecie. Światła bowiem kobieta potrafi jedynie wychować dzieci na zacnych obywateli.

Po Czackim przemawiali jeszcze inni: Antoni Jarkowski, prefekt nowej szkoły, jeden z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Mów tych jednak nasz ciekawy stolarczyk nie słuchał, bo po przemówieniu Czackiego otyły stolarz rzekł:

— Chodźmy, bo tu taki par, że człowiek

*) Wówczas wszyscy Polacy wierzyli w dobre chęci cara Aleksandra dla Polski.

powietrza zachwycić nie może i przyjdzie się chyba udusić. — Wymówiwszy te słowa ruszył ku drzwiom, pociągając za sobą syna.

Chudemu mieszczaninowi śnać także dokuczyło gorąco w kościele, bo poszedł za otyłym stolarzem i jego ciekawym synem.

Gdy znaleźli się na chłodzie przed kościołem, chudy mężczyzna rzekł:

— Juścić tu milej, ale tam w kościele choć par, błogo było patrzeć na te zacne osoby, które otwierają szkołę w Krzemieńcu, a najmilej na pana starostę Czackiego, boć go znam, szanuję i kocham nie od dnia dzisiejszego.

— A gdzieżecie to panie majstrze poznali taką znaczną osobę, jak pan starosta?

— Gdzie i kiedy poznałem pana starostę? Oto lat temu wiele, w moim gnieździe rodzinem, w Porycku. Byłem ci ja wtedy próżniakiem i wisusem, dzień cały mitrężyłem i wymyślałem coraz nowe psoty. Aliści założył szkółkę w Porycku dzisiejszy pan starosta, podówczas panicz nie duży. Szkołka była nowością w miasteczku, więc my mali próżniacy, nie wiedzący co robić dzień cały, pobiegliśmy do szkółki z nudy i ciekawości. W szkółce było nam tak dobrze, tak przyjemnie czas uciekał, niby woda w rzece! aniś się opatrzył, jak mijała godzina za godziną. Żal było nam ze szkoły wychodzić, to też czekaliśmy głosu dzwonka, zwołującego na naukę, jak zbawienia, a drzwi szkoły uważaliśmy niby bramę raję.

— A cóżeście wy w szkole robili panie

majstrze, że wam tam tak błogo było! — pytał stolarczyk.

— Cośmy robili? Uczyliśmy się słowa Bożego, czytania, pisania i rachowania, a co najważniejsze! dowiedzieliśmy się w tej błogosławionej szkółce, że próżniactwo jest początkiem wszystkiego zła na ziemi, a praca wiedzie prosto do cnoty, a cnota do nieba. Cóż dziwnego, żeśmy tam biegli, jak do raj. Że kochaliśmy pannie, który zakładając szkółkę, przychylił nam nieba. Cóż dziwnego, że gdy ujrzałem w kościele tego, na którego oczy moje dziecięce patrzyły, zrobiło mi się błogo na duszy. Gdyby nie jego szkółka, byłbym zapewne wyrósł na wisusa i darmozjada. Ale gdym się w szkółce dowiedział, że każdy człowiek powinien pracować, już sumienie nie pozwalało mitrzyć i psocić. Ba! nawet psoty wcale nas już nie nęciły, bo po głowie roily się myśli zasłyszane w szkółce. Postanowiłem poszukać sobie pracy użytecznej, zostać rzemieślnikiem, a ciekawość największą miałem do szewctwa. Rzemiosło nie dla szlachcica! powtarzali mi krewniacy, szlachta zaściankowa. Ja tej gadaniny bez sensu nie słuchał, rzemiosła się nauczył, i Pana Boga chwalić, mam żyć z czego i rodzinę w uczciwości chować, i da Bóg mój chłopak podrośnie, to dam go do szkoły w Krzemieńcu, bo skoro ją założył Tadeusz Czacki, to jużći ona tylko ku pożytkowi ludzkiemi służyć będzie.

— Malutkie to było a szkółkę zakładało! Dziecko, miało rozum starego. Teraz gdy urósł,

gdy dojrzał na męża, nie malutką lecz wielką szkołę na kraj cały zakłada — mówił rozrzewniony majster szewski, jakby do siebie.

— Mój Boże! dzieckiem był i szkółkę założył — zadziwił się milczący dotąd stolarczyk. — A skoroście panie majstrze dawniej znali pana starostę, to powiedzcie nam co więcej o nim — mówił głosem proszącym. — Taki zacny człowiek, toć warto o nim co posłyszeć.

— Pan starosta zasłużył sobie, aby o nim mówiły godniejsze usta od moich, ale skoro ich nie ma w tej chwili, to posłuchajcie mego miżernego opowiadania:

My mieszkańcy Porycka nie długośmy się cieszyli naszym paniczem; zaledwie bowiem liczył lat 19, aliści powołano go do Warszawy na członka sądów zadwornych koronnych. Inny na jego miejscu pyszniłby się urzędem otrzymanym w tak młodym wieku. Dalekim był od tego nasz panicz! Zabrawszy się do swego urzędowania, przekonał się, że mu brak wielu wiadomości do spełniania obowiązków obywatelskich; dopełnił je też, siedząc wszystkie wolne godziny w bibliotece Załuskich i rozczytując się w dziełach prawnych, politycznych i historycznych. W tej samej bibliotece pracowali podówczas ludzie uczeni, sami nawet pisywali księgi — możecie o nich kiedy słyszeli? Oto był to ksiądz biskup Adam Naruszewicz i Jan Albertrandy. Poważni uczeni obaczywszy młodzieniaszka wśród ksiąg starych, przyszli mu z pomocą, wskazując najlepsze dzieła. Nic też dziwnego, że umysł na-

szego panicza wzbogacony nauką, jaśniał niby pochodnia, której trudno było nie ujrzeć. Ujrzeni ją też, ujrzeni, i wciągnęli do nowych obowiązków. Powołano Tadeusza Czackiego do komisji kruszcowej, a we dwa lata później do komisji skarbowej. Wszędzie pracował gorliwie i skutecznie. Wszedłszy do komisji skarbu, chciał skarbów przysporzyć krajowi, i postąpił podobnie jak wtedy, gdy go powołano do sądów. Chcąc godnie piastować urząd, szukał w księgach prawnych wskazówki, chcąc zaś skutecznie pracować w komisji skarbu, postanowił objechać kraj cały, w którym Stwórca rozsypał mnóstwo skarbów, chciał się w nich rozejrzeć. Objechał Polskę całą i przekonał się, że nasza ojczyzna mogłaby być zamożną i bogatą, gdyby naród chciał i umiał korzystać ze skarbów, jakie posiada, i dary przyrody umiejętnie rozwijać potrafił.

Tadeusz Czacki chciał w tem trudnem zadaniu dopomóc ziomkom, chciał w kraju podnieść rolnictwo, przemysł i handel, a że dla handlu potrzebne są środki komunikacji, a komunikację ułatwiają rzeki spławne, zatem zajął się wydaniem mapy, na której było narysowane koło 5.000 rzek w Polsce i Litwie. Byłyto rzeki wielkie i małe, były oznaczone ich zakręty, spadki, były wymienione sposoby do uczynienia rzek spławnymi. Ta mapa kosztowała wiele, bo 10.000 czerwonych złotych. Prawda, że to grosz piękny? Nie żałował go jednak Tadeusz Czacki, lecz dał go z własnej szkatuły.

Król jegomość, Stanisław Poniatowski uznając wielkie zasługi Czackiego, obdarzył go orderem Orła białego i nadał mu starostwo nowogrodzkie.

Podczas gdy pan starosta starał się dobrą gospodarką wzbogacić skarb państwa, chytry sąsiedzi czyhali na naszą ojczyznę. Słyszeliście pewnie o Targowiczanych, oni to swoją płytką polityką dopomogli Moskałom do powtórnego pomniejszenia granic naszej ojczyzny. W czasach, gdy Targowiczanie byli u władzy i pracowali nieświadomie na zgubę ojczyzny, pan starosta podziękował za urząd. Na to, co robili Targowiczanie, wzdragała się cnotliwa dusza pana starosty, nie mógł być dłużej na urzędzie i wtedy powrócił do Porycka, ku uciechu jego mieszkańców.

Czy myślicie, że po ciężkiej pracy i trochę o przyszłość kraju poprzestał pracować? Gdzie tam! gromadził ogromną moc książek w swojej bibliotece, rozczytywał się w nich, wreszcie zaczął pisać księgi. Wszystkich ja wam wyliczyć nie potrafię, ale wspomnę tylko o jednej, która jego imię wsławiła na wieki, a nosi tytuł: O litewskich i polskich prawach.

Rządy Targowiczanych skończyły się niebawem, nieświadomie dopomogli do drugiego rozbioru Polski. Cóż dziwnego, że po takim gwałcie, jaki taki, co kochał ojczyznę i miał zdrowe ręce chwycił za broń przeciw najezdcom, gdy w dodatku można było dowództwo oddać takiemu sławnemu wojownikowi, jakim był Tadeusz Ko-

ściuszko. Nasz uczony pan starosta do broni się nie porywał, bo nią robić się nie nauczył, ani jako dziecko, ani później ślęcząc nad księgami; pomimo to nie przypatrywał się z założonemi rękami, gdy naród dobywał sił ostatek, aby ratować ojczyznę. Podczas wojny potrzeba dużo pieniędzy! O dostarczenie tychże Naczelnikowi Kościuszce, starał się nasz pan starosta.

Ale było siła złego na jednego! Trudno było podolać trzem wrogom, to też pomimo wysiłków naszych, nie my lecz wrogowie zwyciężyli, rozdali do reszty nasz kraj i nuże dręczyć obrońców ojczyzny a między innymi i pana starostę. Carowa Katarzyna skonfiskowała mu dobra. Nastaly dni ciężkie dla pana starosty! trapił się losem kraju i losem własnym i rodziny, dręczyły go pozaciągane długi. A jakże je tu opłacić, gdy rząd zagarnął większą część majątku. Pan starosta zaprowadził w domu różne oszczędności, trapił się przykrem położeniem, tracił ochotę do jadła i w oczach nikał.

Nieszczęście pana starosty odczuli jego domownicy i nuże radzić między sobą, jakby tu dobremu panu dopomódz? Narady toczyły się we dworze i w miasteczku; nieraz ja tych narad bywałem świadkiem, bo los dobrego pana leżał mi na sercu, jak los własny.

Domownicy rada w radę, wymyślili nareszcie sposób na ulżenie trosk swego pana. Oto wszyscy razem poszli do niego, pokłonili mu się do ziemi i pokornie prosili, aby im pomniejszył zasługę: Ująłeś panie starosto ustom wia-

snym, — mówili — uszczupliłeś twoim najbliższym, tylko nam zostawiłeś taką, jak dawniej zasługę. Owóż my przyszli prosić o pomniejszenie zapłaty; zmniejszona wystarczy na nasze potrzeby. Boimy się jedynie tego, żebyś nas panie ze służby nie oddalił. Nie chcielibyśmy rozstawać się z naszym dobrodziejem, z naszym ojcem od Boga nam danym.

Przy tych słowach łzy ciurkiem polały się z oczu domowników, a rozrzewniły do głębi pana starostę.

— A moi mili! a moi najlepsi! czy myślicie, że łatwo przyszloby mi rozłączyć się z wami? Ostatnim chleba kawałkiem podzielę się z wami. Jednak wierzycieli spłacić muszę, a jeżeli po ich zaspokojeniu nic mi nie zostanie, wtedy rad nie rad z wami się rozłączyć będę musiał. Pojadę z rodziną do Krakowa, starać się będę o urząd profesora, aby mieć kawałek chleba dla siebie i dzieci i możność dania im wychowania i nauki.

Pan Bóg nie dopuścił, aby się poczciwe służki rozłączyły z dobrym panem. Carowa Katarzyna umarła, nastąpił po niej syn jej Paweł. Carowa nieboszczka niegodziwa była kobieta, nalala ona sadła za skórę nie tylko nam Polakom, ale nawet swoim najbliższym, nie wyjmując własnego syna. To też gdy car Paweł objął rządy po matce, wiedząc z własnego doświadczenia, że pokrzywdziła niejednego, starał się pokrzywdzonych wynagrodzić. Ot i wtedy przyszła mu myśl poczciwa, oddać panu staroście

skonfiskowane dobra. I tak skończyły się szczęśliwie kłopoty pana starosty; mógł znowu ze swobodną głową pracować dla dobra kraju, a zdarzyła się ku temu dobra chwila. Po nagłej śmierci cara Pawła, nastąpił syn jego Aleksander, pan mądry i szlachetny. Postanowił w państwie swoim rozszerzyć oświatę, nie wyłączając polskiego narodu, który był pod jego panowaniem. Jest on sprawiedliwy i okazał nam życzliwość. Dziwi was może życzliwość moskiewskiego cara dla Polaków, owóż trzeba wam wiedzieć, skąd ona się wzięła! — Oto przy carze znajduje się książę Adam Czartoryski, który gorąco oręduje u cara za swoim narodem.

Dla szerzenia nauki w państwie Aleksandra, podzielono kraj na kilka naukowych okręgów. Dla każdego okręgu ustanowiono kuratora, a kurator ma nad okręgiem swoim najwyższą naukową władzę. Do pomocy kuratora są ustanowieni wizytatorowie, i mają czuwać nad szkołami. Ruś przydzielono do naukowego okręgu wileńskiego, w którym książę Czartoryski jest kuratorem, zaś na wizytatora gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej wezwano naszego pana starostę, który wezwanie przyjął, i ot duszą całą oddał się szkołom, powierzonym jego pieczy; a dziś otwiera nową szkołę w Krzemieńcu. Ale otworzyć szkołę to nie jest tak łatwo, jak o tem powiedzieć. To też natrudził się pan starosta nie mało, nim do otwarcia szkoły przyszło. Boć na utrzymanie takiej wielkiej szkoły, potrzeba pieniędzy dużo, których przecie rząd nie dał.

Owóz pan starosta objechał wszystkie trzy gubernie, jemu pod dozór oddane i zachęcał, prosił i namawiał obywatelstwo, aby grosza nie żalowało na szkoły. Wymowne słowa starosty nie były bez skutku! pootwieraly się szkatuły pańskie, pootwieraly się szkatuły duchowieństwa i posypało się z nich złota nie mało, za które pan starosta szkołę w Krzemieńcu założył i dziś ją właśnie otwiera.

Uważaliście, że w swej pięknej przemowie powiedział: »Rodzice składają trwałe ofiary dla szczęścia potomków«. Bo właśnie obywatelstwo dało datki jednorazowe i przyrzekło stałe roczne ofiary na utrzymanie szkoły w Krzemieńcu.

Na tych słowach przerwał pan majster opowiadanie, którego uważnie wysłuchali stolarz i syn jego. Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał stolarz temi słowy:

— Bóg wam zapłać za poczciwe i rozumne słowo. Idzie to na pożytek duszy ludzkiej, gdy posłyszycie o zaenym człowieku, a takim jest pan starosta. Ale wiecie panie majstrze, że słuchając was, podziwiałem nie tylko cnotę pana starosty ale i was.

— Ha! ha! ha! mnie? — zaśmiał się rubasznie pan majster. — Żeście się dziwili cnotcie pana starosty, to jest rzeczą naturalną, lecz cóż na mnie do podziwu znaleźliście?

— Oto dziwuję się, skąd majster szewski może tak dokładnie wiedzieć, co się tyczy spraw kraju? Ja na ten przykład, tego wszystkiego tak dokumentnie nie wiedziałem.

— A moi mili! czy to szewc ma tylko wiedzieć o swoim kopycie? — zaśmiał się znowu nasz pan majster. — A czy to nie słyszeliście o szewcu Kilińskim, który umiał robić foremne trzewiki i mocne buty, a poza tem znał się na polityce i wojaczce. Umiał on Moskali wyprowadzić w pole i tęgiego im nawarzyć bigosu w Warszawie. A umiał to wszystko dlatego, bo kochał kraj i pragnął jego dobra. To też nazwisko warszawskiego szewca wypisało się krwawemi zgłoskami na karkach Moskali i zapisze się na zawsze w sercach i pamięci wszystkich pokoleń polskiego narodu. Mnie się tam nie mierzyć z panem Kilińskim, który umiał szyc buty, bić wroga, a w niewoli będąc pisać składnie swoje ciekawe przygody; aleć gdym jaką taką naukę liznął w szkółce w Porycku, tom już się bez książki obejść nie potrafił. Bo gdy człowiek trochę nauki łyknie, to potem jej dla duszy tak potrzebuje, jak nie przymierzając dla ciała pożywienia. W niedziele i święta zaglądam ci ja do książek. Jednak o tych sprawach, o których wam rozповідаłem, dowiedziałem się nie z książek, lecz od jednego z dworzan pana starosty. Znam ja się z nim nie od dziś, poznaliśmy się w szkółce w Porycku. Jest on ciekawy spraw kraju, przebywa ciągle na pokojach pańskich, słyszy, co panowie między sobą mówią, czego nie rozumie, pyta pana starosty, a pan starosta, przyjaciel swoich domowników, często gęsto z nimi o sprawach kraju rozmawia. Ot ja żyję w przyjaźni z onym dworzaninem

i od niego wiem o wszystkim, co się tyczy pana starosty, a że sprawy jego wiążą się ze sprawami kraju, więc je znam także po trochu. Ot znacie już teraz klucz do mego rozumu.

— Długie lata przeżyłem w Porycku, a od niedawna przesiedliłem się do Krzemieńca, rodzinnego gniazda mojej kobiety, która za swojemi stronami tęskniła i ja dla niej Poryck opuściłem. Cieszę się teraz, że do Krzemieńca zawitał także pan starosta.

Zapanowało znowu milczenie, które tym razem przerwał syn stolarza, chwytając ojca za kolana, mówił głosem proszącym:

— Tatusiu! zapiszcie wy mnie do tej nowej szkoły.

— W imię Ojca, Syna i Ducha! a tobie czego się zachciewa? — zawołał ojciec.

— Mój tatusiu! pozwólcie wy mi do szkoły chodzić, a ja już nigdy o nic was prosić nie będę, tylko mi tego nie odmawiajcie.

— Nie kara Boża z tym chłopakiem! — mówił, sapiąc stolarz, opędzając się synowi, który jak pijawka do nóg ojcowskich się przyczepił i prośbę swoją niemal płacziwym głosem powtarzał.

— Czy ty tam w kościele nie widziałeś, kto do szkoły chodzić będzie? Wszakże to były same panięta! postrojone, niby malowane. Ta szkoła nie dla takich, jak ty chudopacholków. Pilnuj ty warsztatu a nie książki.

Syn słowami ojcowskimi nie zrażony, swoją prośbę powtarzał uparcie. Upór chłopca znie-

cierpliwł stolarza, miał już gniewem wybuchnąć, lecz przeszkodził temu dawny uczeń szkółki w Porycku.

— Dajcie pokój, panie majstrze — powiedział, skoro chłopak łaknie książki, nie godzi się wzbraniać.

— A czy umiesz już cokolwiek? — pytał szewc, zwracając się do chłopaka, który bliskim był placu.

— Umieć czytać — odpowiedział stolarczyk, wstrzymując łzy — pisać i rachować, umieć także trochę łaciny, a »Pielgrzymą w Dobromilu« *) przeczytałem już kilka razy.

— Cóż ci się w tej książce podoba? — pytał, zainteresowany chłopcem, szewc.

— Co mi się podoba? wszystko. Gdy skończę książkę czytać, to zaczynam ją na nowo. Chciałbym dokładnie zapamiętać wszystko, co w książce napisane.

— Gdym panie majstrze waszego opowiadania o panu staroście słuchał, przyszło mi na myśl, że on podobny jest z czynów do króla Kazimierza Wielkiego.

— No i w czemżeś to podobieństwo dopatrzył? — pytał zaciekawiony porównaniem chłopca an majster.

— Król Kazimierz Wielki wojną się nie bawił, a starał się ład i dobrą gospodarke zaprowadzić w kraju, a pan starosta tak samo. Król

*) Pielgrzym w Dobromilu jest to Historia Polska, napisana przystępnie przez księżnę Izabelę Czartoryską, matkę księcia Adama.

Kazimierz królem chłopków nazwany z powodu życzliwości, jaką otaczał wieśniaków, a takąż życzliwość dla ubogich ma pan starosta. Król Kazimierz założył akademię w Krakowie, a pan starosta szkołę w Krzemieńcu — recytował chłopiec.

— Nie źleś to pokombinował — mówił pan majster. — Widzę, że książek darmo nie czytasz — poczem zwracając się do stolarza, rzekł:

— Nie powinniście synowi wzbraniać nauki, mianowicie, że się trafia tak dobra sposobność. Widzę ci ja, że chłopak ma olej w głowie, niech do szkoły chodzi.

— Ależ czy ta okazała szkoła dla chudopacholków? — bronił się stolarz.

— Pan starosta założył szkołę w Krzemieńcu, aby rozszerzyć naukę w narodzie, to też niezawodnie każdego do szkoły przyjmie, kto ma zdolności i ochotę do nauki — odpowiedział szewc.

— A skoro tak, to niechże będzie po waszemu — rzekł, machając ręką stolarz.

Uradowany chłopak całował naprzemian ręce ojca i majstra szewskiego, który tak szczęśliwie opór stolarza przełamał.

Uroczystość w kościele właśnie się skończyła. Tłum ludzi wysypał się z kościoła, a nasi znajomi zbliżyli się ku głównej bramie, żeby raz jeszcze spojrzeć na dostojnych gości.

— Po co przyjechali profesorowie z Wilna? — pytał nasz ciekawy wyrostek, spoglądając na poważne grono, otaczające pana starostę.

— Mówiłem już, że szkoły na Rusi należą do naukowego okręgu w Wilnie, więc na uroczystość otwarcia szkoły w Krzemieńcu, przyjechali profesorowie uniwersytetu wileńskiego, oni bowiem mają naukowe zwierzchnictwo nad szkołą. A możeś także ciekawy, po co przyjechali członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk? — pytał majster szewski, rozweselony szlachetną ciekawością chłopca.

Ten na pytanie odpowiedział kiwnięciem głowy.

— Oto przyjechali oni, aby uczcić pana starostę, który należał do założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

III.

Panicze i syn stolarza.

Po nabożeństwie zaprosił pan starosta dostojnych gości na obiad; wzniesiono tu toast na cześć monarchy, który pozwolił na otwarcie szkoły w Krzemieńcu. Nazajutrz rozpoczęła się nauka w nowej szkole. Na pierwszych lekcjach znajdowali się w klasach nie tylko uczniowie, lecz także ich rodzice lub opiekunowie.

— A to po co? — zawołają młodzi czytelnicy ze zdziwieniem. — Wszakże szkoła dla dzieci a nie dla starszych!

Macie słusność! Czacki jednak nie bez celu na pierwsze lekcye rodziców razem z dziećmi do szkoły wprowadził. W czasach gdy Tadeusz Czacki szkołę w Krzemieńcu otworzył, mało młodzieży z domów zamożnych, uczęszczało do szkół publicznych. Naukę pobierali w domu, najczęściej od cudzoziemców. A że Czacki chciał, aby polskie dzieci kształciły się w duchu narodowym, więc chodziło mu o zachęcenie rodziców do oddawania dzieci do szkoły w Krzemieńcu.

Otóż dla zachęty wprowadził założyciel szkoły starszych na pierwsze lekcye, aby przekonali się, czego i jak uczyć będą w szkole w Krzemieńcu. W tym celu profesorowie na pierwszych lekcjach wyjaśniali znaczenie każdej nauki. Do nowo założonej szkoły zapisano w pierwszym roku nie wiele więcej nad 200 dzieci, liczba ta rosła z rokiem każdym, aż doszła do pokaźnej liczby 800 uczniów.

Chcąc bliżej poznać nowo założoną szkołę, nie zaszkodzi rozpatrzyć się w miasteczku, w którym ją zbudowano, a następnie wmięszać się między uczącą się młodzież.

»Krzemieniec^{*)}, miasto powiatowe na Wołyniu, leży w głębokiej i ciasnej dolinie, otoczony wysokimi, najrozmaiciej pomiętami górami. Dolina ta zewsząd zamknięta, z której wyjść można najłatwiej przez długą szycę, zwaną dziś doliną Maćkową. Właśnie tamtędy idzie teraz droga ku Dubnu, pomiędzy dwoma rzędami gór malowniczych. Wskutek więc takiego położenia wjeżdża się do Krzemieńca od Podola z ogromnej Wiszniowieckiej góry, a wyjeżdża się z niego po drodze zupełnie równej, która idzie płasko i bez żadnego podnoszenia się, przez zielone błonia ku Ikwie, za którą zaczynają się piaski i sosnowe lasy«.

»Jak urozmaiconem jest to położenie, jak bogatem w piękne widoki, rozległe perspektywy, cieniste i urocze przechadzki wśród parowów

^{*)} Opis Krzemieńca według Korzeniowskiego.

i wyniosłości, gdzieniegdzie ogromnemi drzewami zarosłych i schludnemi domkami tu i ówdzie zasianych, już z powyższego opisu czytelnicy to widzą. Ta piękność położenia Krzemieńca była jedną z przyczyn, które uczniów tej szkoły do miejsca tego tak bardzo przywiązywały.

Chcąc przypatrzeć się Krzemieńcowi, trzeba stanąć w tem miejscu na Wiszniowieckiej górze, gdzie się zaczyna zjazd, i gdzie bojaźliwsi lub chcący swobodniej przypatrzeć się pięknemu widokowi, który się nagle odkrywa, wysiadają i idą piechotą. Oczom patrzących ukazuje się głęboka, zaludniona i budynkami okryta dolina, odgraniczona z prawej strony górą Zamkową, najwyższą ze wszystkich, zupełnie naga, szara, podnosząca się w kształcie kolosalnego ostrokregu, i na którego szczycie wznosił się zamek królowej Bony. Z poza góry Zamkowej wyglądała mało co niższa Czercza, a za nią inne, obrosłe pięknemi drzewami, ciągnące się wzdłuż ponad doliną Maćkową, i w miarę swego oddalania się, przechodzące w kolor sinawy. Od strony zachodniej występowała naprzód góra Ogrodowa, gładka i zielona, jakby ją kto aksamitem usłał, zaginała się poza ogrodem botanicznym i łączyła z inną górą, nazwaną Wołowicą, wchodzącą w miasto i biejącą od łomów kamieni, które z niej brano. — Naprzeciwko góry Zamkowej, na podniesionem cokolwiek miejscu, ukazują się ogromne mury pojezuickie, a obok pobazylikańskie, przerobione na nową szkołę. Za kościołem, którego dwie

wieże i wielka kopuła wysunęły się na zielonym tle wznoszącej się za nimi pochyłości, ukazywał się ogród botaniczny, podnoszący się pod górę, opasany murem. U samych stóp góry Zamkowej wije się potok, który całemu miastu dostarcza wody; nad nim kościół niegdyś Franciszkański, a dawniej jeszcze właściwy zamek, gdzie było mieszkanie starostów. Obok kościoła ciągnie się ulica zwana Szeroką, na której białąły zajezdne domy i sklepy, i prostopadle od niej idące w górę dwie inne ulice, po obu bokach jezuickiego gmachu i ogrodu botanicznego, skąd uśmiechają się do widzów większe już i porządniejsze mieszkania z kolumnadą i topolami; a dalej i dalej w różnych zakrętach, najrozmaitsze co do wielkości i formy domki i dworki, właściwe mieszkania studenckie, rozrzucone bez porządku, często bez ulic, ale najczęściej z ogródkiem lub przynajmniej z drzewem, które się przy ganku zieleniło. Wszystko razem jest pełne różności, pełne powabu«.

Powab ten powiększa się, gdy młodzież szkolna wyszedłszy po nauce ze szkoły, rozsypie się po ulicach miasteczka i napelni je gwarem wesołym.

Wśród tej młodzieży znajdujemy także poznanego w poprzednim rozdziale syna stolarza. Syn stolarza, Piotruś, któremu nauka i szkoła tak bardzo pachniała, przekonał się niebawem, że nie ma róży bez cierni. W nauce samej cierni nie znalazł, trudności bowiem napotkane, nie były dla pilnego chłopca cierniami, pokonywał

je wytrwałą pracą. Ciernie zjawiły się pod postacią kolegów. Kolegów-paniczów, którzy do Krzemieńca przybyli w towarzystwie kamerdynerów Francuzów; ci paniczów stroili jak lalki, fryzowali im głowy przy pomocy rozmaitych żelazek i wmawiali paniczykom, że ubieranie się należy do najważniejszych czynności.

Owóż gdy ufryzowani i wyelegantowani panićze ujrzeni bok siebie, na ławach szkolnych syna mieszczańskiego, oburzenie ich nie miało granic. Dzieci pańskie podówczas miały to przekonanie, że nauka jest przywilejem panów i szlachty. Chłopcy uważali sobie za ubliżenie, gdyby zasiedli na tych samych ławach synowie oficjalistów, a cóż dopiero synowie mieszczan i rzemieślników.

Paniczykowie w przykry, dotkliwy sposób dali uczuć Piotrusiowi, że znajduje się nie na swoim miejscu, że miejsce jego w warsztacie.

Piotruś znosił przykre docinki kolegów, i nawet się przed nikim nie użalił, wytrwale do szkoły chodził, a złośliwym kolegom nawet ostrem słowem nie odciął się.

A to mazgaj! zawołacie.

Owóż mazgajem nie był. Nie żalił się przed nikim, dlatego, że zdobywszy sobie wstęp do szkoły, nie chciał go utracić, co byłoby nastąpiło gdyby był w domu przed ojcem się poskarżył. Piotruś bowiem pamiętał doskonale, że ojciec nie chciał pozwolić mu chodzić do szkoły, mówiąc, że ona nie dla chudopacholków. Nie chcąc

zaś wywołać awantury w szkole, znosił dotkliwe żarciki i przycinki paniczyków.

Raz jednak przebrała się miarka. Chłopcy nie poprzestając dokuczać Piotrusiowi między lekcjami, dręczyli go nawet podczas lekcji, a zmówiwszy się, odsunęli się od niego tak, że siedział zupełnie odosobniony. Odosobnienie zauważyli profesorowie i zapytali Piotrusia o powód. Chłopiec znoszący dotąd cierpliwie prześladowania, był tak nimi udręczony, że na zapytanie odpowiedział głośnem łkaniem.

Profesor na razie badać zaprzestał, lecz po skończonej nauce wezwał Piotrusia do kancelaryi, i sprawę wytoczył przed prefektem szkoły; jemu wydała się tak ważną, że ją przedstawił nie tylko dyrektorowi, ale i wizytatorowi, to jest Tadeuszowi Czackiemu.

I cóż się stało? zapytacie. Posłuchajcie: Nazajutrz w klasie, w której znajdował się Piotruś, siedzący dziś z rozkazu prefekta wśród innych uczniów, ukazał się szanowany i kochany przez uczniów Czacki. Wszedłszy do klasy, przysłuchiwał się nauce, zadawał pytania i słuchał z przyjemnością roztropnych odpowiedzi chłopców; zapytywał kilka razy Piotrusia, który najpierw nieśmiało, drżącym głosem, lecz zachęcony ojcowską dobrocią pana starosty, odpowiadał coraz śmieiej, tem śmieiej, gdy się pokazało, że potrafił odpowiedzieć na pytania, na które koledzy jego odpowiedzieć nie umieli.

Pan starosta słuchając Piotrusia, był widać odowiedziami jego ucieszony, zadowolenie

swoje wyraził pochwałą: Widzę, że dzielny z ciebie uczeń, że prześcignąłeś swoich kolegów, nie wątpię jednak, że oni ci dorównać zechcą. Uczeń bowiem każdy powinien pracować nad sobą, aby był panem samego siebie i umiał być wyższym nad swoje namiętności, szukać ma chluby tylko w doskonaleniu serca i rozszerzaniu władzy rozumu.

Moje dzieci — kończył pan starosta — mam dla was uczucie ojca i spodziewam się od was przywiązania. Spodziewam się, że słowa moje trafiły do waszych dobrych serc, że je zachwacie w pamięci i według nich postępować będziecie. Przynieście mi waszą ufność i dobre postępowanie w nagrodę mego do was przywiązania. Niech dla was wszystkich Krzemieniec będzie świątynią cnoty, a przybytkiem nauki. Żegnam was drogie dzieci życzeniem, abyście się między sobą miłowali, jak dzieci jednego ojca. Miłość wasza braterska, sprawi mi żywą radość.

I cóż wy na to? spodziewaliście się sądów, kar, a zamiast tego wszystkiego usłyszeliście prawdziwie ojcowskie przemówienie do winowajców, których nie winowajcami lecz dziećmi swojemi nazwał pan starosta. Tadeusz Czacki bowiem łagodność w postępowaniu z uczniami za największą zaletę nauczyciela poczytywał, twierdząc, że przykład nauczyciela wpływa na charakter ucznia. Uczeń — powiadał — przenosi do swego serca naukę i przykłady. Doświadcza surowego postępowania, czemuż nie ma być

surowym? Doświadcza w szkole rozumu, serca, sprawiedliwości — wymierzyć ją równie ośmieli się. Nauczyciele są zastępcami rodziców. Cóż dla ich serca pochlebniejszego, czy kiedy dziecko widzi w rodzicu czy nauczycielu dawcę kar, czy kiedy całuje z uczuciem tę rękę, która pieści w kolebce, a prowadzi łagodnie w dojrzałym wieku do współnictwa pracy i sławy.

Ciekawi jesteście zapewne, co stało się po odejściu pana starosty z klasy?

Słowa zacnego człowieka podziałały na chłopców, jak ciepło na wosk, serca ich zmiękły. Przedewszystkiem wysłuchali bardzo pilnie, bardzo uważnie lekcji, bo zapamiętali, że ten ich drugi ojciec powiedział, że szukać mają chluby w rozszerzaniu władzy rozumu. Oni chluby tej szukać chcieli! Rozumieli, że koniecznym do tego warunkiem była nauka, a chcąc ją sobie przywłaszczyć, należało uważać podczas lekcji. Uważali też z całym skupieniem myśli. Po skończonej nauce, wracali do domu bardzo zamyśleni, rozważali posłyszane w szkole słowa pana starosty, które były dla nich czemś zupełnie nowem. Dotychczas uważali się za coś lepszego od Piotrusia, dlatego że ich rodzice mieli znaczny majątek, ojcowie piastowali wysokie urzędy, podczas gdy ojciec Piotrusia był rzemieślnikiem. Tymczasem pan starosta przekonał ich, że Piotruś jest lepszym od nich uczniem, że oni dopiero przy pracy usilnej synowi stolarza będą mogli dorównać w nauce. Na dzisiejszej lekcji poznali nową prawdę: że majątek

i tytuły ojca, nie są żadną zasługą i zaletą ucznia, że w szkole ten jest pierwszym, kto się dobrze uczy, że o wartości człowieka stanowi jego osobista zasługa. Cóż zatem dziwnego, że poznane prawdy dały im wiele do myślenia! W dodatku przypomnieli sobie i te słowa pana starosty, że szukać mają chluby w doskonaleniu serc swoich. Słowa te wywołały wyrzuty sumienia. Uczuli, że do doskonałości serca tak im było daleko! W uszach im dźwięczały słowa pana starosty: mam dla was uczucie ojca i pragnę, abyscie się miłowali jak bracia. W odpowiedzi na te słowa sumienie wołało głośno: Postępowanie wasze wobec Piotrusia dalekiem było od braterstwa, było szkaradne! Dla uspokojenia sumienia, zrobili bardzo ważne, bardzo poważne postanowienie: złe należy koniecznie i bezzwłocznie naprawić.

Pomyślcie zapewne, że Piotruś wracał do domu radosny i tryumfujący. Istotnie wracał uradowany lecz nie tryumfujący. Spoglądał na swoich niedobrych kolegów bez gniewu, owszem dobrem braterskiem spojrzeniem. Czyż mógłby patrzeć inaczej? Wszakże słowa pana starosty utkwiły dobremu chłopcu w pamięci, jak świętość, jak ewangelia! Miłość bratnią zalecał ten fundator szkoły krzemienieckiej, czyż zatem można było patrzeć na kolegów inaczej jak na braci?

Czasami dobre słowo miękczy nam serca, nie na długo jednak! Pomyślcie może, że tak się stało w Krzemieńcu. Otóż nie, że tak nie było,

jak myślicie, niech was przekona następujące zdarzenie, które miało miejsce po upływie lat kilku od czasu utworzenia szkoły w Krzemieńcu.

Piotruś ze swymi kolegami przeszedł już cztery niższe klasy i był obecnie panem Piotrem, uczniem kursów wyższych, których w szkole krzemienieckiej było trzy, a każdy trwał dwa lata.

Razu pewnego, w piękny dzień majowy uczniowie kursów wyszli z książkami do ogrodu botanicznego, który był pielęgnowany z nadzwyczajną starannością przez ogrodnika Niemca. — Jedni uczniowie uczyli się chodząc, inni posiadali na ławeczkach. Piotr przechadzając się, uczył się z książki, często jednak odrywał oczy od książki i przypatrywał się tej lub owej roślinie, a było ich w ogrodzie mnóstwo wielkie, to też dla amatora pokusa nielada. Uległ jej nawet tak pilny uczeń jak Piotr.

Stawał co chwila i zachwycał się barwą i kształtem kwiatów. Na uboczu dostrzegł piękny krzew, okryty kwiatami; chcąc im się lepiej przypatrzeć, ujął jedną gałązkę. Naraz odepchnęła go silna dłoń. Piotr zatoczył się i o mało nie upadł. Gdy ochłonął z przykrego uczucia i podniósł oczy, ujrzał przed sobą gniewnego ogrodnika i posłyszał obelżywe słowa, wymawiane głosem podniesionym.

— Myślisz, że dla stolarczyka wychodowałem tak szczególną roślinę?

Nim znieważony Piotr otworzył usta ku swojej obronie, aliści wymierzono silny policzek

ogrodnikowi. Sędzia i wykonawca kary krzychał gniewnie:

— Jak śmiesz znieważać pierwszego ucznia naszego kursu! Wszakże botaniczny ogród założył pan starosta dla pożytku i nauki uczniów, więc każdemu wolno oglądać rośliny.

Uczeń, który tak porywczo stanął w obronie znieważonego kolegi, był to panicz, patrzący niegdyś pogardliwie na syna stolarza, dziś szanujący kolegę, który wszystkich w klasie prześcignął.

Drugi syn obywatelski, świadek opisanej sceny, szarpnął za dzwonek, na głos którego zbiegli się uczniowie kursów, a dowiedziawszy się, co zaszło, rzucili się na ogrodnika i nuże okładać go pięściami i krzyczeć nad uszami wystraszonego człowieka.

— Pamiętaj, że nie wolno nikomu znieważać najlepszego ucznia.

Wszyscy ci uczniowie, byli to synowie zaможnych obywateli.

Ogrodnik byłby drogo okupił swoje brutalstwo. Na jego szczęście nadbiegł prefekt a na jego widok oprzytomnieli chłopcy, stanęli w milczeniu jak winowajcy. W milczeniu i w pokorze przyjęli naznaczoną im przez prefekta karę za to, że ośmielili się wymierzyć sobie sprawiedliwości, zamiast odnosić się do przełożonych szkoły.

IV.

Przygody ubożego ucznia.

— A to cò? — zawołał jeden z uczniów szkoły krzemienieckiej, odłączywszy się od kolegów grających w piłkę na obszernej galeryi, znajdującej się przed gmachem szkolnym.

Wołania chłopca większość grających w piłkę nie słyszała, nie wszyscy jednak byli grą zajęci, więc posłyszawszy okrzyk, pytali:

— Còżeś ujrzał ciekawego?

— Widzisz? — pytał pierwszy wskazując ręką w dal.

— Nie nie widzę — odpowiedział któryś.

— Widzę! — wołał inny — jakiegoś młodzieńca, który na rozstawionych przyborach rysunkowych pilnie rysuje.

— Co on rysuje? — ozwało się pytanie z gromadki uczniów.

— A còżby innego, jeżeli nie to co ma przed oczami, t. j. Krzemieniec.

— Paradnyś! Krzemieniec przecie nie szpileczka, lecz okazałe i rozległe miasteczko, czyż zmieściłoby się na niewielkim kawałku papieru?

— A czy to nie słyszałeś, że malarze umieją zmniejszać przedmioty? — zawołał któryś.

— Oczywiście, że słyszałem, i wiele obrazów widziałem, — odpowiedział chłopiec tonem urazy, — ale i przy zmniejszeniu cały Krzemieniec nie zmieściłby się na małym kawałku papieru.

— Papier wydaje ci się małym zdaleka.

Sprzeczką w ten sposób rozpoczęta, trwała dosyć długo, jedni utrzymywali, że nieznajomy rysuje cały, inni, że część Krzemienia lub, którą z gór otaczających miasteczko, niby mur warowny.

Sprzeczkę zakończył jeden z chłopców, w bardzo prosty sposób, mówiąc:

— Zamiast sprzeczać się, chodźmy się przypatrzeć, przekonamy się w ten sposób, kto ma słuszość.

— Chodźmy! — zawołało zaraz głosów kilka, jużesmy się w piłkę dosyć nagrali.

Po tych słowach kilku chłopców ruszyło w stronę rysującego młodzieńca.

— A czy wypada przeszkadzać mu? — zauważył któryś.

— Nie będziemy przeszkadzali! spojrzymy i pójdziemy swoją drogą.

Chłopcy uspokojeni uwagą powyższą, w milczeniu posuwali się, posuwanie się ostrożne, wyglądało na skradanie się. Na palcach cichutko stanęli za plecami rysownika, i ciekawe oczy zwrócili na papier, na którym widać było dwie góry: jedna wyższa i naga podobna do głowy

cukru z urąbanym wierzchołkiem, zamiast którego, wznosił rysownik, śmiałymi ruchami ołówka. zamek, poza górą wyższą, widniała niższa okryta drzewami.

Góra Zamkowa! Zamek królowej Bony! Góra Czerza! ozwało się naraz głosów kilka, poza plecami rysującego młodzieńca, który snać przestraszony niespodzianymi okrzykami, zwrócił głowę ku studentom. Ci stali teraz zakłopotani, mieli bowiem piękny zamiar spojrzeć i cichutko odejść, jak przyszli, nie przeszkadzając nieznajomemu w pracy. Tymczasem ujrzawszy na rysunku dobrze znane im miejscowości, narobili krzyku, i nie tylko, że przerwali nieznajomemu robotę ale w dodatku przestraszyli go. Teraz w zakłopotaniu zaczęli bąkać coś pod nosem nie wyraźnie, co miało być przeproszeniem i usprawiedliwieniem.

Młodzieniec rysujący domyślił się tego, raczej z pokornego wyrazu twarzy chłopców niż z ich słów niewyraźnych, rzekł bowiem uprzejmie:

— Nic nie szkodzi, jeżeliście się przypatrzeć chcieli, patrzcie, ja dalej rysować będę.

Chłopcy z pozwolenia skorzystali, patrzyli i robili swoje uwagi.

— Ależ zamkowa góra wybornie się udała!

— Czerna również, dodał inny.

Któryś znowu wyraził podziw nad szybkim wznoszeniem się murów zamku królowej Bony, przy pomocy tak marnego przyrządu, jakim jest ołówek.

— Przecież to sztuka odrysować tak dokładnie przedmioty z natury, zauważył któryś.

— Chciałbym tak umieć, mówił inny.

— Rysować tak jak ja rysuję, sztuką nie jest, potrafi tak każdy przy małej pilności i wprawie!

— O doprawdy! — ozwało się głosów kilka wyrażających zdziwienie lub zapytanie.

— Chciałbym uczyć się rysować! Ja także! Ja także! — ozwało się ze stron wszystkich.

— Jeżeli macie ochotę, to z chęcią uczyć was będę, możemy rozpocząć lekcye zaraz od jutra, — mówił nieznajomy młodzieniec.

— Czy naprawdę? — pytali chłopcy.

Rzecz, która im się podobną do prawdy nie wydawała, urzeczywistniła się niebawem.

Nieznajomy młodzieniec z chłopcami do Krzemieńca przyszedł, o lekcye rysunków z amatorami się umówił, mieszkanie u studentów znalazł i lekcye rysunków nazajutrz rozpoczął. Porobił wkrótce znajomości ze starszymi uczniami, ci go namówili do uczęszczania na niektóre przedmioty wykładane na kursach, przypadkowy przybysz w wykładach zasmakował i na wszystkie pilnie uczęszczał, wkrótce zjednał sobie serca kolegów i życzliwość nauczycieli.*) Nieznajomemu młodzieńcowi było na imię Antoś; błogosławił on przypadkowi, który go do krzemienieckiej szkoły przyprowadził. Byłto bowiem chłopak ubogi, pragnący się uczyć, a nie ma-

*) Szczegóły do niniejszego rozdziału są czerpane z Ramot starego Detiuka.

jący na to potrzebnych środków. Środki te niespodziewanie znalazły się właśnie: Kilka lekcji rysunków, ot i będzie mały fundusik potrzebny na opłacenie wspólnego z kolegami mieszkania i skromnego pożywienia. Na to mały a stały dochód wystarczy, mianowicie, że Antoś przybywszy do Krzemieńca był zaopatrzony w nowe suknie i bieliznę, w dodatku w szkatule jego brzęczało 15 dukatów, które poprzednio przy pomocy ołówka zarobił; mógł zatem spokojnie w Krzemieńcu siedzieć i bogacić umysł skarbami nauki.

Miesiąc właśnie upłynął od przybycia Antosia do Krzemieńca, więc należało gospodyni zapłacić za wikt, a że uczniowie za lekcje rysunków jeszcze nie zapłacili, zatem Antoś otwiera swoją szkatułkę, i z wielkiem przerażeniem spostrzega, że w szkatułce nie ma ani jednego dukata!

Możecie wyobrazić sobie jakiego przykrego uczucia doznał Antoś na widok swej straty. W pierwszej chwili myśli pozbierać nie mógł! Co począć? pomyślał — wśród obcych znaleźć się bez grosza! Z ciężką troską spać się położył, to też nic dziwnego, że noc przepędził bezsennością; rozmyślając, co dalej będzie? E, e, e! nie będzie znowu tak źle, pocieszał się — wszakże uczniowie zapłacą za lekcje, to na jakiś czas wystarczy; mianowicie że mam nową bieliznę i nowe ubranie, mogę zatem być spokojnym. Lecz niestety spokojnym być nie mógł, bo pieniędzy za lekcje rysunków nie otrzymał. Ucznio-

wie obiecali zapłacić dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Nasz młodzieniec na zwłokę się zgodził, ambicya bowiem nie pozwalała mu przyznać się do kłopotliwego położenia. Nie przyznał się również nikomu, że z jego szkatułki ulotniły się dukaty. Ale, że gospodyni za obiad zapłacić należało, zatem nie zwlekając zastawił w mieście zegarek, poczem należytość za obiad zapłacił, i uspokoił się nieco, bo pozostało mu jeszcze trochę pieniędzy. Nie tyle jednak aby mógł zamówić sobie wikt jak w przeszłym miesiącu, postanowił poprzestać na bułce, kawałku chleba i szklance mleka. Oszczędności, które Antoś zaprowadził, dostrzegli koledzy, domyślili się powodu, a nie chcąc jałmużną upokarzać młodzieńca, starali się przyjsć mu w pomoc w sposób delikatny, i tak: ten zaprosił go na obiad, ów na kolacyą i jakoś schodził dzień za dniem szczęśliwie, że Antoś rzadko kiedy głodu zaznał. Za lekcye rysunków także kapnął od czasu do czasu grosz jaki. Nadeszła zima. Mieszkańcy Krzemieńca urządzali wieczorki tańczące, zapraszano na nie uczniów kursów a z nimi i Antosia; bawił się na wieczorkach wyśmienicie. Śród nauki i zabawy zapomniał o swoich kłopotach pieniężnych, aż razu pewnego przypomniały mu się w sposób bardzo przykry. Przyczyną przykrości były buty, w których podeszwy całkiem się podarły! To spostrzeżenie nabawiło nie małego kłopotu naszego młodzieńca. Siedział i dumał smutnie, zapatrzony w dziurawe podeszwy. Pomyślał, że są tak potrzebne,

jak dziury w moście. Myśli te jednak nie zaradziły złemu, trzeba było szukać rady w złej przygodzie. Sposób jednak żaden nie przychodził na myśl biednemu chłopcu, który też ze swoim zmartwieniem spać poszedł. Lecz spać nie mógł! Noc bezsenna jednak nie była bezowocna, nasunęła biedakowi sposób wyjścia z niemiłego kłopotu. Oto przypomniał sobie, że ma mocną tekturę, z której zrobi sobie doskonałe podeszwy. Doskonale — myślał, w poście, tańców nie będzie, więc wystarczą. Uradowany swoim pomysłem, zaczął usypiać, lecz rozbudziła go nowa troska. Wszakże to nadchodzi wiosna, a z nią błoto; więc tekturowe podeszwy nie wystarczą, w Krzemieńcu bowiem bywa błoto niezgłębione. Woda powstała z topniejącego śniegu zlewa się z przyległych gór do miasteczka, grożąc mu potopem. Myśli te zgnębiły Antosia na chwilę, ale że był chłopakiem zaradnym, nie poddawał się czarnym myślom, lecz szukał wyjścia z przykrego położenia i znalazł je po chwili. A od czegoż kamienie! pomyślał — z jednego na drugi przeskakując, będzie można dostać się do szkoły suchą nogą na tekturowych podeszwach.

Nazajutrz zerwał się Antos ryczłó świt i zmajstrował sobie podeszwy tekturowe, paradował w nich jakby były z najlepszej skóry i cieszył się, że przy pomocy tektury zasłonił przed ludzkimi oczami swoją biedę. Tak się naszemu zuchowi zdawało. Biedę jednak Antosia poczciwe ludzkie oczy widziały, i chciały jej

zaradzić w sposób taki, aby młodzieniec podstępnie się nie domyślił.

Razu pewnego, gdy Antoś w swojej izdebce śleczął nad książką, wszedł służący Proskury, tak nazywał się jeden z kolegów Antosia.

— A co mi to Andrzej powiecie? pyta Antoś przybyłego.

— Przychodzę do panicza z prośbą.

— Mówcie, słucham.

— Czy nie kupiłby sobie panicz odemnie butów? oto są, — to mówiąc postawił przed Antosiem doskonałą, nową parę butów.

Podczas gdy student w milczeniu przypatrywał się butom, tak bardzo mu potrzebnym, Andrzej mówił drapiąc się po głowie:

— Mój panicz kupił sobie te buty, ale na niego za ciasne, więc mi je podarował. Moją nogę trzababy chyba ocioseć, żeby się w te buty zmieściły, ale mnie się widzi, że one jak ulał na panicza będą. Kup je panicz; ja w tej chwili pieniędzy nie potrzebuję, zaczekam.

Antoś buty przymierzył, były istotnie na niego prawie, to też zawołał:

— Zgoda, usiłując pokryć swoją radość, — zapłacę wam za buty, gdy dostanę pieniądze za lekcję rysunków.

— Mnie nie pilno, odpowiedział Andrzej — dziękuje paniczowi.

— Ależ za co? — pytał student.

— Za co? za to, że nie będę potrzebował chodzić od domu do domu i z moimi buta

się napraszać, — mówił Andrzej, zabierając się od wyjścia; — dobranoc paniczowi.

— Dobranoc wam Andrzeju.

Możecie wyobrazić sobie, jaką dobrą noc miał nasz młodzieniec; dostał buty tak bardzo mu potrzebne w sposób tak dziwny, niespodziewany. Ci co zawsze całe buty mają, nie domyślają się nawet, jakiego przyjemnego uczucia doznał Antoś, gdy zamiast butów z tekturowemi podeszwami, wdział zgrabne nowe buty! Nie domyślał się jednak, że poczciwy Stach Proskura jego tekturowe podeszwy dostrzegł i z Andrzejem ułożył całą komedię, mającą na celu, zaopatrzenie ubogiego ucznia w buty.

Jednak pomimo serdecznych zabiegów kolegów, położenie Antosia pogorszało się z dniem każdym, jedem bowiem z jego uczniów ze świąt do szkoły nie wrócił, drugi zachorował, trzeci przestał się uczyć rysować z powodu bólu oczów. To też niedostatek dokuczał coraz bardziej Antosiewi, lecz w chwili najprzykrzejszej, trafiła mu się sposobność wydobyć się z przykrego położenia. Sposobność zdarzyła się pod postacią pana szambelana Radziwińskiego, który właśnie do Krzemieńca przyjechał, aby odwiedzić syna starszego stojącego na stancyi u księdza profesora Osińskiego. Przy tej sposobności chciał wyszukać nauczyciela domowego dla młodszego syna. Przyjechawszy do Krzemieńca zastał starszego syna uczącego się z Antosiem, chłopakom naukę przerwał i w rozmowę z nimi

się wdał. Z rozmowy przekonał się, że Antoś byłby doskonałym nauczycielem dla jego młodszego syna, to też Antosiowi posadę u siebie zaproponował. Antoś propozycję szambelana bez namysłu przyjął, uważając ją w swoim przykrem położeniu za deskę zbawienia. Stało na tem, że pan szambelan za tydzień konie po studenta przysze. Na wyjeździe, przy pożegnaniu z księdzem Osińskim, pan szambelan oświadczył, że jest bardzo zadowolony z tego, że Antoś za nauczyciela do syna młodszego się zgodził.

Nazajutrz dostał Antoś wezwanie od prefekta szkoły, Jarkowskiego; gdy przed nim się stawił, zacny człowiek zapytał:

— Cóż to moje dziecko, chcesz porzucić gimnazjum?

— Tak jest Mości Prefekcie Dobrodzieju.

— Dlaczegoż to władza szkolna o tem nie wiedziała? — mówił Prefekt, patrząc badawczo w oczy milczącego studenta.

— Wstydzileś się przyznać, żeś biedny, — mówił prefekt, — to wstyd fałszywy! biednych więcej na świecie niż bogatych. I jam nie z bogatych powstał. Praca i statek z ubóstwa wywodzą. Władza szkolna jest z ciebie zadowolona, nie ma ci nic do zarzucenia, prócz tego, żeś bez jej wiedzy sobą rozparządził. Ale to jeszcze da się przerobić; pamiętaj, że u mego stołu miejsce na ciebie zawsze czekać będzie.

Antoś wzruszony słowami Prefekta ucałował jego ręce, a po chwili rzekł:

— O nie odmawiaj mi ojcie dobrodzieju i nadal swojej życzliwości!

Prefekt ucałował w czoło rozrzewnionego chłopca i pożegnał go temi słowy:

— Prowadź się zawsze poczciwie moje dziecko, a prefekt będzie ci życzliwy.

Wzruszony Antoś wybiegł z mieszkania prefekta i szedł pospiesznie ku domowi, przechodząc koło mieszkania dyrektora nazwiskiem Czecha, ujrzał go stojącego na ganku swego dworku. Dyrektor dostrzegłszy Antosia, skinął na niego, gdy chłopak stanął przed swoim zwierzchnikiem, — ten ostatni rzekł:

— Proszę z sobą, mam z waćpanem do pomówienia.

Piękna twarz zacnego dyrektora wyrażała rozum i dobroć, pomimo to Antoś drżał przestępując wysokie progi zwierzchności szkolnej. Gdy weszli do pokoju dyrektor zapytał ucznia:

— Cóż to waćpan opuszczasz gimnazyum!

— Tak jest odpowiedział chłopiec, — spuszczać oczy.

— Jakież do tego miałeś powody?

Gdy zapytany milczał, dyrektor rzekł:

— To ja waćpanu powiem, nie miałeś się z czego utrzymać.

Antoś odpowiedział łzami jedynie. Wtedy dyrektor wziął płaczącego za rękę, i mówił głosem nabrzmiałym współczuciem:

— Nie wstydź się dobry młodzieńcze i jak ojcu wyznaj całe twoje położenie.

Antoś ośmielony okazaną mu dobrocią, jał

opowiadać o wszystkich swoich kłopotach, opowiadanie jednak musiał przerywać kilkakrotnie, bo lzy tamowały mu mowę.

Dyrektor słuchał opowiadania uważnie, na poważnej jego twarzy malowało się współczucie.

— Wierzę waćpanu, powiedział, gdy Antos skończył, mam ci jednak za złe, żeś do mnie zaufania nie miał i oddawna mi położenta swego otwarcie nie powierzył; ale nie znałeś mnie, a młodzi tak trudno do ufności w przełożonych nawykają! Jako człowiek kochający bliźniego, starać się będę nieść ci pomoc i ulgę, jako dyrektor zalecam zerwać umowę i pozostać w gimnazyum.

— Zerwać umowę? zawołał milczący dotąd Antos — czyż mogę?

— Możesz zerwać umowę, zawartą bez wiedzy władzy szkolnej, — odpowiedział dyrektor, to posłuży ci za wymówkę. Powiedz, że do końca roku szkolnego władza szkolna zarządzać ci sobą nie pozwala. Pan Radziwiński, człowiek rozumny, uzna słuszność twego zerwania i od słowa danego ciębie zwolni.

— O dalszem twojem utrzymaniu pomyślimy, — mówił dyrektor po chwili. Profesorowie Malawski i Jurkowski ofiarują ci mieszkanie i utrzymanie, za co waćpan w chwilach wolnych od nauki zajmiesz się ich uczniami. W kasie gimnazyalnej jest suma dla ubogich uczniów przeznaczona, z niej ile waćpanu potrzeba zasługnuję. Teraz idź już, — żegniam cię, — myślę,

że nadal będziesz otwartym z władzą szkolną i więcej w niej niż dotąd zaufania położysz.

Antoś ucałował rękę czcigodnego dyrektora, bo słów nie mógł znaleźć na wyrażenie swej wdzięczności. Gdy wyszedł na ulicę, spotkał się z kolegami, którzy go obstąpili i pytaniami zarzucili.

— No cóż? Prefekt i Dyrektor natarli ci uszów, za samowolne rządzenie sobą? — pytał jeden.

— Ależ gdzie! zaprzeczył Antoś, drżącym od wzruszenia głosem, a łzy błyszczały mu w oczach. Ojciec nie mógłby ze mną obejść się inaczej, — mówił po chwili. Czyż mogłem spodziewać się, żeby o tak mało znaczącego ucznia jak ja, troszczono się tak po ojcowsku. Po tych słowach opowiadać jał szczegółowo co powiedzieli mu obaj zwierzchnicy szkoły.

Uczniowie ze wzruszeniem słuchali opowiadania kolegi, jeden zaś z nich widząc, że wszyscy na wysoki ton nastrojeni, zapragnął weselszej nuty, więc rzekł:

— No wszystko dobrze się skończyło, kiedy Antoś z nami zostaje, ale skoro mu władcy szkolni uszów nie natargali, więc czego nie zrobili oni, zrobimy my!

— No ależ za co mieli mu uszy nacierać? Czyż za to, że pracą chciał od siebie odsunąć niedostatek?

— Zasłużył na nagane za samowolne zarządzanie własną osobą; — powiedział któryś.

Widocznie przełożeni tego za winę nie uznali, skoro obeszlą się z Antosiem tak łagodnie.

— Nie mogli tego za winę nie uznać, — zawyrokował inny — tylko wzruszyli się jego położeniem i przebaczyli.

— Że opuszczenie samowolne szkoły winą jest, świadczy odezwa pana starosty.

— Tego nie wiedziałem! odezwy nie czytałem, przemówił wreszcie Antoś, któremu dotąd koledzy do słowa dojść nie pozwolili.

— Nie wiedziałem! nie czytałem! to nie jest żadna wymówka, — zawołał jeden z kolegów. Ciebie teka i ołówek do szkoły wprowadziły, więc myślisz, że bezkarnie sobą rozporządzać możesz, żartował inny.

— Podziękuj Bogu, że w tej chwili nie ma w Krzemieńcu pana starosty, bo czego nie zrobił prefekt i dyrektor, byłby zrobił on, bo przekraczać ustawy surowo pan starosta zabrania.

Chłopcy słuchając tych pogrózek zaśmiali się; wszystkim znana była łagodność pana starosty, to też jeden z chłopców powiedział:

— Już jabym chciał widzieć pana starostę nacierającego komu uszy! Jeżeli prefekt i dyrektor obeszlą stę z Antkiem, tak jak ojciec rodzony, to zaręczam, że pan starosta byłby obszedł się z nim jak matka.

— No, ale skoro Antoś ustaw i odezwy do młodzieży pana starosty nie czytał, to chodźmy do domu, ja mam odezwę, więc mu ją przeczytam, niech na drugi raz ma się na ostrożności i samowoli się wystrzega! — rzekł

jeden z kolegów Antosia, przybierając groźną postawę.

Nim chłopcy doszli do swojej stancyi, spotkali Proskurę, który właśnie ze świąt Wielkonočných powrócił. Wszyscy wiedzieli, że Proskura żyje w przyjaźni z Antosiem, więc opowiedzieli mu zaraz całą jego przygodę w sposób żartobliwy: Pismo Święte poucza nas — mówił jeden z chłopców — że pasterz porzucił 99 owieczek dla jednej zaginionej. Antos jest tą owieczką, która nim zginęła, doznała tak troskliwej opieki od pasterzy.

Proskura słuchał w milczeniu opowiadania kolegów, a gdy skończyli, rzekł:

— Tyle zachodu! a niechby sobie był pojechał do pana szambelana.

Obojętne słowa przyjaciela zrobiły przykrość Antosowi, nie mógł jednak nad nimi rozmyślać, bo właśnie weszli do stancyi kolegi, który wydobyl z kufierka odezwę pana starosty i z niej czytał niektóre wyjątki:

»Skoły otwierają się corocznie 15-go września, a kończą się 20-go lipca. Każdy uczeń przyjechać winien na czas otwarcia szkoły. Jeżeli się spóźni do 20-go września, przyjętym nie zostanie; choroba tylko własna lub jednego z rodziców zaświadczona, od tej surowości uwalnia«.

— Ten ustęp nie do ciebie się odnosi, — rzekł, przerywając czytanie, ale otóż ten właśnie przeciw któremu wykroczyłeś, słuchaj:

»Ktokolwiek bez gwałtownej przyczyny,

o której stanowi władza edukacyjna, wyjedzie przed egzaminami, zostanie w tejże samej klasie lub kursie. Kto nie dokończy kursów, nie tylko świadectwa nie dostanie, ale rząd edukacyjny uwiadomi inne władze, aby zapowiedziana srogość przez prawo skutek swój wzięła. Kraj bowiem potrzebuje ludzi moralnych i umiejętnych, a przerwana i niedokończona nauka, czyni młodzieńca półuczonym, tak że często brak wszelkiej nauki obok ucziwości, jest pożądaną, niż natłoczone i nie uporządkowane wiadomości.

— Słyszysz jakim to ty jesteś winowajcą! — mówił uczeń, przerywając na chwilę czytanie, ale posłuchajno jeszcze chwileczkę, co to tu dalej pan starosta napisał, a przekonasz się, że i on potrafi być surowym:

»Za każde przewinienie spotka winowajcę niezwłocznie odpowiednia kara. Zalecam najmocniej, aby uczniom darowaną kara nie była. Uronię może łzę nad nieszczęśliwym, który zasłuży na całą surowość kary, lecz musi to nastąpić, aby przykład mógł wymownie przemówić do bojaźni, kiedy szlachetne uczucia niezawsze stworzą ciągle i dobre postępowanie. Każdy kursów uczeń niech wspomni, że wychodząc z klas, zaczyna nową epokę życia swojego; że należąc pierwiej do społeczności rodzinnej, zbliża się do tego momentu, kiedy narodowa społeczność go przyjmuje, aby umiał sumiennie rozkazywać, lub dokładnie wykonywać poruczone obowiązki.«

»Pochlebiam sobie, że mam jakiegokolwiek prawo do waszych serc. Nie chciałbym was smucić. Pomagam wam być wesołymi; a jeżeli powinność nasza, każe zrządzić szczególnym uczniom przykrość dla ich dobra, stanie się ona zarodem wesołości w dniach dojrzałego życia, kiedy już w surowej cnocie znajdziecie pomyslnosć, a wtenczas prawdziwe moralne nieszczęścia nazwicie skutkiem namiętności, którym rozum nie rozkazuje«.

Dalsze czytanie przerwały rozmowy wesołych kolegów. Cieszyli się serdecznie, że przykre interesa Antosia wzięły tak pomyslny obrót.

— No kiedy wszystkie twoje strapienia obróciły się na dobre, więc i my się obrócmy i spać chodźmy, aby jutro ze świeżym umysłem pójść do szkoły.

Po tych słowach chłopcy powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się, po swoich stancjach. Antoś przyszedłszy do swojej izdebki, ukląkł i w krótkiej modlitwie podziękował Bogu za pomyslnie zakończenie swego niedostatku, poczem spać się położył i natychmiast zaśnął po różnorodnych wrażeniach przeżytych przez dzień. O świcie obudziwszy się, posłyszał jakby tykotanie zegarka. Ależ to nie zegarek, pomyślał, wszakże zegarek zastawiony, to musi kołatek ścianę toczyć. Jednak tykotanie było tak wyraźne, i to nie w ścianie lecz pod poduszką. Co to być może? — Antoś podnosi poduszkę i widzi swój własny zegarek! Na ten widok łyzy radości puściły się z ocz biednego studenta,

odzyskany bowiem zegarek był drogą dla niego pamiątką.

— Kto jednak zegarek wykupił? — przemknęło po głowie uradowanego chłopca. — Niezawodnie Proskura! nikt inny, on bowiem jest najzamożniejszy z moich kolegów; właśnie ze swiąt wrócił, widocznie pieniądze od rodziców dostał i zegarek wykupił. A udawał wczoraj dla mnie obojętność, umyślnie żebym się nie domyślił pocziwego czynu.

Delikatność uczynnego kolegi wzruszyła naszego biedaka do głębi, wzruszenie spotęgowało się, gdy przypomniawszy sobie buty przyniesione przez służącego Proskury, teraz dopiero rozumiał odegraną z nim komedję. Nim dzwonek szkolnego kościoła wezwał uczniów na ranne nabożeństwo, Antoś pobiegł do pocziwego kolegi i obaj chłopcy rozrzewnieni padli sobie w objęcia.

Możecie wyobrazić sobie, jak rzewnie dziękował Antoś Bogu podczas nabożeństwa, za przyjacielskie, zacne serca, które biednego chłopca otoczyły pomocą i opieką. Wspomnienie tych chwil wzruszających zachował Antoś do grobowej deski.

ul. Mickiewicza N. 18

Chorzanów Jan Doktor ~~Chochbatom~~

Chochbatom lekarz Mijski

V.

Rozrywki, mundury, zakończenie roku szkolnego.

W jednej z odezw pisanych przez Tadeusza Czackiego do młodzieży, czytamy:

»Nie chciałem i nie chcę was smucić, pomagam wam być wesołymi«. Że słowa te były prawdziwe przekonam was zaraz: Spójrzycie! jak wesoło, jak swobodnie, bawi się młodzież w Krzemieńcu! gdy odbędzie lekcye szkolne i przygotowuje się do lekcyi na dzień następny. Lekcye w szkole nie długo trwały, bo dwie godziny rano, dwie po obiedzie. Kto miał ochotę nabawić się do woli, robił szybko i starannie wypracowania pisemne i wyuczał się zadanych lekcyi, potem mógł już wesoło i swobodnie bawić się z kolegami, a nawet dostąpić tego zaszczytu, że mógł grać w piłkę z samym panem starostą. Jeżeli bowiem zjawił się na galeryi, w czasie gdy chłopcy, podzieleni na oddzielne gromadki, w piłkę grali, wtedy każda gromadka zapraszała pana starostę do współudziału w zabawie, wołając:

— Z nami panie starosto, z nami! — przy tych słowach rozbawieni chłopcy, obstępowali go kołem, całowali po rękach, chwyтали za poły oliwkowego surduta, zapraszając w swoją stronę.

— Ze wszystkimi naraz grać nie mogę, jeno po kolei, — odpowiadał dobrotliwie pan starosta, a następnie stawał wśród gromadki grających, brał piłkę i w ściankę lub kaszę przewodził.

— Co te nazwy znaczą? tego wam wyjaśnić nie potrafię, bo nigdy w piłkę nie grywałam, zapytajcie zatem o wyjaśnienie amatorów gry w piłkę.

Pan starosta jakkolwiek dla przyjemności uczniów w piłkę grywał, ale dobrym graczem nie był; nie potrafił bowiem z powodu krótkiego wzroku piłki chwycić, lub tafić w wyciągniętą dłoń, czyli po studencku, w łapę uderzyć. Grając ze studentami nie pozwalał sobie oszczędzać, lecz gdy do celu nie trafił, lub piłki rzuconej nie pochwycił, wyciągał dłoń, aby odebrać karę za niezręczność. Niejeden malec ujrawszy wyciągniętą dłoń pana starosty, rękę swą uzbrojoną w piłkę opuszczał, nie śmiejąc nią rzucić na tę ojcowską rękę, która przygarnęła do siebie młodzież polską i darzyła ją nauką i cnotą.

Pan starosta umęczony grą w piłkę, wymykał się niepostrzeżenie z pośród wesołej gromadki i szedł do pracy lub przypatrywał się bawiącej się młodzieży.

Jedni uczyli się jazdy konnej, inni fechtunku,

plywania i tańców. Wszędzie pan starosta zabiegał i przestrzegał umiarkowania i porządku.

Najstarsi uczniowie lubieli zabiawiać się w rzucanie drobnych przedmiotów w górę. Celował w tem najrzęczniejszy z uczniów niejaki Studziński. Wyrzucał w górę miedziany pieniądz, który za każdym razem ocierał się z głośnym brzękiem o najwyższy szczyt gimnazjalnego kościoła.

Przypatrzyliśmy się uczniom szkoły krzemienieckiej wśród rozmaitych okoliczności, popatrzmy jeszcze na nich podczas szkolnej uroczystości, urządzonej na zakończenie roku szkolnego. Była to chwila bardzo uroczysta, na którą sposobili się nie tylko sami uczniowie, lecz całe miasteczko. Na egzamin bowiem zjeżdżały się rodziny młodzieży uczęszczającej do szkoły. Na ich przyjęcie gotowali się właściciele domów zajezdnych w Krzemieńcu, bielono, myto, sprzątano gościnne pokoje, zaś sklepy zaopatrywały się w najwyszukańsze towary, nęcąc do siebie siostry i kuzynki uczniów krzemienieckich. Wczasy egzaminu ruch w Krzemieńcu bywał jak po wielkich miastach.

Uczniowie powtarzali lekcye i oglądali swoje mundury. Jak żołnierze na paradę szykowali się chłopcy na czas egzaminu. Mundur powinien był wyglądać jak nowy, a mundury w szkole krzemienieckiej zaprowadził Tadeusz Czacki dlatego właśnie, aby nim zastąpić zbyt-kowne stroje w jakie zaopatrywali zamożni rodzice dzieci swoje. Uczniowie jednakowo po-

ubierani zapomnieć musieli o różnicach majątkowych i towarzyskich. Mundur zrównał ich między sobą, a wyróżniała jedynie praca, pilność i obyczajność.

Tadeusz Czacki często i z naciskiem powtarzał: »Proszę rodziców i opiekunów, aby na niepotrzebne stroje, wymyślne bielizny lub inne ubrania, którym moda codziennie daje inny kształt i to, co teraz poleca w krótkim czasie znowu wyśmiewa, nie dawali pieniędzy. Mundur gimnazjalny z sukna krajowego, w cenie średniej jest zaszczytem; wolność onego noszenia jest chwałą. Mundur koniecznie na wszystkich uroczystościach powinien być noszony od tych co go mieć mogą. Ubożsi niech się starają mieć surduty mundurowe. Kto do mnie ma interes, uczyni mi rzecz przyjemną, gdy w mundurze przyjdzie. Czapki haftowane i t. p. oznaki zbytku są śmiesznością. Uczeń nie powinien okazywać miękkości, ta nie jest godna młodzieńca nadziei. Kogo postrzegę, że zbyt kownie się będzie ubierał, drogie suknie nosił, tego nie będę uważał za dziecko mnie miłe; bo uważam go jako nie chcące prostotą szlachetną, szukać w mojem sercu szacunku.

A że każdy uczeń szkoły krzemienieckiej chciał być miłym panu staroście, każdy pragnął u niego zasłużyć na miłość i szacunek, każdy zatem starał się mieć skromny, a przecie gustowny mundur. Był on z sukna granatowego z niebieskiem kołnierzem i z pasowemi wypustkami.

Ubodzy, a pilni nie mieli trudności w zaopatrzenie się w mundur, bo pan starosta z pomocą dyrektora i prefekta, starał się ubogiej a pilnej młodzieży przyjść z pomocą.

Urządzono dla ubogich a pilnych uczniów konwikt bezpłatny, w którym znajdowało pomieszczenie często więcej jak stu studentów. Starsi a zdolni i pilni mogli zapracować na swoje utrzymanie, bo dodawani byli jako dozorczy do dzieci zamożnych, a za naukę i nadzór mieli utrzymanie i płacę bardzo dostateczną do zaopatrzenia się w mundur.

Egzamina, a raczej popisy odbywały się w Krzemieńcu w kościele pojezuickim, zwanym gimnazyalnym.

A to dlaczego? zapytacie. Oto dlatego, że w gmachu szkolnym, w pierwszych latach istnienia szkoły, nie było tak wielkiej sali, w którejby pomieścić się mogła licznie zjeżdżająca się publiczność. Później, gdy Tadeuszowi Czackiemu udało się od rządu dostać dochody ze starostwa krzemienieckiego na potrzeby szkoły, gmachy szkoły powiększył, obszerną bibliotekę i gabinety do nauk przyrodniczych urządził, wtedy uroczystości szkolne odbywały się w obszernej sali bibliotecznej. Popis trwał zwykle dni kilka, starsi z wielkiem zajęciem przysłuchiwali się roztropnym odpowiedziom uczniów, z wielkiem zajęciem przypatrywali się doświadczeniom z dziedziny fizyki i chemii, które uczniowie zręcznie wykonywali. Po kilkudnio-

wym popisie, następował dzień rozdawania nagród. *)

Wśródki kościoła, po prawej od wchodu stronie, ustawiono siedzenie dla biskupa, po lewej, tron z portretem cesarza, dalej krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki, poza nimi porządkiem uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo ciekawych widzów. Uczniowie klasami rozstawieni, zajęli swe miejsca, na czele każdej klasy gromada celujących, należynej nagrody oczekuje. Kursa osobno stoją, wszyscy w mundurach, wszyscy śmiało i wesoło spoglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici.

W szkole krzemienieckiej nie tylko ozdabiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpsute nawet, wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczyć się pragną.

Naraz od drzwi wchodowych dał się słyszeć szelest, wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: Idą! Jakoż weszli nauczyciele parami porządkiem starszeństwa, ci co szli naostatku nieśli; jeden dyplom cesarski, zawierający pozwolenie założenia szkoły w Krzemieńcu, drugi na tacy medale; za nimi dyrektor i prefekt, dalej członkowie komisji edukacyjnej, na samym końcu szedł Czacki, za

*) Opis uroczystości zamknięcia roku szkolnego według Ramot starego Detiuka i pamiętników Karola Kaczkowskiego.

nim sekretarz gimnazjalny ze stosem świadectw i listów pochwalnych. Rozstapili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła, na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne. Sekretarz zajął miejsce za krzesłem Czackiego, ksiądz biskup zaintonował *Veni Creator*, po odśpiewaniu którego, Czacki zagaił posiedzenie piękną a krótką przemową, jeden z profesorów miał pouczający odczyt, wreszcie nastąpiło rozdanie nagród, od pierwszej klasy aż do trzeciego kursu, każdemu oddając list pochwalny, Czacki coś przyjemnego i stosownego powiedział. Na ostatku rozdawano medale, te przypinali najzasłużeńszym uczniom najwyżsi dostojnicy obecni na uroczystości lub też najbliżsi krwni celującego ucznia.

Po tych uroczystościach wezwał Czacki tych uczniów, którzy Krzemieniec już opuścić mieli, i żądał aby w obec Boga, wszystkich szkolnych władz, pozostającej nadal w szkole młodzieży i licznie zgromadzonego obywatelstwa, przyrzekli, iż się nigdy złymi postępками nie splamią, że nabytych nauk nie sponiewierają, że myśl dobra narodowego i społecznego całe życie przewodzić im będzie, że w pracy i dalszem kształceniu się nie ustaną i że wreszcie pamięć tej szkoły i braterską miłość na zawsze w sercu zachowają.

Każdy opuszczający szkołę krzemieniecką uczeń, przyrzeczenie składał i podpisywał się w osobnej na ten cel przeznaczonej księdze.

Czacki następnie każdego do piersi przycisnął i ucałował, dając w ten sposób nowemu do społeczeństwa przybyszowi, pierwsze powitanie a zarazem ojcowskie na dalsze życia koleje błogosławieństwo.

Zakończył poważną, rzewną uroczystość ksiądz biskup hymnem św. Augustyna i powszechnem pasterskiem błogosławieństwem.

Każdy potem udawał się w swoją stronę, na wakacje. Pierwszem staraniem uczniów medalowych było postarać się o haft na kołnierzu mundurka, było liść dębowy połączony z kłosem pszenicy. Potem można było poznać ucznia nagrodzonego medalem. Nic też dziwnego, że medalowi uczniowie dbali o ową odznakę. Medal bowiem był najzaszczytniejszą nagrodą, którą zdobywało się jedynie zasługą własną, bo pracą i rzetelnymi postępami w naukach.

Do tych medalowych uczniów należał opisany poprzednio syn stolarza.

VI.

Sądy uczniów, wieczorki w kasynie.

We dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego w Krzemieńcu, następowała ważna chwila dla uczniów kursów, t. j. wybory. Jakie wybory? — zapytacie. Wybory sędziów i prezesa z pomiędzy uczniów, do sprawowania sądów i wydawania wyroków na winnych.

O tem, że grono profesorów ma prawo sądzić i karać uczniów, wiedzieliście; żeby takie prawa mieli uczniowie, to was zadziwia i zaciekawia.

Chcąc bliżej poznać »sądy uczniów« zaprowadzone przez Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu, chodźmy na wybory. Spieszycie oto na nie młodzież ze wszystkich kursów, a że sam dyrektor nie ma czasu przewodniczyć wyborom, zastąpi go szanowny prefekt, Jarkowski. Zajął oto miejsce na podwyższeniu i ma zamiar przemówić do zebranej młodzieży. Nastąpiła zatem cisza, a prefekt w te ozwał się słowa:

Władza edukacyjna zaszczyca waćpanów

swoim zaufaniem, skoro powołuje was do sądzenia waszych wykroczeń. Niechże waćpanowie wyborów dokonają rozważnie, niech ten wybór okaże, że godni jesteście zaufania, że dojrzeliscie do sprawiedliwego osądzenia spraw własnych, że daną wam władzę potraficie zużytkować ku doskonaleniu się własnemu. Celem bowiem wykształcenia i wychowania, jest dążność udoskonalenia się, i was władza edukacyjna wzywa do współudziału w tej pięknej pracy. Ci z pomiędzy was, którym wybór kolegów powierzy, trudny lecz zaszczytny urząd sędziów, niech pamiętają przede wszystkim o tem, że największą zasługą ich będzie, doprowadzenie do zgody zwaśnionych. Skończyłem, w imię Boga zacznijcie.

Cisza panująca podczas przemówienia prefekta, przerwana została gwarem naradzających się chłopców. Każdy kurs naradzał się osobno, każdy bowiem miał prawo wybrać z pośród siebie jednego sędziego, wszystkie zaś kursa razem obierały przewodniczącego t. j. prezesa.

W sali gwaro było, lecz nie krzykliwie, chłopcy zachowali się poważnie, zrozumieli, że przystępują do sprawy ważnej, wymagającej rozwagi i spokoju. Tu i ówdzie słychać było wymieniane nazwiska, na jedne godzono się, na drugie nie.

— Tego wybrać nie można, — mówiono.

— Pamiętajcie! że wybory zatwierdza dyrektor, wstyd byłby dla nas, gdyby naszego

wyboru nie zatwierdził, gdyby zarządził powtórne wybory i sam kandydata naznaczył.

W ten sposób rozważniejsi upominali tych, którzy zbyt pospiesznie, bez namysłu chcieli dokonać wyboru.

Trudniejsze jeszcze było zadanie sędziów niż wyborców! Młode głowy dobrze się nieraz namozoliły, gdy im przyszło wyrok wydać na winowajcę. Namysłano się, naradzano, zasięgano rady profesora prawa. I nie można się dziwić, że tak bardzo ostrożnie przystępowano do wydania wyroku skazującego kolegę na karę. Pomysłcie jeno! czyto łatwo, n. p. zabronić kolidze prawa noszenia szpady lub pałasza. Uczniowie kursów mieli prawo noszenia tej broni w niedzielę i święta. Jeżeli zatem uczeń ukazał się bez szabli, wiedziano już oczywiście, że to za karę. A jaki to wstyd! nie tylko w obec kolegów, lecz w obec młodszych uczniów szkoły, patrzących zazdrosnem okiem na tych, którzy mieli prawo noszenia szabli przy mundurze. A przecież i w miasteczku starszych uczniów znano, i gdy którego ujrzanano bez szabli, domysłano się zaraz, co to znaczy! A jednak wzbronienie noszenia pałasza, nie było najsroższą karą, jaka czekała winnego. Gdy wina była cięższa, wypisywano imię i nazwisko winnego na osobnej tablicy, okrywano napis czarną krepą i wieszano ją w klasach. Żałobna oznaka, pokrywająca nazwisko winnego, oznaczała, że winowajca złym czynem okrywał żałobą zakład cały. Kary tej bano się jak ognia. Młodzi sędzio-

wie jednakże nie tylko dla tego biedzili sobie głowy nim skazali na karę kolegę, że ta kara sprawiała przykrość ukaranemu, dla którego sędziowie mieli uczucie bratnie, zalecane im przez założyciela szkoły, ale i dlatego, że przebieg sprawy, wreszcie wyrok wpisywano do osobnej księgi, którą przedkładano dyrektorowi. Nim bowiem wykonano wyrok, dyrektor sprawę rozpatrywał i wyrok zatwierdzał, lub nie, mógł oddać sprawę gronu nauczycielkiemu, które miało prawo wydać ostateczny wyrok. Młodzi sędziowie chcąc godnie odpowiedzieć położonemu w nich zaufaniu, mieli tę ambicję, aby wszystkie sprawy przeprowadzić rozważnie i sprawiedliwie, aby dyrektor lub grono profesorów nie potrzebowało wydanego wyroku zmieniać.

— Nowina! wielka nowina! — wołał jeden z uczniów kursów do czekających na lekcję fechtunku kolegów.

— Jaka nowina? Czy dobra? A mówże — wołano ze stron wszystkich.

— Nowina cudowna! przewyborna! Pan starosta przygotował dla nas wielką przyjemność.

— Ależ zlituj się, mów prędzej! ja o mało ze skóry nie wyskoczę.

— Słuchajcie! będziemy mieli w zimie wieczorki tańczące! zakładają dla uczniów kasyno!

— Czy być może? Czy mówisz prawdę? Ej, może sobie z nas żartujesz! — posypały się wykrzykniki ze stron wszystkich.

— Czyż mam przysięgać, że mówię prawdę?

— Jakże do tego przyszło, — mów dokładnie!

— Czy ja wiem jak przyszło, ani się o to troszcząc, cieszę się że przyszło!

Władek zaraz indagacją ciągnie, jakgdyby zasiadał w sądzie uczniów.

— Jeżeliście ciekawi wiedzieć, jak do tego przyszło, pytajcie Karola, on o kasynie coś więcej wie, chociaż nie mówi.

— Skąd wie? dlaczego nie mówi! — wołano ze wszystkich stron.

— Skąd wie? czyż trudno się domyśleć? Wszakże wiecie, że uczniowie medalowi bywają zapraszani na obiady do pana starosty, otóż Karol, będąc tam na obiedzie, o kasynie słyszał, ale o tem nie mówił, bo sobie pan starosta życzył, żeby do pewnego czasu rzecz była w tajemnicy. No ale skoro o kasynie już wróble na dachu świstają, to niech nam Karol opowie wszystko, szczegółowo.

— Niech opowie! niech opowie! — wołali wszyscy.

— Ależ na Boga cicho! gdyby nawet opowiadać chciał, czyż go kto usłyszy?

— Prawda! — uciszcze się! — no cicho! Karol ma głos; przy tych słowach obstąpiono Karola dokoła, a on jął opowiadać, gdy się uciszyło.

— Już ja wam tego mówić nie potrzebuję, że pan starosta niezmordowanym jest w obmyślaniu wszystkiego co służy dla naszego dobra.

— I przyjemności, — wtrącił któryś z uczniów.

— Dla naszego dobra, — powtórzył z naciskiem Karol.

— Temu nikt nie zaprzeczy, jednak kasyno służyć będzie dla naszej przyjemności jedynie, — przerwał opowiadającemu jeden z uczniów.

— Owóż mylisz się, pan starosta zakładając dla nas kasyno, nie tylko naszą zabawę miał na myśli; jakkolwiek pamięta on zawsze o naszej rozrywce. Zabawa i wprawa w tańcu były na dalszym planie przy zakładaniu kasyna.

— Cóż było na pierwszym planie? — pytano niecierpliwie.

— Gdybyście mi nie przerywali, już byłbym wam powiedział, a tak...

— Już milczeć będziemy, jak ryby! tylko mów.

— Słuchajcież uważnie! — mówił Karol. Pan starosta pamięta o tem, że młodzież wychodząca z Krzemieńca, będzie należała do światowej społeczności, w której czeka ich praca i rozrywka, w której ważną jest rzeczą grzeczne obchodzenie się z ludźmi. Tego nabędzie na zebraniach publicznych w kasynie, gdzie młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycieli, rodziców i obywatelstwa bawiąc się, będzie przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie. Oto główny cel założyć się mającego kasyna.

— Rzecz wybornie pomysłana!

— Przyjemne z pożytecznem połączone!

— Brawo! brawissimo!

— Niech żyje nasz najlepszy ukochany pan starosta! — wołano zewsząd.

— A toż bawić się będziemy duszą całą — zawołał któryś.

— Pomału bratku! pomału! nie tak łatwo dostać się do rajku! — wołał Karol.

— No! a toż dlaczego nie łatwo? — pytano.

— Zapomnieliście o przypowieści mówiącej: że łatwiej wielbłądowi przejść przez uszko od igły, niż bogaczowi dostać się do nieba.

— Cóż ta przypowieść ma wspólnego z kasynem, które dla nas zakłada nasz najlepszy pod słońcem pan starosta? Jeżeli kasyno jest rajem, to my nie bogacze, zatem dostaniemy się do niego z łatwością! — wołali studenci.

— Mówię wam, że nie z łatwością!

— Ależ dlaczego? — wołano niespokojnie.

— Bo chcąc bywać w kasynie, nie wolno przekroczyć ustaw, które są twardym orzechem do zgryzienia.

— Jakich ustaw? czy szkolnych? — pytano.

— Nowych ustaw dotyczących się wyłącznie kasyna, — odpowiedział Karol.

— Jakież to ustawy? znasz je? więc powiedz, niech spojrzymy niebezpieczeństwu w oczy.

— Powiedz! powiedz! łatwo wam rozkazywać, mnie jednak nie łatwo wyrecytować wszystkie, — bronił się Karol.

— Dlaczego nie łatwo? — pytano.

— Bo ich jest dużo! nie spisałby ich na wołowej skórze.

— Nie gadaj! przesadzasz! — wołano ze-
wsząd. Musiałeś jednak choć trochę zapamiętać.

— Nie a nic! — przekomarzał się Karol
z kolegami.

— Ot złośliwe żarty sobie z nas stroisz!
a to nie pięknie, bo nam wcale nie do żartów,
otworzyłeś nam jakby bramy raj, i nagle zam-
knąłeś je nam przed nosem.

— Gdybyście byli mniej gadatliwi, już wie-
dzielibyście wszystko; — rzekł flegmatycznie
Karol.

— Jakim sposobem? skoro ustaw nie pa-
miętasz.

— Mam je spisane.

— Dlaczego nam tego nie powiedziałaś
odrazu?

— A czy pozwolicie mi przyjść do słów

— No czytaj! proszę cię, nie nadużywaj
naszej cierpliwości!

— Zaraz, zaraz, — mówił Karol szukając
po kieszeniach, wyjął wreszcie jakieś szpargały
i jał je flegmatycznie przerzucać, wreszcie roz-
łożył papier jakiś, mówiąc: Acha! już je mam,
a niechże cię! to są notatki do chemii, a to
znowu do literatury! No już teraz znalazłem.
tylko uciszcie się i słuchajcie:

1) Każda zabawa w kasynie powinna być
w sobotę, albo w wigilią jakiegoś święta, ażeby
nie przeszkadzało przygotowaniu się na lekcye
poniedziałkowe i poświęteczne.

2) Uczeń nie mający z całego tygodnia

świadczenia pilności w naukach i dobrego prowadzenia, znajdować się na zabawie nie może.

Karol przeczytawszy punkt drugi, chrząknął, chrząknięciem jakgdyby podkreślił przeczytane zdania. No jak wam się punkt drugi podoba? pytał milezących teraz kolegów.

— Czytaj dalej! nie bądź gadułą — rzekł tonem niecierpliwością nabrzmiałym jeden z chłopców.

Karol czytał dalej:

3) Uczeń celujący w naukach, jeżeliby miał u prefekta jaką obyczajową notę, traci prawo bywania na zabawie.

Ozwał się znowu znaczące chrząknięcie Karola.

— Jeżeli cię gardło boli, to ja czytał będę, ozwał się któryś z kolegów.

— Ależ gardło mnie nie boli — zaprzeczył Karol, podkreślając jeno punkty wybitniejsze.

Daj pokój żartom! Nie baw się w dowcipnisia! — wołano zewsząd.

Gdy się uciszyło, Karol czytał:

4) Tym tylko uczniom wolno bywać na zabawach, których fundusz po zaspokojeniu potrzeb innych, pozwoli kilka złotych obrócić na bilet wejścia.

5) Jeżeliby się okazało, że uczeń dług zaciągnął, aby mieć pieniądze na kupienie biletu, ten tracił prawo wchodzenia na zabawy.

6) Na każdym kasynie z obowiązku znajdować się powinno dwóch nauczycieli i prefekt: ażeby mieć pilną bacność na zachowanie się uczniów.

7) Dla uniknięcia zbytku w ubraniu, uczniowie w mundurach bywać powinni.

Nie potrzebniesz nas nastraszył, — rzekł jeden uczeń, gdy Karol czytać przestał, — ustawa nie przedstawia żadnych trudności dla uczniów.

— Brykać nie pozwala! leniuchować nie pozwala! — mówił z naciskiem Karol.

— Czyż na brykanie lub leniuchowanie zjeżdżamy się do Krzemieńca? — rzekł tonem urazy któryś ze starszych uczniów.

— Daj pokój! wprawdzie nie po brykanie, nie po leniuchowanie tu zjeżdżamy, ależ trudno nie brybnać czasem, a i toczenie nieustanne walki, z naszym najzaciętszym wrogiem, leniuchem, nie jest rzeczą łatwą.

Tym większa zasługa dla zwycięzcy! — dodał któryś.

— Jednem słowem — ozwał się jeden z uczniów, będący śmielszej natury, od nas samych zależeć będzie wyłącznie, czy będziemy znajdowali się na wieczorku w kasynie.

— Oczywiście, że od nas! — zawtórowano. Zatem będziemy, — niezawodnie będziemy! — zawołali wszyscy.

— Każdemu przecie zabawa pachnie, a i przetarcie się między ludźmi, obycie towarzyskie, wiele znaczy! to też każdy korzystał będzie ze sposobności, którą nam nasz drogi pan starosta nasuwa.

— Niech mu Bóg daje wszystko co najlepsze, — dorzucił Karol.

— Według mego zdania, — ozwał się jeden

z najstarszych uczniów, — nie punkt drugi i trzeci, które Karol przy czytaniu złośliwie chrząknięciem podkreślił, sprawią trudność uczniom, lecz opłata wejścia, niedostępna dla ubogich uczniów, którzy właśnie najwięcej oglądy towarzyskiej potrzebują.

— Bądź spokojny o nich, — odrzekł Karol, pan starosta o nich nie zapomniał! Czyżby zapomnieć mógł? Jeżeli dla nich pozakładał bezpłatne konwikta, jeżeli je sam często zwiedza, w celu przekonania się, czy mają zdrowy wikt i dobre powietrze, jeżeli posyła im bezpłatnie lekarza, jeżeli dostarcza im zadarmo lekarstwa; czyż zapomniałby dla nich o rozrywce?

— Pan starosta nie darmo nas dziećmi swemi mianuje, — mówił po chwili Karol, — o każdym z nas jak o dziecku swoim pamięta, nie zapomniał także o biedakach zakładając kasyno. Oto każdy ubogi uczeń, jeżeli nie wykroczy przeciwko 2-mu i 3-ciemu punktowi, bilet wejścia na wieczorek kasynowy zadarmo otrzyma.

— Doskonale! cudownie wszystko pomyślane!

Panowie! pałasze do rąk, i rozpoczynać lekcya.

— Raz! dwa! trzy! — zakomenderował nauczyciel fechtunku.

Brzęk pałaszy i silne cięcia rozległy się w sali i uczyniły dalszą rozmowę nie możliwą.

»Zaraz w pierwszym roku po zaprowadzeniu kasyna (1811 r.) odbyło się 16 balików w czasie od Bożego Narodzenia do końca kar-

nawału. Na balikach bywali uczniowie, (poka-
zało się, że nie przeszkadzały im one w nau-
kach, owszem były zachętą w pilności) bywały
panny z pensjonatów, bywali obywatele i oby-
watelki. Zgromadzona młodzież niewinnie się
bawiła pod okiem gospodyni, gospodarza i wła-
dzy szkolnej. Te 16 balów kosztowało 35 złotych.
Zaludnione bale dały naukę obyczajności, łączyły
powagę sędziwych z wesołością młodych. Z wielką
moją pociechą żadna nie okazała się na nich
nieprzyzwoitość.

W tych słowach pisał o balikach kasyno-
wych Tadeusz Czacki, które dla młodzieży łą-
czyły istotnie przyjemność z pożytkiem.

Dziwi was może, że owe baliki były tak
ludne, wszakże Krzemieniec to mała miejscina.
Tak, ale mała miejscina od czasu założenia tu
szkoły, powiększała się z każdym rokiem. Za
dziećmi ciągnęli do Krzemieńca rodzice, zwłaszcza
na zimę, najmowali, lub budowali dla siebie
domki lub dwory. Było zatem komu zaludnić
baliki.

— Ten nasz starosta, to cudów dokazuje!
mówiono sobie — nauczył dzieci nasze wiele,
wiele dobrego! a nas starych oduczył wiele
złego! Ot n. p. nie trwonimy pieniędzy na wyjazdy
za granicę, lecz wydajemy je tu w Krzemieńcu,
miasteczko w oczach rośnie i bogaci się.

VII.

Bohaterstwo obywatela.

W roku szkolnym 1811 na 1812 młodzież wybrała prezesem »Sądów uczniów« syna pana starosty, Józefa, ucznia trzeciego kursu. Ojciec wyboru syna nie zatwierdził, i zarządził powtórne wybory. Przy powtórnem głosowaniu wybrano jednomyślnie Józefa Czackiego; kochanego i szanowanego przez kolegów. Chciał pan starosta powtórnie zaprotestować, ale na prośbę prefekta i członków komisji edukacyjnej, przestał się sprzeciwiać, a stanąwszy na stole prosił o głos. Zrobiła się w sali taka cisza, jakgdyby tu nikogo nie było. Wtedy Tadeusz Czacki rzekł:

— Jedność myśli i uczuć waszych przekonują mnie, że mój Józef i uważanie wasze i życzliwość zjednać sobie potrafił. Pochlebiam to mojemu ojcowskiemu sercu i jeszcze więcej mię do was przywiązuje. Kocham was jako braci waszego prezesa, jako własne dzieci moje i tych uczuć moich dowodzić wam póki życia mego nie przestanę. Przyjmijcie najczulsze dzięki moje,

aby Bóg mi tyle dał szczęścia, żebym i syna mojego i was z nim oglądać mógł zupełnymi obywatelami takimi, jakimi w marzeniach moich ojcowskich widzieć was pragnę. Synu mój! koledzy twoi, twoi bracia, w ręce twoje szalę sprawiedliwości złożyli. Ten dowód ich szacunku niech będzie dla ciebie szlachetną pobudką dalszego postępowania. Dowiedz szlachetnem sprawowaniem urzędu, żeś w uczuciach dla nich syn mój nieodrodny!

Gdy skończył, starsi uczniowie obstąpiwszy stół, zstąpić mu na ziemię nie pozwolili i wzięwszy na ramiona drogi im i ukochany ciężar, w towarzystwie całego grona do domu zanieśli.

Teraz przypatrzcie się jeszcze z jaką to uroczystością obchodzono w Krzemieńcu Boże Ciało. Uroczystość tę tak opisuje Detiuk w swoich Ramotach. (Detiuk, to ów Antoś, którego przygody poznaliśmy w poprzednich rozdziałach.)

W oktawę Bożego Ciała, roku 1812 liczne duchowieństwo z krzemienieckich klasztorów zaproszone do gimnazjalnego kościoła uroczystej celebrze nieszpórów księdza Osińskiego asystowało. O godzinie pół do piątej, dzwony wzywały lud pobożny do świątyni. Najpiękniejsza majowa pogoda, cichość powietrza, promienie skłaniającego się do zachodu słońca, oświecając przeciwległe góry, cienie wyniosłych wież kościoła rozciągnięte przez galeryę na rynek, uroczozdabiały Krzemieniec i jeszcze więcej wspaniałości obrządowi dodawały. Gromady osób rozmaitego stanu i wieku napełniały galeryę, a w tem

zarówno książęta i hrabiowie, jak rzemieślnicy i wyrobniicy w jednym duchu, do jednego celu, do Boga duszę wznosili. Już ławki zajęte przez mieszkające w Krzemieńcu obywatelki, poza filarami mieści się pospólstwo, środek tylko kościoła nie zajęty.

Naraz ozwał się dzwonek szkolny, sypnęły się roje dzieciaków porządkiem klas, każda pod swoją chorągwią, każda pod przywództwem nauczyciela w mundurze, uczniowie kursów pod własnym przywództwem idą, oddzielnie postępuje kilku, to członkowie sądu razem z prezesem.

Gdy uczniowie ustawili się na środku kościoła, dał się słyszeć szmer od drzwi wchodowych, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę. Przodem szedł Tadeusz Czacki w całej paradzie, po obu jego stronach dyrektor i prefekt, za nimi profesorowie parami i urzędnicy gimnazjalni wszyscy w mundurach. Gdy już wszyscy swe miejsca zajęli, zabrzmiały organy, rozpoczęło się nabożeństwo. Ksiądz Prokop, kaznodzieja gimnazjalny, piękną mową rozrzewnił i do pobożności pobudził słuchaczy.

Nastąpiła procesya, ruszyły klasy i kursa swoim porządkiem, za nimi pensjonaty panieńskie, szli dalej księża Franciszkanie i Bazylianie, potem ośmiu uczniów niosło wianeczki, trzynastu w białych komżach z krzyżem, kadzielnicami, świecami i dzwonekami, za nimi czterech kapłanów w ornatach dla śpiewania ewangelii. Ksiądz Osiński na stopniach ołtarza obróciwszy

się do ludu zaśpiewał: Twoja cześć chwała! Jęknęły dzwony, kilka tysięcy głów zgodnych powtórzyło: Twoja cześć chwała! bo te wszystkie głosy w tej chwili jedno uczucie ożywiło. Zszedł ze stopnia celebrant, Michał Sobański i Wacław Borejko wiedli go pod rękę. Czacki z innymi niósł baldachim, długi szerek obywateli i mieszkańców miasta szedł za nimi śpiewając pieśń przez celebranta zaintonowaną. Jeszcze wtenczas możni i pospólstwo jednym się duchem modlili, a jakim kto mógł głosem śpiewał Panu chwałę, nie tak jak dziś, że się wstydzą śpiewać na procesyi, sam jeden organista, drze biedne gardło za wszystkich.

Pierwsza ewangelia w kościele przed ołtarzem Najświętszej Boga Rodzicy; drugi uczniowie ubrali pod słupem ciosowym, unoszącym posąg Niepokalanego Poczęcia przed kościołem, na galerii wzniesionej znacznie nad przyległy rynek. I rynek i galeria napelnione były śpiewającym ludem, a gdy celebrujący zbliżając się do ołtarza zanucil: Rex Christe primogenite! kilka tysięcy ludu na kolanach, z czołem schylonem, z wzniesionemi ku niebu rękoma, wyrażało uniesienie czystej prawdziwej wiary, nie dające się piórem określić. Każdą ewangelię w łacińskim i słowiańskim języku odśpiewano. Trzecia u Franciszkanów, skąd cała procesya szeroką ulicą umiecioną i zasypaną tatarakiem i zielonością rozmaita, ruszyła do kościoła Bazyliańskiego za miastem. Gdy śpiewający odpoczywali, przygrywała muzyka wojskowa konsy-

stującego podówczas w Krzemieńcu pułku huzarskiego. Po odśpiewaniu ostatniej ewangelii u Bazylianów, tą samą ulicą wracano. Wszedłszy na galerię ksiądz celebrant błogosławił lud cały Najświętszym Sakramentem i wznosił głośne: Te Deum! a lud przypadłszy do ziemi cały rynek okrywał. Słońce już było zaszło, wewnątrz kościoła noc już obejmowała, świece na ołtarzach i w rękę kapłanów i posługaczów ołtarza nie pewny po sklepieniach blask rozsiewając, jeszcze większem uszanowaniem dla obchodu przejmowała.

Po uroczystości poważnej, nazajutrz, gdy młodzież spała jeszcze w najlepsze, Czacki o dnia brzasku pracował już w swoim pokoju, naraz ozwał się dzwonek pocztowy, nikt go w domu nie słyszał, bo wszyscy jeszcze spali, nim pan starosta zdołał przekonać się, kto przyjechał? już do drzwi jego zastukano, poczem wszedł do pokoju oficer rosyjski i powiedział, kłaniając się z uszanowaniem gospodarzowi:

— Jestem z Łucka, ksiązę Bagration, głównodowodzący włożył na mnie obowiązek, abym panu staroście asystował do Łucka, musimy odjechać natychmiast.

— Spełnię bezzwłocznie rozkaz głównodowodzącego — odrzekł Czacki, kazał do siebie przywołać syna, Józefa, oznajmił mu o swoim natychmiastowym odjeździe, upomniał, aby matkę o tem ostrożnie zawiadomił, a widząc, że syn błędnie i drży, rzekł: męstwa chłopcze! patrz jam spokojny. Gdy syn w milczeniu rękę ojcowską całował, pan starosta przytulił głowę syna

do piersi i w czoło go pocałował, poczem rzekł do oficera:

— Gotów jestem, bywajcie zdrowi! przemówił do załężnionej służby — wróczę niebawem.

Ozwały się znowu dzwonki pocztowe, konie ruszyły i uniosły pana starostę.

Po odjeździe ojca, Józef Czacki stał jak skamieniały, wiedział on dobrze, że nie jednego obywatela polskiej ziemi w ten sposób wywieziono, i że ten więcej nie powrócił. To też drżał o ojca, chwilami budziła się w młodzieńcu chęć, aby biedz za powozem, za koła chwycić i odjeżdżającego ukryć przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Rozwaga jednak kazała pozostać, przypomniał sobie, że mu ojciec zalecił, aby spokojnie i ostrożnie zawiadomił matkę, aby nie wspominał w szkole o nagłym wyjeździe ojca. Starał się zatem uspokoić, lecz nadaremnie! doznawał takiego uczucia jakgdyby mu ktoś szarpał serce w kawały. Pomimo wewnętrznego niepokoju, spokojnie powiedział matce, co zaszło. Chociaż mówił o odjeździe ojca, jakby o rzeczy zwyczajnej, pani Czacka wiedziała co taki odjazd znaczy. Jęk bolesny wydarł się z jej piersi, wybuchła głośnym płaczem, przerażone, rozpaczą matki, młodsze dzieci, tuliły się do niej i rzewnie płakały. Józefowi łzy cisnęły się do oczów, ale przypomniały mu się słowa ojcowskie: Bądź mężnym! przypomniał mu się ten ojciec ukochany odjeżdżający ze spokojem prawdziwym, czy udanym, i to dodawało mu siły, opanował swoje wzruszenie i uspokajał matkę.

Wkrótce w domu Tadeusza Czackiego zjawili się ich serdeczni przyjaciele i zajęli się rozpaczającą kobietą, wtedy Józef wyszedłszy od matki, wybuchnął głośnym płaczem.

Wiść o wyjeździe Czackiego obiegła w jednej chwili miasto całe, ona to pobudziła rano uczniów szkoły krzemienieckiej, pozrywali się prędzej jak zwykle, poczem zebrali się tłumnie na galeryi nim jeszcze zadzwoniono na mszę. Dziś na galeryi nie słyhać jednak było wesołego gwaru, smutek i niepokój pozamykał wesołem zazwyczaj dzieciom usta. Jeżeli które przemówiło, to jedynie po cichu.

Zadzwoniono! Na nabożeństwie nie brakowało ni jednego ucznia. Kapłan ze łzami w oczach mszę odprawiał na intencją starosty, a dziatwa modliła się rzewnie gorąco. Po nabożeństwie uczniowie w milczeniu zajęli miejsca w klasach, ukazali się niebawem za katedrą profesorowie, lecz ani młodzi uważać, ani starsi uczyć nie potrafili! Obawa o pana starostę zajmowała wyłącznie umysły wszystkich. Uczniowie z kursów nie weszli nawet do sal szkolnych, snuli się po galeryi i rozmawiali półgłosem. Prefekt i dyrektor nie nawołali uczniów do porządku, rozumieli, dzielali i szanowali ich uczucia. Wszyscy w szkole byli przygnębieni i przerażeni. Po obiedzie nie zadzwoniono nawet do szkoły, bo młodzież myśli do książek przywiązać nie mogła, gromadą całą sypała się na drogę wiodącą do Łucka, aby oczekiwać powrotu drogiego opie-

kuna. Wzrok chłopców biegł w dal! daremnie jednak, daremnie.

Nagły wyjazd pana starosty nie tylko dom jego rodzinny i szkołę pogrążył w ciężką boleść, lecz miasto całe. Plakano tu i narzekano głośno. Nie ma śród nas naszego ojca, naszego opiekuna! Przyjdzie nam zmarnieć bez niego.

W miasteczku mieszkała ludność nie tylko katolicka, lecz i żydowska, ta także jęczała żałośnie. Otworzyli buźnicę i ślali do Boga modły za tego, który także dla żydowskich dzieci, stworzył przybytek nauki.

Podczas gdy w Krzemieńcu modlą się i rozpaczają za panem starostą, on dojechawszy do Łucka, stanął przed księciem Bagrationem.

Księżę powitał Czackiego przeprosinami za nieprzyjemność jaką mu tak nagłe wezwanie zrobić mogło. Ale żyjemy w trudnych czasach, mówił księżę, Francuzi przekroczyli Niemen. Najjaśniejszy pan ogłosił Wołyn na stopie wojennej, mnie oddał władzę. Otóż z mego nowego obowiązku, zapytać muszę pana starostę, co znaczyły wczorajsze uroczystości w Krzemieńcu?

— Były to uroczystości kościelne, musiały się one odbywać i w Łucku; — odrzekł Czacki.

Księżę chwilę milczał, poczem zwracając się do pana starosty, rzekł:

— Gubernator Wołynia, Komburlej, zrobił mi uwagę, że w gimnazyum krzemienieckim jest wiele młodzieży zdatnej do służby wojennej. Wczynie wojny potrzeba nam ludzi. Przy tych

słowach podał Czackiemu spis uczniów zrobiony przez Komburleja.

Spis obejmował 380 nazwisk najlepszych uczniów kursów, a na ich czele było nazwisko Józefa Czackiego.

Pan starosta czytając ową listę, pobladł, łzy zakręciły się w oczach dostojnego męża, pokonał jednak wkrótce wzruszenia i rzekł:

— Mości książę! spis uczniów zrobiony przez Komburleja, przekonywa mnie o jego nieuzasadnionej ku mnie złośliwości. Monarcha mojej gorliwej wierności tronowi zarząd szkół tej prowincyi i gimnazyum wołyńskie powierzyć raczył. Zdawałem już sprawę przed jego majestatem z mojego urzędowania i nie zleknę się zdać raz jeszcze. Rodzice mnie samemu poruczyli los swoich dzieci, odpowiedzialność za nie przysiągłem Bogu, rodzicom i memu sumieniu. Mamże tak haniebnie zdradzać zaufanie moich współobywateli? O nie! Monarcha tego po mnie wymagać nie będzie. Uczniów krzemienieckiego gimnazyum w ręce tylko rodziców oddać powinienem i oddam! — rzekł z mocą. Żadna władza do innego postępowania zmusić mnie nie zdoła. Jesteś książę ojcem i serca twego zapytaj, czy mogę postąpić inaczej?

Bagration słuchał słów Czackiego do głębi wzruszony, na jego obliczu widniało kolejno: zdziwienie, cześć i współczucie dla człowieka stojącego w obronie zagrożonej młodzieży. Ten zacny obywatel broniący odważnie polską młodzież w obec moskiewskiego urzędnika, wydał

mu się większym bohaterem od tych, którzy idą w ogień bojowy.

— Czy to jest ostatnie i nieodmienne postanowienie pana starosty? — zapytał po chwili milczenia.

— Nieodmienne! — brzmiała krótka odpowiedź.

— Mości starosto! — zawołał książę, — wiele słyszałem o panu i wysoko cenilem jego gorliwą działalność w sprawie oświaty, ale to co dziś widzę i słyszę, pojęcie moje przechodzi! Mezu czcigodny! dusza twoja wielka! zjednała ci cześć należną nie tylko twoich ziomków, ale i obcych. Zaszczyt twemu krajowi przynosisz. Kto tak śmiało i pocziwie broni sprawy przed urzędnikiem, w którego rękach los jego spoczywa, jest mężny i cnotliwy. Ja twój różnowierzec i różnoplemiennik nie będę niegodny twojego szacunku i zaufania. Bądź moim przyjacielem, będę to uważał dla siebie za zaszczyt i z mojej strony przyjaźń dla ciebie do zgonu zachowam. Powracaj do Krzemieńca, ale trzeba egzamin przyspieszyć i dzieci do rodziców rozpuścić nim ja z Lucka wyjadę. Bóg wie co później nastąpić może! gdy władza wyłączna będzie w rękach niechętnego ci panie starosto Komburleja. Najlepiej byłoby na czas jakiś z gubernii wołyńskiej wyjechać. Żegnam cię mości starosto, wspomnij niekiedy wysoko cię szanującego Bagrationa.

Po tych słowach uścisnęli się obaj mężowie,

poczem Czacki do Krzemieńca powrócił o godzinie dziewiątej wieczór.

Wieść radosna obiegnęła w jednej chwili miasteczko:

Powrócił! powrócił! powrócił! powtarzały wszystkie usta i zanosiły dziękczynną modlitwę do Boga za ów szczęśliwy powrót.

VIII.

U schyłku dni.

Nazajutrz, gdy na głos dzwonka młodzież zgromadziła się w gimnazyalnym kościele, oczy wszystkich zwróciły się w stronę, gdzie zwykle siadywał pan starosta. Jakkolwiek wszyscy wiedzieli, że powrócił, wszyscy jednak pragnęli odzyskanego własnymi oczami oglądać. Oglądano go zatem radosnemi spojrzzeniami, radość tę dostrzegł pan starosta i miłą mu była. Jednak wkrótce twarz zacnego człowieka posmutniała. Powodem smutku była troska o przyszłość drogiej sercu jego młodzieży. Potrafił ją osłonić wczoraj przed drapieżnością wrogów, lecz czy potrafi zasłonić ją od niebezpieczeństwa w przyszłości. Mąż rozważny musiał odpowiedzieć sobie przecząco. Gdyby nie szlachetność Bagrationa, odwaga jego nie zdałaby się na nic. Rozumiał dobrze, że gdyby był trafił na człowieka niechętnego Polakom, a z niechętnych składała się większość Moskali, ten byłby młodzież spisana przez gubernatora, powołał w szeregi moskiew-

skiego wojska, a jego za odważne wystąpienie, byłby kazał jako buntownika, zakuć w kajdany, byłby go gnębił więzieniem lub Sybirem. Czuł pan starosta, że co nie stało się wczoraj, może stać się jutro i dlatego to posmutniała od smutnych myśli twarz pana starosty.

Tymczasem młodzież nie znająca trapiących myśli pana starosty, po nabożeństwie ozrywała się wesoło po klasach i uczyła się dziś ze zdwojoną pilnością, jakby wynagrodzić chciała czas wczoraj stracony.

Pan starosta zastosował się ściśle do rady księcia Bagrationa i egzamina przyspieszył, naznaczono je na dzień 12-go czerwca. Egzamina i zakończenie roku szkolnego odbyło się ze zwykłą poważną uroczystością; przy licznym współudziale rodziców uczącej się w Krzemieńcu młodzieży. W dniu rozdawania medali i listów pochwalnych, spotkała pana starostę prawdziwa radość. Syn jego najstarszy, Józef otrzymał złoty medal. Gdy nazwisko pilnego młodzieńca przeczytano, prefekt złoty medal podał panu staroście, syn zbliżył się do ojca, a on w te słowa przemówił:

— Synu mój! Józefie! ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły, upewnia mię, że nie sama ich ku mnie życzliwość, ani żaden interes, w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mię zapewniają, wierzę więc i z prawdziwą serca pociechą za-

sługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam!

Wam dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauki i poczucie obowiązku. Czem on będzie na świecie, wasze to dzieło, i za trudy około niego podjęte oja ku wam wdzięczność do grobu serca mego nie odstąpi. Ty mój synu zaciągnąłeś dług wdzięczności względem szkoły, nauczycieli i ziemi rodzinnej, z długu się wypłacisz, jeżeli w dalszem życiu pójdziesz drogą wiary, prawości i pracy obywatelskiej, staniesz się godnym szacunku obywateli, godnym opieki twego monarchy, godnym imienia ucznia gimnazjum wołyńskiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz podaj mi dłoń swoją!

Przy tych słowach ujął pan starosta wrzuconego młodzieńca pod ramię, w drugą rękę wziął medal i poszli obaj ku ławce, w której siedziała pani starościna. Widok ojca z synem był rzewnym i radosnym obrazem dla patrzących. Jaki ojciec, takim kiedyś będzie syn! szeptano.*) Orzeł z orłędziem! — mówili inni. Tymczasem pan starosta stanął z synem przed żoną i rzekł:

— Synu kochany! nikt godniej nie zdoła cię ozdobić tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swoim przelała w twe serce

*) Niestety! piękne nadzieje nie ziściły się. Józef Czacki umarł nagle w młodym wieku.

uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!

Nie mógł mówić więcej, wzruszenie zamykało usta kochającemu ojcu; oddał żonie medal, Józef przed matką ugiął kolano; drżącą ręką przypięła starościna medal synowi, a gdy usta otwierała, aby przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki.

Po egzaminach młodzież rozbiegła się pod dachy rodzicielskie, pan starosta nie mógł pozostać ani w Krzemieńcu, ani w rodzinnym Porycku z obawy przed gubernatorem Komburlejem. Książę Bagration bowiem ze swemi wojskami wyruszył na wojnę z cesarzem Napoleonem, który z ogromną armią Rosyę najechał.

Po odjeździe z Wołynia księcia Bagrationa, który ochraniał Polaków od prześladowania Komburleja, wielu Wołynian a w ich liczbie i pan starosta z najstarszym synem Wołyniu opuścili. Pan starosta zatrzymał się jakiś czas u krewnych na Podolu, najdłużej jednak zatrzymał się w Tarnorudzie u państwa Malczewskich, którzy z otwartymi rękami, zacnego tułacza w domu swoim przyjmowali. Pod gościnnym dachem państwa Malczewskich bawiło wielu tułających się Wołynian, nęciła ich tu gościnność gospodarza domu, nęciła obecność pana starosty. Liczni goście w domu państwa Malczewskich nie przeszkadzali panu staroście w pracy. Przesiadywał nad nią kilka godzin dziennie. Przeprowadzał liczne korespondencje z władzami szkół jemu podległych, a i Krze-

mieniec dawał mu nieustanne zajęcie. Do pana starosty odnosił się bowiem dyrektor lub prefekt w rozlicznych sprawach szkoły w Krzemieńcu.

Szkoła bowiem w Krzemieńcu rozszerzała się z każdym rokiem. Oprócz czterech klas i trzech kursów otworzył Czacki szkołę geometrów i szkołę mechaników, obie szkoły miały na względzie cele praktyczne. Szkoła geometrów dostarczała wiejskich budowniczych, szkoła mechaników, ludzi umiejących robić narzędzia i maszyny rolnicze. Rozszerzono gmachy szkolne, założono bogatą bibliotekę, która mieściła się w ogromnej sali, przeznaczonej także na uroczystości szkolne, n. p. egzamina, o których wiemy, że pierwotnie odbywały się w kościele.

Czacki jakkolwiek nieobecny w Krzemieńcu, wszyskiem kierował i zarządzał; w licznych sprawach odnosił się do władz uniwersyteckich w Wilnie, często nawet do najwyższej naukowej władzy, do księcia Adama Czartoryskiego, kuratora okręgu wileńskiego. Po kilku godzinach pracy, pan starosta bawił się rozmową z gośćmi, grą w szachy, lub też zabawiał się z dziećmi. Gry w karty nie lubił, dzieci zaś kochał serdecznie i dla ich przyjemności, zabawiał się w najrozmaitsze gry, a nawet w ślepą babkę. Zwykle do zabawy z dziećmi wciągała pana starostę Anulka, córka państwa Malczewskich, ulubienica pana starosty.

Pewnego razu przyjechała do Tarnorudy

uboga wdowa, a zubożała wskutek tego, że wojska Napoleona zrabowały jej folwarczek, zabrały konie i bydło. Nieszczęśliwa kobieta udała się o pomoc do państwa Malczewskich. Oboje państwo obdarowali wdowę, a pospieszyli także z datkami goście bawiący w Tarnorudzie. Pan starosta właśnie był bez grosza, a wdowie dopomóżdź chciał koniecznie, otóż zdjął z palca kosztowny pierścień z herbem Czackich i podarował go wdowie. Gdy się dowiedzieli o tem goście bawiący w Tarnorudzie, wykupili od wdowy pierścień, nie chcąc aby pamiątka rodzinna Czackich wychodziła z ich domu. Wykupiony pierścień dano Anulce z poleceniem, aby go panu staroście niepostrzeżenie na palec wsunęła.

Zręczna dziewczynka wywiązała się z polecenia tak doskonale, że pan starosta dopiero nazajutrz z wielkiem z dumieniem podarowany wdowie pierścień, na swoim palcu ujrzał.

Gdy o wyjaśnienie tego zjawiska, państwa Malczewskich zapytał, odpowiedzieli mu, że wdowa rodzinnej pamiątki Czackich wziąć nie chciała.

Pan starosta wysłuchawszy wyjaśnienia, pokiwał tylko głową, a lzy rozrzewnienia zabłysnęły mu w oczach. Domyślił się bowiem, jakim sposobem darowany pierścień do rąk jego wrócił.

Może zdziwicie się młodzi czytelnicy, że pan starosta mógł znaleźć się bez grosza? W położeniu takim nie rzadko znajdował się pan starosta. Pensyę swoją, którą pobierał jako

wizytator obracał na zakupno książek do biblioteki w Krzemieńcu. Lecz pan starosta był właścicielem licznych dóbr, z których miał wielkie dochody; zawołacie. Cóż z tego! znaczna część tych dochodów szła także na potrzeby gimnazjum krzemienieckiego.

Wspomniałam wam już dawniej, że na liczne potrzeby szkoły w Krzemieńcu, nie wystarczały fundusze rządowe i że obywatele wołyńscy dobrowolnie, roczne datki na szkołę dawali. Owóż często się trafiało, że ktoś swego zobowiązania nie dotrzymał, i wtedy to pan starosta dokładał ze swego, nie chcąc, aby ukochana szkoła przez to cierpiała. Przy zdarzonej sposobności pan starosta umiał przypomnieć daną, a nie dotrzymaną obietnicę.

Zdarzyło się jednego roku podczas egzaminu, że jeden z licznie zebranych obywateli, zadał uczniowi pytanie z historyi powszechnej. Dzieciak odpowiedział z początku doskonale, naraz zaciał się i tak mocno zakłopotał się swym niepowodzeniem, że ani rusz dalej odpowiadać nie mógł. Pan starosta przyszedł w pomoc zawstydzonemu dziecku i zaczął mu podpowiadać, a gdy i to nie pomogło, sam za niego odpowiedź dokończył.

Po egzaminie ów obywatel, który pytanie uczniowi zadał, wydobyl z kieszeni rubla, a przykładając go do boku starosty, rzekł:

— Chodź! zasłużyłeś za odpowiedź z historyi na medal, niechże ci go przypnę!

— Owszem! daj rubla, — rzekł pan sta-

rosta, dotychczas bowiem nie dałeś nic z kwoty przeznaczonej na szkołę, będzie przynajmniej ten jeden rubel.

Przymówkę pana starosty wziął do serca ów obywatel, bo nazajutrz przysłał na potrzeby szkoły 500 dukatów.

Jakkolwiek państwo Malczewscy dokładali wszelkich starań, aby panu staroście pobyt w swoim domu miłym uczynić, to przecież przymusowa gościna, przykrą była panu staroście. Niepokoił się o szkołę w Krzemieńcu, drażniło go przymusowe wydalenie z Wołynia w dodatku tęsknił za rodziną, z którą widywał się tylko czasami, gdy pokryjomu na Wołyń pojechał. Do tych strapiień dołączyła się troska poważna odnosząca się do złych interesów majątkowych.

Tymczasem rozpoczął się nowy rok szkolny w Krzemieńcu, uczniowie z powodu wojny i z obawy prześladowań Komburleja zjechali się nie licznie. Bolało to pana starostę. A że na Wołyń przybył książę Czartoryski, więc pan starosta chciał się z nim zobaczyć i przy jego pomocy złe usunąć, w tym celu wyjechał na Wołyń; w drodze zachorował, z Dubna już dalej jechać nie mógł, wszelkie starania lekarskie na nic się nie zdały, choroba wzmagała się gwałtownie, organizm delikatny, wyczerpany pracą i zmartwieniami nie mógł długo walczyć z ciężką chorobą, która też skończyła się śmiercią.

W ostatnich dniach życia pan starosta nieustannie myślał o uczniach i szkole w Krze-

mieńcu. Podczas jego choroby nieustannie droga z Krzemieńca do Dubna jechali uczniowie, profesorowie lub mieszkańcy miasta, chcieli bowiem odwiedzić chorego lub dowiedzieć się o jego zdrowie.

Możecie wyobrazić sobie co działo się w Krzemieńcu gdy tu doszła żałobna wiadomość o śmierci pana starosty. Wszyscy mieszkańcy Krzemieńca oplakiwali pana starostę, jakby najbliższego krewnego.

»Śmierć Tadeusza Czackiego nastąpiła 8-go lutego 1813 roku. Ciało, stosownie do woli zmarłego, przewieziono do Porycka, gdzie 19-go lutego odbył się wspaniały pogrzeb, przy nadzwyczaj licznej zebraniu duchowieństwa i obywatelstwa. Kasper Cieciszewski, biskup łucki i żytomierski wraz z Janem Kantym Podhorodeńskim, biskupem polemońskim, odprawili żałobne nabożeństwo; ksiądz Prokop Krzywicki, kaznodzieja z Krzemieńca sławił cnoty zmarłego, rozpoczynając od słów: Pokój i cześć czyniacemu dobrze. Jan Chołoniewski, marszałek powiatu włodzimirskiego w pięknej mowie wykazał zasługi Tadeusza Czackiego, w dziedzinie wychowania i oświaty; nazwał zmarłego wielkim jałmużnikiem w sprawie oświaty.«

»Pod koniec roku szkolnego wspomnienie założyciela szkoły w Krzemieńcu, na nowo było przywołane przez profesora wymowy księdza Alojzego Osińskiego. W całym wydziale wileńskim, odbywano żałobne nabożeństwa. Serce Czackiego złożono w jednej z sal gimnazjum wo-

łyńskiego z tym trafnym napisem z ewangelii: Gdzie skarb twój, tam i serce twoje.*)

Przedwczesna śmierć Tadeusza Czackiego była niepowetowaną stratą dla społeczeństwa naszego. Człowiek taki, to prawdziwy drogocenny skarb! To też z naszego skarbcza narodowego dobyłam wspomnienie o mężu wiekowej chwały, aby pamięć człowieka wielkiego duchem, wielkiego cnotą, żyła między wami; abyście zapatrzeni w postać zasłużonego męża, chcieli podążyc jego śladem, abyście nie skarleli duchem śród codziennych drobnych spraw, abyście nie przywiązywali myśli waszej jedynie, do szukania dobra osobistego.

Tadeusz Czacki w liście do najstarszego syna napisał:

Los nigdy do mnie nie uśmiechał się. Od kilkunastu lat publiczne i prywatne przygody brzemieniem swoim przygniatają mnie. Opatrzność może położyć granicę nieszczęściom, może je zwiększy. Szanujmy wyrok nieba; a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale.

Już zbliżasz się do tego wieku gdzie będziesz poznawał te wszystkie przyczyny, które kraj nasz wymazały z liczby narodów i okropne spuściły klęski. Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkim; ona towarzyszyć winna od pierwszych lat do grobu; ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwym.

*) Encyklopedia wychowawcza. Tadeusz Czacki przez Piotra Cmielowskiego.

Pamiętaj! abyś ziomkom służył. Są ludzie, jest ta sama ziemia, która przodków twoich żywiła i ciebie żywi. Jest i Będzie ten sam Bóg, który bliźnim przynosić pomoc i nazwajem ją odbierać każe.

Te słowa, które kochający ojciec napisał synowi, niechże zapiszą się w waszej pamięci. Nie zapomnijcie! że chociaż wymazani z liczby żyjących narodów, żyjemy na tej ziemi, którą krwią swoją przodkowie nasi zlepili, na tej ziemi użyźnionej krwią obrońców Ojczyzny i potem pracowitych rolników. Do trudu przodków, dołożmy z naszej strony trud swój, idąc śladem niez mordowanego w pracy około dobra publicznego, Tadeusza Czackiego.

CZEŚĆ II.

KRZEMIENIEC PO ŚMIERCI ZAŁOZYCIELA.

I.

Wykroczenia, zabawy.

Słusznie nazwał Czackiego Jan Chołoniewski »Wielkim Jałmużnikiem«. Gdy bowiem brakło funduszków na cele oświaty, jałmużną obywatelską braki zappełnić postanowił. Czacki pierwszy na ten cel łożył, z uszczerbkiem majątku własnego, a za dobrym przykładem szli inni, i tak zakład naukowy w Krzemieńcu rósł z rokiem każdym. I tak Filip Plater założył własnym kosztem drukarnię w Krzemieńcu w budynku na ten cel zbudowanym. W drukarni tej drukowano książki szkolne i sprzedawano je młodzieży o dziesięć procent taniej niż gdzieindziej. Obywatelki i obywatele zapisywali znaczne kwoty na utrzymanie ubogich uczniów w szkole. Pan marszałek Dziewicki kazał w Krzemieńcu wybrukować ulice, zatem mieszkańcy miasteczka i młodzież szkolna nie grzążnęli już w błocie. Grono nauczycielskie i młodzież krzemieniecka ożywiona duchem Czackiego, pracowała usilnie. Szło zatem w szkole pomyślnie, nie obeszło się

jednak bez usterek i wykroczeń między młodzieżą, która jednak dzięki prefektowi naginała się bez trudności ku dobremu. Za przykład niech posłuży następujące zdarzenie:

Było na kursach trzech młodzieńców pochodzących z zamożnych rodzin. Paniczykom pracować się nie chciało, nie regularnie też uczęszczali do szkoły, czas przepędzali na zabawach zdrożnych. Prefekt najpierw upominał a następnie surowo ukarał złych uczniów. Kara jednak nie doprowadziła do opamiętania chłopaków, lecz rozjątrzyła ich tak bardzo na prefekta, że zrobili spisek, i postanowili powracającego wieczór do domu napaść i obić. W dniu, w którym zamierzali dokonać haniebnego czynu, zapukano do klasy, w której znajdowali się spiskowcy, nakazano wszystkim trzem udać się natychmiast do prefekta. Oczywiście wezwania posłuchali i do prefekta poszli, zupełnie spokojni, spisek bowiem uknuli między sobą i zachowali go w tajemnicy, więc byli pewni, że prefekt o nim nie wie. Przyszedłszy do mieszkania prefekta, weszli do pierwszego pokoju nie zastali tu jednak nikogo, więc poszli do drugiego, drugi był także próżny, trzeci taksamo, w czwartym dopiero zastali prefekta. Proszę za mną! — powiedział do młodzieńców, i oprowadził ich po pustem mieszkaniu, drzwi wchodowe na klucz zamknął.

— Oprowadziłem was po mojem mieszkaniu, — mówił prefekt do zadziwionych młodzieńców, abyście się przekonali, że prócz was i mnie

nikogo nie ma. Potem sięgnął, za piec wydobył trzy kije leszczynowe, a podając każdemu po jednym i rzekł:

— Teraz tu wybijcie prefekta! tu nikt nie zobaczy i nie usłyszy, ani waszej zawziętości, ani wstydu obitego starca. Młodzieńcy w osłupieniu słuchali słów prefekta, rumieniec wstydu oblał ich lica, poodrzucali od siebie kije, i z płaczem rzucili się prefektowi do nóg, błagając o przebaczenie i przyrzekając poprawę.

Prefekt podniósłszy z ziemi płaczących i żałujących młodzieńców, rzekł:

— Wierzę waszem przyrzeczeniom, zawiniście więcej brakiem zastanowienia się, niż złą wolą. Zamiast uznać, że kary jakie wam wyznaczyłem, sami na siebie sprowadziliście złem postępowaniem, wyście złość ku mnie powzięli. Ja zaś karać was musiałem, bo upomnienie nie pomogło; karą chciałem was poprawić i przekonać waszych kolegów, że winnego kara nie minie. W tej chwili przekonałem się, że serca wasze moje dzieci nie są przewrotne, owszem są to serca czyste, i one przemawiają za wami, a miłość honoru przez Założyciela tej szkoły zasiana i w sercach waszych wschodzi, i o waszej poprawie mię upewnia.

Młodzieńcy ucałowawszy ręce zacnego prefekta wyszli, i istotnie poprawili się.

Cały rok nie zasłużył z nich żaden na nagane, a jeden z nich otrzymał stopień celujący.

Przy każdej sposobności przypominano w Krzemieńcu młodzieży zacnego Założyciela

szkoły. I tak roku 1818 przyjechał do Krzemieńca książę Adam Czartoryski, był na egzaminie, a podczas rozdawania nagród w ten sposób wyraził się o zmarłym Założycielu szkoły:

— W Tadeuszu Czackim pałała jak w mężach starożytnych, czysta miłość ojczyzny, cnoty i chwały. Od pierwszej młodości każdy rok życia Czackiego odznaczony był dziełem lub pracą, cnotliwym usiłowaniem lub ofiarą użyteczną. Wewnętrzna moralna siła jakaś niezwalczona bez przerwy nagliła go do pięknych czynów, do poświęcania się, to przyjaciołom, to cierpiącym, to ojczyźnie swojej, to dobru ludzkości i przyszłych pokoleń; o sobie radzić, swój tylko pielegnować interes, nie było w jego mocy.

Przypatrywaliśmy się w Krzemieńcu rozmaitym uroczystościom, spojrzjmy jeszcze jak odbywała się tam majówka.

Wszystko tu rozpoczynano od Boga, więc i dzień majówki rozpoczynał się jak każdy inny od mszy świętej o godzinie 7-mej. Po nabożeństwie wesola młodzież zgromadziła się na galerji gmachu szkolnego, niebawem nadchodził prefekt, wtedy rozdawano uczniom chorągwie, klasy szykowały się porządkiem, przy każdej nauczyciel, wszyscy w mundurach. Naprzód szła szkoła mechaników, profesor Zaliwski, dzielny mechanik, nazywał swoich uczniów chajdamakami, na dzień majówki, zamienił swoich chajdamaków na porządnym żołnierzom, ubrał ich bowiem jak saperów. Za saperami szły cztery klasy, za klasami szedł kurs pierwszy, uczniowie

kursu drugiego jechali konno pod dowództwem nauczyciela ekwitacyi; za konnicą postępowali profesorzy, prefekt i wielu obywateli. Piękny malowniczy orszak ciągnął przez całe miasto, a wszyscy mieszkańcy miasteczka wysypali się z domów, dla ucieśnienia oczów okazałym pochodem. W pochodzie przecie znajdowali się synowie zamożniejszych i uboższych mieszkańców miasteczka. Cóż dziwnego, że każdy rad był spojrzeć na swego gagatka, maszerującego w tak pięknym pochodzie. A chociaż byli i tacy, którzy krewniaków w szkole nie mieli, pomimo to odkładali na chwilę robotę, aby spojrzeć na szkolarzy. Szkoła była, jak to mówię: »Oczkiem w głowie« Krzemieńczanów. I nic dziwnego, wszakże Krzemieniec szkołą urósł, przybyło domów, przybyło mieszkańców, a ci dali kupcom i rzemieślnikom zarobek; poza tem Krzemieńczanie wiedzieli, że z tych malców maszerujących w takt muzyki, którą na uroczystość szkolną sprowadził marszałek Drzewicki, wyrosną zacni obywatele na pożytek ojczyzny. Gdy orszak przeszedł przez miasto, starsi i poważniejsi wsiadali do powozów, a młodzież pieszo pospieszała do celu wycieczki, pięknego lasu, za królewskim mostem. W lesie piękny orszak połamiał się na drobne kawałki, każda cząstka zabawiała się w inny sposób, stosownie do wieku: Jedni grali w piłkę, lub biegali do mety, drudzy bawili się w żołnierzy, robili zasadzki, do czego nadawały się liczne jary w lesie, inni znowu wyścigiwali się na koniach, inni fechtowali się

zawzięcie. Poważniejsi zbierali zioła do zielników, lub prowadzili poważne dysputy z dziedziny historii lub literatury. Wszyscy bawili się doskonale!

Gdy ubawieni i pomęczeni zasiedli do posiłku, zajadali z apetytem mleko kwaśne z chlebem, lub pirogi polane śmietaną.

Po obiedzie przyjeżdżało obywatelstwo, aby przypatrywać się i rozweselić widokiem swobodnej młodzieży. Majówka przeciągnęła się do zachodu słońca. Na komendę, rozprószeni po lesie, złączyli się znowu w malowniczy pochód, który ruszył ku miastu. Gdy zbliżono się do murów Bazylikańskich, oczom nadchodzących ukazała się naraz wielka ilość kolorowanych światełek, najwyżej jaśniały litery z promiennych gwiazd ułożone: L. W. oznaczające: Liceum Wołyńskie, taką nazwę nadano szkole w Krzemieńcu od roku 1818. Litery umieszczono na szczycie bramy tryumfalnej, którą ustawiono podczas nieobecności szklarzy.

— Dla kogo brama? — pytali zaciekawieni chłopcy.

— Dla kogóżby, jeżeli nie dla nas!

— Za cóżby dla nas?

— Za zwycięstwa odniesione dziś podczas bitwy.

— Nie wszyscy jednak zwyciężyli!

— Nic nie szkodzi, nie zwyciężą dziś, to zwyciężą jutro.

Podczas gdy chłopcy biedzili się daremnie nad odgadnięciem przyczyny urządzenia bramy tryum-

falnej, zbliżyli się niebawem do zaciekawiającego ich przedmiotu. W bramie stał marszałek Drzewicki z poważnymi obywatelami. Młodzieży, gdy przez bramę przeszła, kazano ustawić się na pobliskim wzgórzu, a tymczasem nadszedł prefekt z gronem nauczycieli, a gdy pytać chciał, co ta parada oznacza, zbliżyło się do niego poważne grono z marszałkiem na czele, który w imieniu obywatelstwa piękną mową powitał prefekta i w najczulszych wyrazach dziękował szanownemu starcowi za tyloletnie trudy ponoszone około wychowania młodzieży. Prefekt bowiem był od samego początku założenia szkoły w Krzemieńcu, przeżył już trzech dyrektorów, t. j. Czecha, który umarł 1810 r., drugim dyrektorem był Ściborski, ten jednak ustąpił swego urzędu Alojzemu Felińskiemu, znanemu i cenionemu autorowi, którego wkrótce śmierć wydarła szkole. Prefekt Jarkowski ciągle wytrwale i skutecznie pracował w Krzemieńcu, i oto wdzięczni rodzice na zakończenie szkolnej uroczystości, oddają hołd zasłużonemu wychowawcy, dając młodzieży przykład poszanowania i czci dla ludzi zasłużonych.

Niespodziewany hołd rozrzewnił czcigodnego starca zaledwie w kilku słowach odpowiedzieć zdołał, ale słowa płynęły z serca, więc trafiły do serc wszystkich zebranych na uroczystości. Uściskali sędziwego Jarkowskiego ojcowie, a matki zabrały go na wzgórek, na którym ustawiono krzesła dla starszych uczestników zabawy.

Zabrzmiała huczna muzyka, a oczom zebranych gości ukazały się niespodziewanie cudne fajerwerki.

Ukazały się olbrzymie litery L. W. otoczone dwunastoma ognistemi fontannami, obok których zabłysło różnobarwnem światłem dwanaście młynków, sypiących niezliczoną ilość świetlanych iskier. Ledwie zniknęło cudne zjawisko, aliści z trzystu rac wysypało się mnóstwo gwiazd brylantowych.

Sztuczne ognie, w owych czasach, były rzeczą rzadką, to też niespodzianka była tem miłszą dla starszych i młodszych widzów.

Rozrzewniony prefekt, oświadczył uczniom na dobranoc rzecz bardzo miłą, oto że dzień jutrzejszy będzie wolny od nauki szkolnej. Uroczystość bowiem przeciągnęła się do późna, zatem troskliwy o zdrowie młodzieży prefekt, pozwolił uczniom wypocząć i wyspać się, po dniu, w którym przeżyli tyle różnorodnych wrażeń. Nazajutrz, pomimo rekreacyi, nie było wycieczki za miasto, za to bawiono się wylamaniem na galerji gimnazyalnej.

II.

Uczniowie szkoły krzemienieckiej.

Szkoła krzemieniecka przysporzyła krajowi wielu pożytecznych ludzi, a wydała także poetów i autorów. Antoni Malczewski, autor cudownego poetyckiego utworu: *Maryi*, był jednym z pierwszych uczniów szkoły krzemienieckiej i ulubieńcem Tadeusza Czackiego. Znani i zasłużeni autorzy: Karol Sienkiewicz i Stefan Witwicki byli także wychowankami liceum krzemienieckiego. A i ów Antoś, którego przygody poznaliśmy w poprzednich rozdziałach, wyrósł na pożytecznego człowieka, kochającego szkołę krzemieniecką, jak dom rodzinny. Po skończeniu nauk, powrócił do ukochanej szkoły jako nauczyciel nauk przyrodniczych. Będąc starcem napisał swoje pamiętniki pod tytułem: *Ramoty starego Detiuka*, z której to książki zaczerpnęłam wiele szczegółów do niniejszego opowiadania.

A teraz zamiast wymieniać nazwiska uczniów szkoły krzemienieckiej, wprowadzę was raz

jeszcze pomiędzy nich, abyście z nimi zrobili bliższą znajomość; mianowicie, że nadarza się ku temu stosowna chwila, bo uczniowie wybierają się na wycieczkę za miasto.

Uczniowie bowiem szkoły krzemienieckiej nie tylko w pogodny dzień majowy robili wycieczkę za miasto, lecz bardzo często w niedzielę lub święta, oczywiście, jeżeli na to pozwalała pogoda. Owe świąteczne wycieczki nie odbywały się z taką okazałością, jak majówka, niemniej uczniowie bawili się na nich wyśmienicie. Najczęściej chodzono do lasu, tu rozsyrywali się uczniowie na wszystkie strony, gdybyśmy za nimi podążyć chcieli, nie starczyłoby nam nóg! Musielibyśmy bowiem biegać z jaru do jaru, przeskakiwać rowy, piąć się po rozmaitych zbyrkach, a nawet wylazić na drzewa. Dotrzymajmy raczej towarzystwa tym oto młodzieńcom, zdaje się rówieśnikom, a z nimi nie pomęczymy się, bo obaj są jacyś poważniejsi, nie robią niebezpiecznych dla nas susów; lecz idą spokojnie w głąb lasu, idąc rozmawiają. Rozmowa jednak przerywa się ciągle, widocznie nie jest ona głównym celem wycieczki. Obaj zajęci są zbieraniem kwiatów, zbierają je jednak w odmienny sposób. Jeden bowiem układa z nich piękny bukiet, drugi przy pomocy noża, wydobywa drobniejsze rośliny z korzeniami, z większych zaś t. j. krzewów lub drzew, bierze gałązki, jedne i drugie układa starannie w obszernem pudle.

— Bój się Boga Józiu! nie zrywaj tego

storczyka! — zawołał naraz na swego towarzysza, ten, który rośliny wkładał do pudelka.

Nazwany Józefem posłyszawszy rozpaczliwe niemal wołanie swego towarzysza, puścił trzymaną w rękach roślinę, i zapytał?

— Cóż ci zależy na tem, abym tego storczyka nie zerwał!

— Ach! ile mi zależy! wszakże poszukuję go daremnie całe lato, jest to bowiem odmiana bardzo rzadka, to też nie łatwo taki okaz dostać do zielnika; — odpowiedział ten, który rękę Józefa przeraźliwym ksztykiem od zerwania storczyka wstrzymał. Teraz pochylony nad upragnioną rośliną, odkopywał ją starannie, aby bulwek nie uszkodzić.

Józef zostawiwszy towarzysza, zajętego wykopywaniem storczyka, szedł dalej, zrywając po drodze wonne, leśne zioła; naraz zatrzymał się i zawołał:

— Karolu, chodźno! jest tu jakaś dziwna roślina, może ona także przyda ci się do zielnika.

— Idę! — odpowiedział Karol, — nie szedł jednak, ale biegł, ile mu tylko sił starczyło; a że trzeba było pisać się w górę, więc dyszał głośno z umęczenia.

— Po co tak pędzisz? wszakże roślinie nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, nie zerwę jej bez twego pozwolenia, mówił żartobliwym tonem Józef, patrząc na dyszącego głośno i zaczerwienionego Karola. Ależ z ciebie zapalony botanik!

Karol właśnie nadbiegł, spojrział na wskazaną przez Józefa roślinę, a nie mogąc ze zmęczenia wymówić ani słowa, ruszył pogardliwie ramionami, a po chwili odetchnawszy, rzekł.

— Oj poeto, poeto! miałeś mnie wołać poco! wszakci to najpospolitszy widłak, który już od dawna mam w zielniku.

Józef spokojnie wysłuchał słów Karola wymawianych tonem politowania nad jego nieświadomością botaniczną, poczem zapytał:

— Więc mogę urwać ów widłak?

— Urywaj, wiele ci się podoba, — odpowiedział Karol. Wystarczy ci nie tylko do bukietu, ale możesz nim przystroić obraz twego patrona nad łóżkiem.

— Tego nie zrobię, — odrzekł Józef zrywając widłak.

— A to dlaczego? — pytał Karol.

— Zapomniałeś, że nie mieszkam sam — mówił Józef, że mieszka ze mną trzech wisusów, dla których widłak koło obrazu byłby pokusą. Oni go tu w lesie nie dostrzegą, dostrzegą go jednak nad obrazem i oberwać zechcą, przy tej sposobności zrzuciliby mego patrona.

— Prawda, — rzekł Karol, zapomniałem o twojej roli mentora. Żart na bok, ale masz nie lada zadanie z tymi wisusami. Rola dozorczy nie jest do pozazdroszczenia!

— I jest — i nie jest — odpowiedział spokojnie Józef.

— Jak to być może? tłumacz się jaśniej,

mówił Karol, spoglądając z zaciekawieniem na towarzysza.

— Jeżeli weźmiesz na uwagę sam trud jedynie — to nie jest; jeżeli zaś uwzględnisz wewnętrzne zadowolenie, jakie daje nam przeświadczenie, że się stoi o własnych siłach, że swoją pracą oszczędza się ojcu troski, to jest.

Karol słuchając poważnych słów kolegi sam spoważniał, myślał, że jego kolega jest nie tylko poetą, lecz moralistą. Czyż można go nie kochać i nie szanować?

Podczas gdy Karol milczał, Józef mówił:

— Nie mam ja znowu tak wielkiego trudu z mym chłopakami. Wisusy, bo wisusy! ale uczą się chętnie, a w klasie zachowują się przyzwoicie.

Jakiś czas szli milcząc, milczenie przerwał Karol temi słowy:

— Aleśmy się uchodzili i zmordowali ogromnie! Trud nasz jednak nie był daremny. Ty masz bukiet okazały, a ja zdobyłem także wiele pięknych okazów do zielnika, więc należy nam się odpoczynek. Siadajmy tu na tem wzgórzu, będziemy mieli cudny widok przed oczami.

— Zgoda, siadajmy! — odrzekł Józef, — ja dziś mam dzień swobodniejszy niż kiedyindziej, bo moich wisusów zabrała matka do domu na kilka godzin.

Usiedli; drzewa leśne nad nimi szumiały, szumiała woda zlewająca się ku dołowi z górskiego potoka, ptaki świergotały wesoło, a zioła leśne rozlewały balsamiczne wonie. To też obaj

młodzieńcy rozkoszowali się wdziękami przyrody. Rozweseliły one spokojnego i nad wiek poważnego Józefa, którego koledzy poetą nazywali; pisywał bowiem wiersze, a jego wypracowania stylistyczne przewyższały o wiele wypracowania kolegów. Karola nazywali koledzy matematykiem, celował bowiem w tym przedmiocie, nie miał jednak do matematyki wyłącznego zamiłowania, ciągnęły go taksamo nauki przyrodnicze.

Teraz obaj młodzieńcy wypoczywali, a raczej wypoczywali częściowo tylko, bo usta im się nie zamykały i języki obracały się pospiesznie. Po chwili jednak rozmowa się przerwała, Józef mówił wyłącznie, Karol słuchał.

Posłuchajmy opowiadania Józefa:

Powiadają wszyscy, że miejsce mego urodzenia i pobytu w pierwszych latach mego życia, jest szkaradne. No Brody do najpiękniejszych miast nie należą co prawda, ale folwark mego ojca leżący w odległości pół milowej od Brodów, na równi piaszczystej, przedstawia się oczom moim jak raj cudowny. Dworek, co prawda, mały był i ubogi, ależ zato jaki cudny sad go otaczał! a jaka za sadem, łączka! Gdy trawę skoszono, z jakąż rozkoszą przełaziłem przez płot, porywałem grabie, które ledwie utrzymać mogłem w małych rękach i gromadziłem siano w kopy. Czasem wysadził mnie który parobek na szczyt kopy siana. O jakże wtedy dumny byłem z mego wysokiego stano-

wiska! Zdawało mi się, że tronu wspanialszego nie miał i król Salamon.

A co to za uciecha była, gdyśmy się z bratem dostali do lasu! zbieraliśmy grzyby, które najczęściej matka wyrzucała, bo były trujące. Zato na poziomkach, borówkach lub malinach nigdyśmy się nie pomylili! Łakomstwo jednak nie pozwoliło nam przynosić jagód do domu, zjadaliśmy je na miejscu.

Gdy nadeszła zima, to kończyła się nasza swoboda, trzeba było siedzieć w małych pokojkach i ślęczeć nad abecadłem. Matka i ojciec na przemian do nauki nas naganiali i sami nas czytać i pisać nauczyli. Wreszcie oddali mnie do szkół do Brodów. Tu jeszcze mniej swobody. Oj trudno było nawyknąć do ławy szkolnej, ale strach przed nauczycielem zrobił swoje, nauczyłem mnie siedzieć spokojnie. Gdym spojrzał na nauczyciela, nazywał się on Fontany, to mi ani w głowie były figle! Pragnąłem być jak najmniejszym, aby jak najmniej na siebie zwracać uwagę nauczyciela. Gdym podniósł oczy i ujrzał surową twarz nauczyciela, jego ogromny nos, i zęby straszliwie wielkie zachodzące jeden na drugi, to byłbym rad schować się do mysiej jamy. Nie potrzebnie się jednak lękałem, przekonałem się wkrótce, że brzydki Fontany był dobrym człowiekiem. Polubił mnie, jako spokojnego dzieciaka, chwalił za pilność i nagrodę przyrzekał.

Uczyłem się chętnie, czekałem niecierpliwie egzaminu, bo spodziewałem się na pewne na-

grody. Byłem tak swego pewny, że zaprosilem na egzamin dorosłe córki gospodyni, u której mnie rodzice umieścili. Egzamin poszedł pięknie. Nie mogłem doczekać się chwili rozdania nagród. Nadeszła nareszcie wyczekiwana chwila. Ale oto co za rozczarowanie! nie dostałem orderu tylko pochwałę. Nogi podemną zadrżały gdy ujrzałem order na szyi Łozińskiego, dra-gała dorosłego prawie. Order wisiał na szerokiej żółtej wstędze ozdobionej dużą kokardą, a na niej połyskiwała blacha tombakowa, do której był przytwierdzony czarny dwugłowy orzeł austriacki. Jakiego doznałem uczucia żalu, gdy tę pożądaną nagrodę na piersiach nie swoich lecz cudzych ujrzałem! tego dziś ani opowiedzieć nie potrafię. A gdy na domiar złego spojrzełem na córki gospodyni i dostrzegłem, że się złośliwie uśmiechały, wtedy rozpacz moja dochodziła do najwyższego szczytu; całą siłą woli stłumiłem łzy. Nie potrafiłem ich jednak stłumić przy matce w chwili, gdy jej pochwałę a nie order oddawałem.

No i czegoż ty płaczesz? — pytała mnie matka.

Bo nie dostałem orderu. Więcej mówić nie mogłem z powodu głośnego łkania. Po chwili jednak uspokoił mnie łagodny głos matki, i wtedy głosem przerywanym łkaniem opowiedziałem wszystko. Moje nadzieje, i straszny zawód.

Ależ, nie masz powodu się trapić — uspakajała mnie matka — my oboje z ojcem zupeł-

nie jesteśmy z ciebie zadowoleni. Wtem nie ma nic dziwnego, że starszy kolega więcej od ciebie umie. Gdy na przyszły rok będziesz uczył się pilnie, jestem pewna, że medal otrzymasz, a teraz zamiast płakać, używaj swobodnie wakacyj.

Słowa matki uspokoiły mnie zupełnie. Skoro rodzice ze mnie zadowoleni, czegoż trzeba mi więcej, wmawiałem w siebie, a jednak jakiś głos cichy szeptał: Potrzeba ci orderu.

— Aleś był niemądry! — przerwał towarzyszowi Karol, — i co ci też zależało na orderze?

— Zależało bardzo wiele! — odpowiedział Karol. Wszakże to była najwyższa nagroda mająca takie znaczenie, jak u nas złoty medal, a każdy przecie z nas pragnie tej zaszczytnej oznaki.

— U nas co innego! złoty medal, to nie tombakowa blacha w dodatku z dwugłowym orłem, mówił Karol tonem pogardliwym.

— Jednak owa niepozorna blacha oznaczała to co u nas złoty medal; była nagrodą pilności i dawała właścicielowi pewne prawa; przywdziewał order codzien, i prowadził klasę do kościoła, a z kościoła do szkoły. Przechodnie spoglądali na ucznia ozdobionego orderem jak na dygnitarza!

Cóż dziwnego, że order był rzeczą pożądaną dla nas malców.

Przepowiednia matki spełniła się. Na przyszły rok order dostałem i jak tryumfator do domu wróciłem.

Pierwszą gimnazjalną klasę skończyłem w Zbarażu, a gdy do domu na wakacje wróciłem, przyjechał jakiś krewny mojej matki. Był to człowiek zamożny a bezdzietny, to też naparł się moim rodzicom, żeby mu mnie dali; obiecał posyłać mnie do szkoły i przyszłość majątkiem swoim zabezpieczyć.

Ojcu ta propozycja jakoś nie w smak poszła, wymawiał się, że trudno mu rozłączać się z dzieckiem.

A czy to z nim i bez tego nie jesteś rozłączony? — mówił ów krewniak. Wszakże go do szkół poza dom dajesz. Gdy mi go oddasz, nie będziesz czuł żadnej różnicy, bo na wakacje, ja ci chłopca przyślę.

Słowa powyższe trafiły do przekonania mego ojca, zwłaszcza, że utrzymanie chłopców w mieście połączone było z kosztami, a z małego folwarczku małe były dochody. Zatem zgodził się na natrętną prośbę krewnego, który też mnie zaraz zabrał. Mieszkał daleko, bo aż w Czerniowcach, miałem do przebycia drogę daleką; nie nudziło mi się jednak, bo była ona urozmaicona. I tak zatrzymaliśmy się we Lwowie, tu dobry mój opiekun urządził mi wielką przyjemność, oto zaprowadził mnie do teatru. Jakże byłem uszczęśliwiony! Zdawało mi się, że dostałem się do nieba. Wciążu dalszej drogi zabawiałem się wspomnieniami z teatru.

Nauki szły mi nie źle. Opiekunowie byli dla mnie dobrzy, a gdy zbliżyły się imieniny mojej matki, opiekunka namówiła mnie, żebym

list i powinszowanie napisał po niemiecku. Niech się rodzice przekonają, jakie zrobiłeś postępy w języku niemieckim. Słowa dobrej opiekunki trafiły do mego przekonania, zrobiłem, jak mi doradziła, nie przewidując, jakie rzecz ta będzie miała następstwa.

Gdy mój list niemiecki pod strzechę rodzicielską zawitał, oburzenie ojca nie miało granic. Niemca mi zrobią z chłopca, powtarzał — na to ja się zgodzić nie mogę. Co mi tam po całym obiecany majątku, jeżeli chłopiec przestanie być Polakiem.

Natychmiast list do mego opiekuna napisał, za opiekę pięknie podziękował, a mnie po skończonym roku szkolnym do domu wracać rozkazał. Sam ciułał, grosz do grosza składał, sobie wygod wszelkich odmawiał, aby tylko zebrać odpowiednią sumkę, poczem oddał mnie i brata do Krzemieńca.

— Więc ciebie niemczyzna do Krzemieńca przyprowadziła, — rzekł uśmiechając się Karol.

— Obawa mego ojca przed zniemczeniem — poprawił kolegę Józef, poczem mówił dalej. Ciężko było ojcu na nas nakładać, nie mało było kłopotu i ambarasu z paszportami lub przekradaniem się przez granicę. Wszystko to jednak ojca nie zrażało, chciał bowiem, abyśmy się kształcili w takiej szkole, która rozwija uczucia narodowe, która uczy nie tylko wiedzy, ale i cnoty.

Gdym po raz pierwszy z Krzemieńca do rodziców na wakacje przyjechał, doznałem tak

silnych wrażeń, że nie zapomnę tych wakacyi nigdy!

Było to roku 1809. Książę Józef Poniatowski zajął tryumfalnie Galicyę.

W domu rodziców ujrzałem po raz pierwszy polskich ułanów. Obchodzili uroczyste imieniny Napoleona przypadające 15-go sierpnia. W Brodach stał wówczas pułk Adama Potockiego, był nowo sztyftowany pułk Rzyszewskiego, był szwadron szaserów konnych Prebendowskiego w ogromnych bermicach. Łatwo pojmiesz, jak mnie to wszystko interesowało! jak rodzice nie mogli nas w domu utrzymać. Obaj z bratem pieszo biegaliśmy do Brodów, aby widzieć mustry i ćwiczenia nowego wojska. Jak żałowałem, że miałem dopiero lat 12! Nie mogąc być żołnierzem prawdziwym, przynajmniej z drewnianym pałaszem i w papierowych, własnego wyrobu ułańskich czapkach i ładownicach, uwijaliśmy się z bratem po naszym lasku, ścinając nielitościwie paproć, która nam wyobrażała wrogów.

— Takiś młody, a przeszedłeś już tyle ciekawych przygód, — rzekł Karol, gdy Józef opowiadać przestał.

— W każdym razie starszy jestem od ciebie, odpowiedział Józef przybierając poważną minę.

— Starszy, starszy! wszakże obaj urodziliśmy się 1797 roku — odpowiedział tonem urazy Karol.

— Prawda, że urodziliśmy się jednego roku, ja jednak przyszedłem na świat 19-go marca,

t. j. w dzień mego patrona, a ty także w dzień swego patrona, t. j. 4-go listopada.

— O te kilka miesięcy, czy warto się sprzezać? — pytał Karol.

— Oczywiście, że nie warto, lecz zaprzeczyć się nie da, że starszy jestem, — mówił Józef, — i tytułem mego starszeństwa żądam, abys mi opowiedział przygody z lat twoich dziecięcych. No rozpoczynaj staruszkuszesnastoletni; — dodał tonem żartobliwym.

— Nic ciekawego do opowiadania nie mam, — odpowiedział Karol. — Od czasu, gdy otworzono szkołę w Krzemieńcu, jestem jej uczniem, a w trzy lata później i ty do Krzemieńca przybyłeś, zatem nasze przygody są wspólne, więc obydwaj je znamy dokładnie. Jeżeli jednak chodzi o to, abym ci się odwzajemnił, za twoje zajmujące opowiadanie, to mogę ci opowiedzieć nie o sobie, lecz o moich starszych braciach, którzy śmiercią męczeńską zginęli podczas rzezi Pragi roku 1794.

— Co ty mówisz! — zawołał Józef, — twoi bracia zginęli podczas rzezi Pragi, wszak wtedy dziećmi być musieli.

— Oczywiście, że dziećmi byli — odpowiedział Karol — a czyż to mało dzieci w tym nieszczęsnym dniu zginęło? Mój ojciec walczył na szanłach Pragi, a gdy spostrzegł, że Moskale górą, że pomimo nadludzkich wysiłen, Praga dostanie się w ręce okrutnych wrogów, porwała go taka rozpacz, że z garstką niedobitków rzucił się na Moskale będących w ilości kilkakroć

większej od naszych. Przeważne siły wrogów nie przstraszały naszych wojowników, woleli śmierć niż niewolę. Moskale niebawem pokonali naszych, zabici lub ciężko ranni, padli pod pałaszami wrogów. Znalazł się na Pradze jakiś liściowy człowiek, który wśród poległych, wyszukał żyjących i pospieszył nieszczęśliwym z pomocą. On to uniósł z placu boju mego ciężko rannego ojca, i dzięki staraniom pocziwego człowieka, ocalał.

Rodzice moi mieszkali we własnym domu na Pradze. Gdy wojsko moskiewskie zdobyło Pragę i rozpoczęło tam krwawą gospodarę, mordując, rabując i paląc; matka ujrawszy nasz dom w płomieniach, pochwyciła młodszego synka na ręce, starszego za rękę i chciała ratować się ucieczką. Zaledwie z domu wyszła, kula moskiewska ugodziła maleństwo na rękach matki w głowę. Biedactwo zalane krwią wyzionęło ducha; matka na ten widok padła zemdlna. W zamieszaniu starszy mój braciszek gdzieś się zawieruszył. Gdy matka oprzytomniała, natychmiast pytała o starszego synka, wtedy udano się na poszukiwania za dzieckiem. Niebawem odnaleziono biedactwo w okropnym stanie, płonęły na nim sukienki! Malec bowiem szukając matki wśród zgliszczy zapalił na sobie ubranie. Nim na nim ogień ugaszono, odniósł tak ciężkie rany, że na drugi dzień w straszliwych męczarniach skonał.

Możesz wyobrazić sobie niezmierną boleść rodziców! W jednej chwili utracili wszystko:

wolną ojczyznę, dzieci i mienie. W pracy szukali pokrzepienia. Przyjaciel mego ojca wydzierżawił mu wieś, w tych stronach. Żyją tam i pracują ciężko i starają się, aby nam trzem braciom dać uczciwe wychowanie i wykształcenie.

Ot widzę, że lepiej było nie opowiadać, bo słuchając mnie posmutniałeś, — zakończył Karol.

W tej właśnie chwili nadbiegli inni koledzy i obu młodzieńców ze sobą zabrali nie pozwalając im na smutne rozmyślenia.

Ciekawi zapewne jesteście czytelnicy, co to za jedni ci dwaj uczniowie szkoły krzemienieckiej, z którymi was zaznajomiłam. Józef, nazywa się Korzeniowski, Karol zaś, Kaczkowski. Obaj skończyli szkołę w Krzemieńcu, Józef Korzeniowski kończył dalsze nauki w Warszawie, zaś Karol Kaczkowski w Wilnie. Tu uczył się medycyny, mając zamiłowanie do nauk przyrodniczych.

Po skończeniu szkoły w Krzemieńcu, wielu uczniów udawało się na dalszą naukę do Wilna. Po większej części byli to biedacy, którzy nie mając odpowiednich środków, pieszo z Krzemieńca do Wilna wędrowali. Obiecywali sobie, że w Wilnie znajdą lekcyę, zatem możliwość utrzymania się w mieście. Lekcyę zazwyczaj znajdowali, nie każdy jednak znalazł je odrazu, a w takim razie trzeba było przymrzeć z głodu. Biedniejszym kolegom przychodzili z pomocą zamożniejsi. Mianowicie też koleżeństwem od-

znaczeni się Krzemieńczanie przejęci duchem i naukami Czackiego. Owóż Karol Kaczkowski pamiętał doskonale zalecaną uczniom przez Czackiego, miłość braterską, a piękny dowód tej pamięci dał zaraz przybywszy do Wilna.

Oto z bratem starszym Adamem założył stowarzyszenie w celu wspomagania ubogich kolegów. Zamożniejsi składali datki miesięczne, pokazało się, że owe skromne fundusze starczą na utrzymanie dla pięciu ubogich kolegów. Ci, którzy wspomagali ubogich kolegów, sami bogaczami nie byli, to też robili sobie uszczerbek, uważali jednak swoje położenie w porównaniu z ubogimi kolegami za szczęśliwe, mieli bowiem stały i pewny dochód, bo pobierali stypendya.

Karol Kaczkowski i Józef Korzeniowski zeszli się znowu w Krzemieńcu po kikutu lat. Kaczkowski osiadł tu jako lekarz praktykujący, zaś Korzeniowski był profesorem w tej ukochanej szkole, w której był dawniej uczniem. Wszyscy Krzemieńczanie kochali szkołę jak dom rodzinny, to też z radością do Krzemieńca wracali.

Karol Kaczkowski powrót do Krzemieńca zawdzięczał wyłącznie swoim dawnym kolegom, Krzemieńczanom.

Karol Kaczkowski pobierał przez czas studiów uniwersyteckich w Wilnie stypendyum rządowe. Stypendysta po skończeniu nauk miał obowiązek służyć rządowi przez kilka lat. Dawni koledzy uwolnili Kaczkowskiego od przykrego obowiązku. Oto złożyli taką kwotę, jaką Kacz-

kowski otrzymał od rządu przez wszystkie lata pobytu w Wilnie. Po zwróceniu pieniędzy rządowi, Kaczkowski był wolny i mógł powrócić do ukochanego sobie Krzemieńca, dzięki ofiarności koleżeńskiej.

Zdarzenie to przytoczyłam, aby was młodzi czytelnicy przekonać, że wszczepiana w uczniów krzemienieckich nauka miłości bratniej dla kolegów w las nie poszła; że wierni jej byli życie całe.

Gdyby Karol Kaczkowski szedł za swoim osobistym upodobaniem, nie byłby nigdy Krzemieńca opuścił. Ale zdarzyła mu się sposobność służenia na szerszem polu swemu społeczeństwu, i dlatego z wielkim żalem Krzemieniec opuścił. Wezwano go roku 1830 do Warszawy, gdzie ofiarowano mu katedrę na wydziale lekarskim. Zaledwie młody profesor rozpoczął w Warszawie wykłady, aliści otworzyło się przed nim inne pole działania.

Słyszeliście o tem, że roku 1830 wybuchło w Warszawie, a potem w całym kraju powstanie, zwane listopadowem. W szeregi wojskowe biegła młodzież, odkładając naukę na później. W szeregi obrońców ojczyzny pospieszył także Kaczkowski. Wstąpił do artyleryi, gdzie mianowano go bombardyerem i dano mu pod komendę dwie armaty, wielkie staruszki, bo zdobyte na Turkach pod Warną, i 12-tu kanonierów. Podczas gdy profesor, bombardyer i jego podkomendni, kanonierzy poznawali swoje nowe obowiązki, przy pomocy danego im podoficera,

otrzymał Kaczkowski nominację na naczelnika czynnej służby zdrowia przy polskiej armii. Naczelnym lekarz miał rangę generała. Nie awans jednak skłonił Kaczkowskiego do przyjęcia nowego obowiązku, lecz przeświadczenie, że na nowem stanowisku będzie służył swemu społeczeństwu z większym pożytkiem. Służba lekarza podczas wojny jest równie niebezpieczną, jak żołnierza idącego w ogień bojowy. Pod gradem kul unoszono z pola bitwy rannych i opatrywano ich. Czasami po bitwie bywało kilka tysięcy rannych, można wyobrazić sobie ile to pracy dla lekarza! Na domiar złego wybuchła w armii cholera. Niebezpieczeństwo i trud dla lekarzy zdwojony. W czasach tych naczelnik zdrowia bywał niezmordowany, czuwając nieustannie nad nieszczęśliwymi. Żołnierze w ogień bojowy szli jakby do tańca; wszakże walczyli za wolność matki Ojczyzny, więc dla niej nie żalowali życia; ale gdy cholera przykuła nieszczęśliwych do łoża, rozpaczali i wyrzekali gorzko. Dlaczego Bóg nie pozwolił nam zginąć na polu sławy, mówili, lecz w chwili gdy jesteśmy Ojczyźnie najpotrzebniejsi, zsyła na nas chorobę śmiertelną.

Karol Kaczkowski, przy łożu rozpaczających żołnierzy, z lekarza stawał się pocieszycielem, uspakajał nieszczęśliwych. Dzięki naczelnemu lekarzowi i podwładnych mu lekarzy, przytłumiono straszną epidemię. Wielu lekarzy, a na ich czele Kaczkowski, za gorliwe pełnienie obo-

wiązków, otrzymali złoty krzyż zasługi, noszący nazwę »Virtuti Militari«.

Po nieszczęśliwym upadku powstania listopadowego, część wojska wyszła z kraju a z wojskiem i Karol Kaczkowski pełniący nieustannie służbę lekarza wojskowego. Powrót do Warszawy lub Krzemieńca był niemożliwy.

Karol Kaczkowski nie pozostał jednak za granicą, jak wielu, bo tęsknota za krajem nie pozwalała mu na to, osiadł we Lwowie. Tu jednak tęsknił także za rodzinnymi stronami, do których niebawem powrócił, dzięki wysokiej protekcji.

Namietnikiem Galicyi był wtedy arcyksiążę Ferdynand, stary i słabowity. Do chorego arcyksięcia wezwano Kaczkowskiego, cieszącego się sławą lekarską. Chory polubił tak bardzo lekarza, że wyjednał mu u rządu rosyjskiego pozwolenie powrotu na Wołyń. Tu Kaczkowski przebywał do roku 1863. Po upadku powstania styczniowego wzmożyły się znowu prześladowania Polaków przez rząd rosyjski. Prześladowano nawet osoby nie biorące udziału w powstaniu. Dotknęły one także Karola Kaczkowskiego, który nie tylko, że udziału w powstaniu nie brał, ale uważał je za zgubne. Bez względu na sprawiedliwość, wywieziono sędziwego starca do miasteczka Wołujek w gubernii Woroneżskiej. Było tu już wielu polskich wygnańców. Karol Kaczkowski, jakkolwiek znękany chorobą wiekiem i rozlicznymi zmartwieniami, nie upadał

na duchu, a widząc rodaków pogrążonych w rozpacz, chciał ich umocnić i pokrzepić na duchu. Urządził dla nieszczęśliwych rozrywkę umysłową, wykłady z najrozmaitszej dziedziny wiedzy, sam chociaż staruszek, brał w nich czynny udział, wykladał nauki przyrodnicze. Pożyteczny swój żywot zakończył roku 1867. Pozostało po niestrudżonym pracowniku wiele pism z zakresu medycyny, a prócz tego wspomnienia z życia; które wydano już po jego śmierci.

Z tych wspomnień czerpałam nie jeden szczegół przy opisie zwyczajów w szkole krzemienieckiej.

Kolega Kaczkowskiego, Józef Korzeniowski służył swemu społeczeństwu w inny sposób, zasłynął jako autor, zaliczony jest do naszych pierwszorzędných powieściopisarzy, poza tem był profesorem. W Krzemieńcu był profesorem lat 10, do czasu zniesienia tej znakomitej szkoły, a stało się to po upadku powstania listopadowego. Wtedy prześladowano nasz naród w sposób straszliwy. Chcieli Moskale wynarodowić nas i dlatego zwijali polskie szkoły, zatem i słynną szkołę w Krzemieńcu, którą przeniesiono do Kijowa 1833 roku.

Korzeniowski był tu jakiś czas profesorem, później dyrektorem gimnazjalnym w Charkowie a następnie w Warszawie. Roku 1863 umarł w Dreźnie.

Nim powieści Korzeniowskiego czytać będziecie, przeczytajcie w następnym rozdziale

zamieszczone przygody jednego z uczniów szkoły krzemienieckiej, które wyjęłam dla was z jednej powieści Józefa Korzeniowskiego, abyście poznali piękny sposób pisania znakomitego polskiego powieściopisarza, ucznia szkoły krzemienieckiej.

III.

Uczniowie krzemienieckiej szkoły.

(Ciąg dalszy.)

TADZIO SIEROTA.

Według Korzeniowskiego.

(Skrócone.)

Późną jesienią znaleziono, w pobliżu pańskiej siedziby na Podolu, nie żywą wynędzniałą kobietę a obok niej śpiącą dziecinę, mogąca mieć kilka miesięcy. Nieznajomą zmarłą pochowano, a dzieciątko, które przyniesiono do pałacu, oddała litościwa pani pod opiekę starej sługi, żyjącej w oficynie na łaskawym chlebie. Stara sługa spełniła rozkaz swej pani z radością, bo litość czuła dla sieroty, którego nazwano Tadeuszem, pielęgnowała dzieciątko z troskliwością macierzyńską. Cłopczyzna nie czując sieroctwa, chował się zdrowo i był swobodny i wesoły.

Gdy chłopczyk podrośł i poczuł się na siłach, pokazało się zaraz, że to będzie największy z całego Podola swawolnik i figlarz, który nie darmo miał piękne, ciągle śmiejące się oczy, i jasne, kręcące się włosy, co głowę jego naturalnemi lokami okrywały. Już w siódmym i ósmym roku życia wymykał się ze stancyjek swojej opiekunki, tak, że go nikt upilnować nie mógł, i na kilka godzin przepadał. Zdarzało się nieraz, że biedna kobiecina szukając go, cały ogród zdreptała, i ciężko zasapana, okryta potem, wracała na próżno, siadała w swem krześle, i ze zmartwienia ani pończochy robić, ani kabały kłaść nie mogła. Czasem znajdowała go lub gdzie na najwyższem drzewie, skąd do niej kukał, albo ogrzyzkami z jabłek rzucał; lub na folwarku, na jakim dachu słomianym, gdzie jak kot łaził i gniazd ptasich szukał; lub na wielkiej sadzawce zdobiącej ogród, gdzie sobie bacikiem pływał. Łatwo sobie wówczas wyobrazić rozpacz biednej kobiety i figlarne miny chłopca, gdy ulitowawszy się wreszcie nad nią, zląził z drzewa lub dachu, i kręcąc rudlem, lub sam dostawał się do brzegu, lub z pomocą ogrodnika, którego kobiecina przyprowadzić musiała, aby chłopca z krytycznego położenia wyzwolił.

Często także wymykał się na wieś, gdzie chłopcy wiejscy mieli swoje zbiegowiska. Tam pomiędzy nimi rej wodził w różnych grach, jakie sobie wymyślali, biegał z nimi, skakał, huśtał się na tarcicach. Z tych i tym podobnych wycieczek wracał najczęściej zabrudzony, z po-

plamioną lub podartą sukienką, z podrapanemi rękami lub twarzą w bójkach z chłopcami, do których stawał śmiało, zwłaszcza, gdy słabszego potrzeba było obronić, lub oprzeć się mocniejszemu.

Za te wszystkie wykroczenia i swawole często dostawał różgą, czasem skarcony był tylko szturchańcem, lub należyście wygderyany. Ale każda z tych kar kończyła się na pieścizotach, na uściskach i na łzach dobrej opiekunki, gdyż Tadeusz, czując się winnym, poddawał się jej z pokorą, kładł się na stółek milcząc, nie płakał gdy go ćwiczyła, nie skrzywił się gdy go szturchnęła, nie zaśmiał się, ani żadnym nie obraził jej grymasem, gdy go upominała lub złażała. Owszem, gdy uważał, że opiekunka jego, którą serdecznie kochał, uspokoiła się cokolwiek i ochłonęła, wtenczas przysuwał się do niej nieznacznie, i póty ją przepraszał, ręce jej i nogi całował, póki rozrzuwniona tak dobrem sercem staruszka nie podniosła go, nie utuliła na swych piersiach, i oblewając łzami, wielkimi jak groch cukrowy, ścisnąć i błogosławić nie poczęła. Wtedy znowu następowała zgoda, śmiech pusty wracał na usta chłopca, a z oczu jego tryskała radość, że i swoje okazał i opiekunkę swą do okazania mu miłości i przebaczenia przyprowadził. Wtedy nie było posłusniejszego dziecka nad Tadeusza, pojętniejszego i pilniejszego ucznia. Chociaż czytanie którego staruszka chłopca uczyła, nudziło go okropnie, jednak znudzenia tego nie okazy-

wał; powodowany instynktem uczciwego i szlachetnego serca, które mu mówiło: Zawiniłeś, zmartwiłeś pocziwą kobietę, która cię kocha, teraz nagródź jej to pilnością i posłuszeństwem.

Tadeusz był dzieckiem najlepszym, które cały dwór kochał, gdyż nie dopuścił się nigdy żadnego postętku, któryby zdradzał lub złość, lub chęć szkodenia komu, lub nałóg obwiniania drugich i zwalania winy na drugich. Figle płatał często różnym osobom, ale to były owe niewinne, nieszkodliwe psoty, z których żadna nie wynikała szkoda, a lekki tylko rodził się kłopot dla tych, którym wyrządzone były. Opiekuńce swojej np. schował czasem druty, albo sennik zarzucił, albo z kart wszystkie figury powyjmował, i oddawał wtedy, gdy się ich dobrze naszukała; służącej, która do usług jego i staruszki była, nasypał pod prześcieradło sieczki, którą w czapeczce z masztarni, gdzie miał znajomych i przyjaciół, przyniósł, albo gdy mydliła bieliznę a odwróciła się gdzie, w tejże samej chwili sprzątnął mydło, iż musiała się dobrze naszukać i nakoniec naprosić go, nim pokazał kryjówkę, gdzie je schował.

Latem w ogrodzie, gdy ogrodnik, który był łysy i zamyślać się lubił, usiadł na jednej kanapce i odpoczywał, zakradłszy się cicho, wodził z lekka słomką lub gałązką po jego łysinie, tak, że ten myślał, że to muchy, i co moment bił się ręką po głowie. Takich i tym podobnych psot wielu od niego doświadczało, nikt się jednak nie gniewał, bo gdy go kto na

uczynku złapał, a nie miał ochoty śmiać się z figla; Tedeuszek w ten moment rzucał mu się na szyję i przeproszał póty, póki nie nastąpiła zgoda i dobry humor pokrzywdzonemu nie wrócił.

Największym jego przyjacielem był koniuszy, stary, Kościuszkowski kawalerzysta. To też Tedeuszek najczęściej przesiadywał w stajni, laźł śmiało do koni, spokojniejsze do wody prowadził, pomagał zaprzęgać, czasem wdrapywał się na siodło, gdzie go koniuszy przed sobą trzymał, a gdy miał już dziesiąty rok, to i sam spokojniejsze woziwoły dosiadał.

Nauka jego nie szła sporo, staruszka go tylko uczyła, oraz przyjaciel jej i Tadeuszka, pan Gracyan Owsikowski, ów koniuszy. Od opiekunki swej nauczył się czytać po polsku, pacierza i katechizmu, a od koniuszego, który do nich często na gawędkę przychodził, nauczył się pisać litery i liczby, i rachunku na pamięć, tak, że mógł wielkie sumy nawet dodawać, a tabliczkę mnożenia umiał na wrywki. Oprócz tego nasłuchiwał się jeszcze od pana Owsikiewicza o ostatnich wypadkach kraju i bitwach, w których on, jako oficer kawalerji, miał udział. Od tegoż pana Owsikiewicza dostał na imieniny, gdy rok dziewiąty zaczynał, dwa portreciki, dwóch najznakomitszych w dziejach naszych Tadeuszów, które stary wiarus własną ręką nad łózczykiem chłopca przybił, aby kładąc się i wstając, zapatrywał się na wielkich imienni-

ków swoich, i starał się wyrównać jednemu męstwem, drugiemu rozumem.

Z geografii niewiele wiedział; znał tylko niektóre nazwiska miejsc, które w ostatnich czasach pamiętnymi się stały, a które z opowiadań pana Owsikowskiego, jako oficera kawaleryi, zapamiętał. Wiedział także, gdzie leży Berdyczów, Kulczyny i Felsztyn, o których to miastach, sławnych jarmarkami na konie, pan Owsikowski znowu jako koniuszy, często robił wzmianki: Od niego także dowiedział się o Krzemieńcu, gdyż właśnie imiennik jego Tadeusz Czacki, którego portret miał nad łóżkiem, miejsce to sławnem i użytecznem zrobił. Od opiekunki swojej dowiedział się o Poczajowie, gdzie był obraz cudownej Matki Boskiej, i stopka jej w kamieniu wydeptana, a zawsze pełna wody święconej, którą we flaszcze nad jej łóżkiem zawieszoną widział.

Wiadomości jego z historyi naturalnej ograniczały się tylko znajomością domowych zwierząt, które lubił, i z którymi jak mógł pieścił się i bratał. Konie w stajni pańskiej znały głos jego; faworytalne krówki na folwarku biegły do jego ręki; ze wszystkimi psami na dziedzińcu był w najlepszych stosunkach; przewracał się z nimi, borykał, siadał na nich i za uszy jak za lejce, trzymał; a gdy czasem upadł na wznak i nieżywego udawał, poczciwe wyźły obstępowały go, trącały mordami, aby go ocucić, i śliczną jego twarzyczkę lizaly, aby oczy otworzył i do swawoli z ziemi powstał. Nawet

na wsi miał znajomych między pieskami chłopskimi i wiedział jak się który nazywa. To też skoro się pokazał, obskakiwały go kruczki i wilczki, radowały się jego widokiem, jak widokiem przyjaciela; czuły bowiem, że to dziecko dobre, co nie kopnie nogą, nie uderzy pięścią, kamieniem nie rzuci, ale owszem, pogłaszcze biednego stróża wiejskich chat i chlebem pańskim poczęstuje.

Dni swobody skończyły się niebawem dla Tadeusza z następującej przyczyny. W pałacu był panicz o rok młodszy od Tadeusza. Rodzice panicza kazali obydwom chłopcom bawić się razem. Panicz jednak żądał od sieroty uległości, kaprysił nieznośnie! a gdy Tadeusz kaprysom ulegać nie chciał, panicz tak się rozgniewał, że uderzył w twarz sierotę i nagadał mu obelżywych wyrazów. Tadeuszek oburzony doznana zniewagą, obił batem panicza; na jego krzyk wybiegł pan z pałacu, a ujrawszy co się dzieje, kazał natychmiast Tadeusza wychłostać i odwieźć do odległego folwarku do ekonoma, któremu polecił surowe obchodzenie się z sierotą i użycie go do pasania cieląt. Ekonom spełniając rozkaz pański, kazał Tadeuszka odprowadzić do piekarni, aby tam z parobkami, dziewczkami i inną czeladzią siedział i dalszych czekał rozkazów. Weszło biedne dziecko do izby dużej, zakopcanej, pełnej zaduchu, gdzie był piec piekarniany a przy nim baba brudna, która czeladzi dworskiej jeść gotowała; gdzie było kilka dziewczek szykujących skopki, z którymi miały

ić do krów; gdzie leżały worki z różną żywnością, których jeszcze do spiżarni nie sprzątnięto, a tamże kupy buraków, kartofli i rozmaite obrzynki jarzyn, gdzie kury pani ekonomowej grzebały krupy, jakiś prosiak, jej faworyt, wszystko przewracał; gdzie głodny pies chodził i zaglądał do próżnych garnków; gdzie była beczka z wodą, kilka cebrzyków z pomyjami, duży stół brudny na krzyżowych nogach, przy którym czeladź siadała do jadła, i parę ław koszlawych pod ścianami, na których leżały rupiecie i zgrzebne sienniki, służące tej służbie żeńskiej za pościel.

Serce się ścisnęło biednemu chłopcu, gdy spojrział na ten nieład i brudy ekonomskiej piekarni, gdy się przypatrzył tym twarzom obcym i bladym i bez uśmiechu, i gdy przypomniał sobie czyste swoje pokoiki, łóżeczko, które mu zawsze jego opiekunka słała, i jej kochające oblicze, na którym widniała tylko dobroć, dobry humor i przywiązanie bez granic.

Przybity temi myślami, usiadł sobie w kąciку na ławie i cicho płakał, a gdy się zmęczył tęsknotą i płaczem zmordował, oparłszy głowę na stole, przymrużył zapuchłe i bolące powieki, i marząc o tym rajy swego dzieciństwa, zasnął.

Tadeuszek wypawszy się w kąciку na ławie, gdzie mu jedna z kobiet piekarnianych, która się nad biednym dzieckiem zlitowała, siermięgę podesłała pod głowę, obudzony został równo ze dniem przez pana ekonomę, który go rączką od harapnika parę razy w bok dobrze

tracił. Zerwał się chłopczyk równemi nogami, przetarł oczy, jakby sobie przypominając, co się z nim stało, i gdy rzucił okiem w około siebie, gdy spojrzął na barczystą postać swojego prześladowcy, który w kurtce dymkowej szarej, w takichże szarawarach, w słomianym kapeluszu i z harapem w ręku, stał przed nim, gotów już do wyjechania w pole, zaczął znowu drzeć i łzawem okiem szukać po za plecami ekonoma, jakiej ludzkiej i miłosiernej twarzy, coby się nad nim zlitowała. Ale za ekonomem stał tylko duży, zarosły i brudny pastuch, a dalej baba rozpalająca ogień, a po różnych kątach dziewczki rozczochrane, które tylko coby zerwały się ze snu, i zawiązując coby prędzej głowy podartemi chustcinami, gotowały się każka do swojej roboty. Na ten widok ścisnęło się serce biednemu chłopcu; spuścił więc głowę i choć łyż z ocz jego kapwały, w duszy jego obudziła się rezygnacya, z jaką losu swego oczekiwał.

— Rozbierz się smarkaczu! — rzekł grubym głosem ekonom. — Te pańskie sukienki zdadzą się na kogo innego.

Tadeusz, widząc ciężką konieczność, rozebrał się; wdział grubą koszulę, którą mu ekonom rzucił, potem zdjawszy lekkie swe spodnie, nowe jeszcze buciki i czyste pończoszki, które mu wczoraj opiekunka jego sama przyrządziła, wdział płócienne szarawarki, ściągające się na sznurku, opuścił na wierzch koszulę, którą mu rzemyczkiem w pasie przewiązać kazano, i tak ustrojony i bosy, do nowego przygotował się

zawodu. Ale i w tem nawet chłopskiem odzieniu nie stracił on piętna wychowania i szlacheckiej swej natury. Dziewki spoglądały z politowaniem i współczuciem na ślicznego chłopczyka, a baba stojąca przy piecu, z twarzą opartą na dłoni, kiwała głową, że takiego ładnego panicza zamieniają na chłopa i wcielają go do ich nędzy i poniżenia, które oni tak dobrze czują. Gdy tym sposobem toaleta nowego pastuszka była skończoną, ekonom kazał mu przez ramię przewiesić niewielką torbę, w której był chleb i kawałek sera, a dawszy mu słomiany kapełusz i batożek, poprowadził za sobą.

Na dziedzińcu zbierała się trzoda dworska, mająca wychodzić w pole. Z niej kazał ekonom oddzielić dwadzieścioro najpiękniejszych cieląt, i te Tadeuskowi powierzył.

— A pamiętaj smarkaczu! — krzyknął potem tak, że krew w biednym chłopcu zastygła — żebyś mi pastucha słuchał, tam szedł gdzie on ci każe, nie swawolić z chłopakami, za cielętami się nie gonił, nie ćwiczyl ich batogami, ale tylko postraszył! rozumiesz? A jak które zginie albo pójdzie w szkodę, to tak oberwiesz, że onegdajszy piątek obaczysz?. — Tu rozwinawszy harap i zaciąwszy nim Tadeusza dla próby, jak to on umie, kazał rogatej gromadzie pod przewodnictwem właściwych dowódców ruszyć.

Całą drogę Tadeusz, pędząc swoją trzódkę i trzymając ją w kupie, rzewnie płakał. Nie było dla niego to rzemiosło nowem. Nieraz on

z chłopcami był w polu, gdzie paśli konie i bydło, i sam po wielokroć uganiał się za cielećkami, zgromadzał je do kupy i wypędzał ze szkody, zwłaszcza gdy one poruczone były jakiemu słabszemu od niego dziecku, które sobie rady dać nie mogło i płakało, bojąc się chłosty, gdyby ojciec lub polowy zobaczyli, że zboże wypasione i wyfluczone. Ale tam było co innego, tam robił to z ochoty, a częściej dla przyniesienia ulgi i z popędu dobrego serca. Tu był przymus, połączony z chęcią poniżenia go i ukarania tak niesprawiedliwie i okrutnie, za to, że sobie nie dał krzywdy zrobić i odebraną odwetował. To go ciężko bolało, i dlatego tak płakał, tak mu się przykrem wydawało to nowe zajęcie, a szczególnie to oddalenie od tych wszystkich, których kochał, i przed którymi mógłby się poskarżyć. Widział pastuch łzy rozżalonego dziecka, i idąc obok niego zasępiony, żadnego przykrego słowa mu nie powiedział. Owszem, gdy które ciele miało ochotę, ni stąd, ni z owąd bryknąć i na bok odskoczyć, sam pobiegł, z bicia trzasnął i do kupy je spędził. Gdy przyszli na to miejsce, gdzie Tadeuszek z trzódką swoją miał zostać, rzekł mu, jak mógł najłagodniej:

— Nie płacz, paniczu, nie płacz! Nie taka to wielka bieda, jak się tobie zdaje. Ot, ja od młodych lat pasę bydło, a zdrów jestem i wesół, chyba że widzę, że kto płacze, lub kogo biją. Gorzej cepem wywijać, albo sierpem lub kosą machać cały dzień, że potem człowiek

kości nie czuje, i nie ma sił ukąsić kawałka chleba. Krowy, to dobre boże stworzenia, znają człowieka co koło nich chodzi, i tak patrzą w oczy, jakby dziękowały, że ich na dobrą paszę popędzisz i do czystej wody przygonisz. Ot ze świniami to już bieda. Świnia wszędzie świnia. Jakby ci kazali paść prosięta, tobyś miał czego płakać, bo to bestye uparte. Ty jego ze szkody, a ono w szkodę, a tu jak raz nadjeżdża ekonom z harapnikiem, albo polowy z kijem, i krzyczy i bije, że nie pilnujesz, a tego nie wie, że człowiek rady sobie dać nie może i nóg już nie czuje. Z cielakami biedny paniczu, nie znasz wielkiego kłopotu. Ot, tu ich na tę zieloną łąkę, co ją nie dawno skosili, zapędź, jak słońko się podniesie — to ich ot tam, do rzeki zagoń, żeby się napoiły, a potem pod ten las zaprowadź, to będą sobie w chłodku spokojnie chodzić, i trawkę szczypać i listki z krzaków ogryzać. A ty sobie, paniczu, pacierz zmów, kawałek chleba zjedz, ta i siedź i śpiewaj i często z batożka trzaskaj, żeby wiedziały, że jesteś i pilnujesz, bo choć to głupie, jednakowo mają ten rozum, że wiedzą co batóg. Tylko nie kładnij się i nie śpij, paniczu, oj! tego nie rób, bo choć tu blisko nie ma szkody, ale tam las gdzieby mogło które przepaść. A jakby ten suczy syn, ekonom nadjechał, — dodał pastuch, oglądając się jednak, czy go kto nie słyszy — zobaczył cię śpiącego, toby cię tak harapnikiem wykropił, żeby ci siniaków i rodzona matka nie zagoiła.

Ta długa przemowa, łamanym językiem przez pół polskim a przez pół ruskim wymówiona, była prawdziwym dla Tadeusza balsamem. Poznał on, że nie wszyscy na niego tak dziko patrzą, jak ekonom, że pod brudną i grubą koszulą, w piersiach tego prostego człowieka, któremu go pod najbliższy dozór oddano, jest cokolwiek serca, które się nad jego losem i opuszczeniem zlitowało. Podziękował więc dobremu człowiekowi za radę, otarł łzy, i rozwiniawszy batóg, trzasnął nim kilka razy tak dzielnie, że się aż echo po pagórkach rozeszło, i cieleta jego, widać do tego hasła przyuczone do kupy się zbiegły.

— Ej! dobrze, dobrze, paniczu! — rzekł chłop uśmiechając się — będzie z ciebie kiedyś tęgi pastuch! No idźże z niemi, idź i rób tak, jak mówiłem, a ja będę z trzodą, tu niedaleko za górą.

Takim sposobem Tadeuszek, w nowym swym obowiązku instalowany, rozpoczął go z sercem, kilku dobrymi słowami umocnionem.

Uplýnęło bez zmiany dni kilka, aż razu pewnego, podczas upału, cieleta się rozbrykały i rozbiegły się na rozmaite strony, a tu jak na nieszczęście nadszedł ekonom, i strasznym głosem na chłopca krzyknął i z podniesionym harapnikiem ku niemu pędził. Przestraszony sierota umykać począł, ale ubiegłszy spory kawał, uczuł, że mu sił nie staje, że nogi pod nim drżą, że sił nadużył i upadnie, jeżeli się nie zatrzyma i nie odetchnie. Stał więc, a widząc, że eko-

nom zaperzony, z otwartą gębą, z wytrzeszczonymi oczami nadbiega, nie czując dość mocy, aby mógł uciec, i szukając rozpaczliwego środka ratunku, schylił się nieznacznie, nabrał obie garści zsuszonej ziemi, i gdy ekonom już, już ręce po niego wyciągał, rzucił mu piaskiem w twarz i zupełnie oczy i gębę zasypał. Musiał się zatrzymać oślepiiony prawie ekonom, zaczął ziemię wypluwać i obcierać oczy, których otworzyć nie mógł, tak pocisk był trafny i skuteczny. Ryknął, jak lew raniony, rozjadł prześladowca Tadeusza, który jak Dawid, wystąpiwszy do nierównej walki, z takim samym, choć nie tak krwawym wyszedł z niej tryumfem. Gdy bowiem ekonom jedno oko, pełne jeszcze piasku i łez, cokolwiek z biedą otworzył, postrzegł, że Tadeuszek był już daleko. Straciwszy więc nadzieję i możność dopędzenia go, wrócił powoli na folwark, a uwolniony z tak okropnego niebezpieczeństwa chłopczyk, stanąwszy na wzgórku, patrzył póty, póki swego prześladowcę z oczu nie stracił, wtedy ukląkł, zmówił: Pod Twoją Obronę i Kto się w Opiekę, pożegnał myślą swoją kochaną opiekunkę i pocziwego Owsikowskiego, i wszystkich dobrych ludzi, których tam kochał, a spojrzawszy na świat, jak szeroki i długi, wyciągnął do niego ręce, i prosząc ze łzami, by przyjął sierotę, prosto ku lasowi się puścił. Dostawszy się do lasu, szedł nim ciągle i długo, nie wiedząc dokąd idzie i czem głód zaspokoi, gdzie odpocznie, gdy noc nadejdzie. Póki jeszcze było widno,

podróż ta szła mu dość sporo, bo i strach pogoni dodawał siły, i nogi jeszcze nie były tak zmęczone i podrapane. Ale gdy się ściemniło, uczył dopiero biedny chłopczyzna i upadek sił i upadek ducha. Usiadł więc w miejscu ustronem i gęstem, dla odpoczynku i pomyślenia, co tu zrobić, i gdzie się dalej obrócić. Tak siedział długo, skupiwszy się, i marząc i przysłuchując się, czy kto nie idzie, czy go kto widzi i nie dosięga. Był on odważny, przywykł do różnych przygód, a przecież, gdy się zupełnie ściemniło, gdy nie już w około siebie dojrzeć nie mógł, gdy dęby nad głową jego szumieć zaczęły, gdy ptak zmieniając swoje legowisko nocne, lub czemkolwiek spłoszony, poruszył liśćmi, lub skrzydłami zaszeleścił, gdy się jaka odłamała gałąź, lub trzask jaki rozległ się wśród powszechnej ciszy i milczenia całej natury, wtedy straszno się robiło nieszczęśliwemu chłopcu, tak, że zaczynał się góraco modlić i rzewnie płakać.

Mimo tak przykrego położenia, nie żałował jednak, że się wyrwał z tej niewoli, na którą go skazano, i gdzie mógł co chwila być spowiewierany słowem i oćwiczony harapem. Powracać na folwark za nic nie myślał, postanowiwszy nazajutrz wypytać się dobrze pierwszego człowieka, któregooby spotkał, aby się jak najprędzej i najpewniej od miejsca tego oddalić. Ale gdzie pójść? do jakich drzwi zapukać? Kto jutro da jeść i pić? kto pocieszy? kto pożałuje? kto pokocha? Na tę myśl znowu łzami zasłzy

jego oczy, od których sen odbiegł, i obraz do-
bobrej opiekunki i koniuszego przedstawił się
tak żywo, że się biednemu chłopcu serce z bólu
ściśnięło. Na smutnych rozmyślaniach, wśród
ciemności i szumu lasów, z którymi się wreszcie
oswoił, przeszła mu połowa nocy. Nareszcie
ciało przemogło i zmęczony moralnie i fizycznie,
ułożywszy się na miękkiej trawie, sam nie wie-
dział kiedy zasnął. Obudził się dopiero wtedy,
kiedy słońce już było dość wysoko, rosa błyskała
na liściach, i ptaszki cudnie i wesoło
śpiewały. Porwał się więc na nogi, przypomniał
sobie, gdzie jest i co się z nim wczoraj stało,
podziękował jeszcze raz Panu Bogu, że go wy-
zwolił, i choć głodny i opuszczony, ale orze-
źwiony snem, owiany świeżem ranku powie-
trzem, i umocniony wesołością leśnych śpiewa-
ków, co choć mniejsi i słabsi od niego, a jednak
tak swobodnie po gałązkach igrają, zmówił
pacierz, potem jeszcze raz Pod Twoją obronę,
i poszedł dalej żwawo i z nadzieją, że gdzieś
przecie znajdzie i do czegoś trafi.

Las prędko się skończył, rozległo się przed
nim szerokie pole, dalej rzeka i most. Słońce
już dobrze przygrzewało, uszedł już blisko z milę
drogi, głód dopiekał; w niedostatku więc chleba
chciał przynajmniej napić się wody, umyć twarz,
i nogi zmęczone, i choć tym sposobem orzeźwić
się i do dalszej umocnić drogi. Zszedł więc do
rzeki, i wykonawszy, co zamierzał, położył się
w cieniu na trawie, żeby dobrze odpocząć.

Po jakimś czasie usłyszał śpiewanie.

Silny i donośny głos, chociaż w pewnych przerwach, rozchodził się daleko po polu, a nuta i pieśń sama była mu doskonale znajoma. Była to litania do Wszystkich Świętych, którą Tadeuszek tyle razy z opiekunką swoją śpiewał. Podniósł się więc prędko i szukał chciwem okiem, skąd głos ten dochodził.

Drogą ku mostowi szedł zwolna zakonnik, już nie młody, z odkrytą i siwiejącą już głową. Habit miał gruby i tabaczkowy z dużym kapturem, podwiązany białym paskiem, przy którym wisiały białe także paciorki i krzyż, przez ramię miał zawieszony spory, ciemny worek, w rękę zaś trzymał kawałek chleba z masłem, który nożykiem krajał, a nim kawałek jaki włożył do ust, wprzód głośnym śpiewem kilku Świętych wezwał i prosił ich, aby się modlili za nami. Widok ten rozweselił bohatera naszego, który przez szczęśliwe usposobienie i swobodne wychowanie, mimo biedy, nie stracił humoru i energii. Znał się on dobrze z takiego rodzaju wędrownymi mnichami, którzy często po jałmużnę do pałacu zachodzili, wstępowali zawsze do jego opiekunki, która ich chętnie przyjmowała i częstowała. Nieraz nawet Tadeuszek przeprowadzał ich przez dziedziniec, aby ich psy nie opadły, i nie jeden dostał obrazek. Wiedział więc, że to są ludzie dobrzy, lubią dzieci, i choć ubodzy, są najczęściej wesołego humoru. Z tych powodów, i pragnąc mieć towarzysza i opiekuna w drodze, postanowił z nadchodzącym braci-szkiem dobrze się zapoznać. A że sądził, że do

tego najlepszym środkiem będzie jaki niewinny figiel, schował się pod mostek i czekał, aż się przybliży. Nadszedł mnich śpiewając przerywanie: święty Bartłomieju! święty Mateuszu! święty Szymonie! po każdym imieniu Tadeuszek odpowiadał głośno i w oktawę tonu: Módl się za nami. Zastanowił się mnich na moście i słuchał. A gdy jeszcze raz, jakby dla próby, czy się nie ludzi, wezwał z kolei następującego świętego Tadeusza, a chłopczyk tem głośniej i energiczniej odpowiedział: Módl się za nami! zakonnik zdziwiony zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja chwale! — odpowiedział malec pod mostem.

— Czego chcesz, duszo pobożna? — zapytał mnich.

— Chleba z masłem — odpowiedział figlarz śmiejąc się skrycie, i czując, że mu ślinka do ust przyszła.

— A wyjdźże, wyjdź, głodna duszyczko, i pokaż się, to się z tobą podzielę — zawołał uśmiechając się także braciszek.

Wtedy Tadeuszek wyskoczył z pod mostu, przybiegł śmiało do kiwającego głową starego, i pocałował go w rękę.

— A to ty, figlarzu, O! widzisz go, jaki swawolnik! tak mnie przestraszył!

Chłopiec patrzył mu w oczy, czy się doprawdy gniewa, a gdy spostrzegł, że na miłej jego, rumianej i jowialnej twarzy był tylko dobroduszny uśmiech, zerknął pożądliwie na ten

chleb, który zakonnik miał w ręku. Wtedy stary rzekł:

— Na, na, kiedyś taki głodny, i kiedy umiesz Pana Boga prosić o chleb, a do tego z masłem, choć pewnie ani na suchy kawałek chleba nie umiesz jeszcze zarobić.

Chłopczyk podziękował, wziął chleb i zaczął go z takim apetytem zajadać i smakować, że mnich, kiwając głową i uśmiechając się dodał:

— Biedny chłopiec! pewnie ze dwa dni nie nie jadł.

— Dwa dni, jak dwa dni — odpowiedział Tadeuszek — ale od wczoraj nic w gębie nie miałem.

— Dlaczegoż to? pewnie ci za karę nie dali jeść.

— Ej! gdzie tam, to zupełnie co innego, — odpowiedział Tadeuszek. Ale to wiele o tem mówić.

— Jak się nazywasz!

— Nazywam się Tadeuszek.

— A ha! to dlatego tak głośno wrzasnąłeś. Módl się za nami, jakem ja świętego Tadeusza wspomniał.

— A tak! — odpowiedział mały — to mój patron, a ja jestem teraz w wielkiej biedzie. To też krzyknąłem głośno, żeby usłyszał.

Uśmiechnął się braciszek i pogładził słiczego i przytomnego chłopczyka po głowie. Potem mówił dalej.

— Ty nie musisz być chłopskie dziecko, co już i twoje imię wskazuje.

— Naturalnie, że nie — odpowiedział Tadeuszek.

— A czyżże ty jesteś syn?

— Otóż to cała bieda w tem, że ja tego nie wiem — rzekł chłopczyzna, spuszcżając zasmucone oczy.

— A jakże się nazywasz?

— Nazywam się Tadeuszek.

— To twoje imię chłopcze, na chrzcie świętym dane. Ale twoje nazwisko? Bo przecież musisz wiedzieć, że każdy człowiek ma imię i nazwisko. Imię daje mu kościół święty, a nazwisko bierze z ojca.

— Tak, — odpowiedział chłopczyk, — a jak kto nie wie, kto jego ojciec, to skądże to nazwisko weźmie?

— A to prawda — rzekł mnich z uśmiechem, a potem dodał poważniej — jesteś sierota. Skoro nazwiska nie masz, to nazywajże się odtąd Tadeusz Sierota. Z odpowiedzi twoich widzę, że masz nie złą głowę, a twoje ślepki, — dodał, podnosząc twarzyczkę chłopca i patrząc mu w piękne i filuterne oczy — pokazują, że masz dobre i odważne serce. A teraz powiedźże mi, co ty tu robisz tak sam jeden?

— A cóż? idę w świat — odpowiedział Tadeuszek z rezygnacją.

— Wieszże ty, malcze, co to jest iść w świat? — zapytał zakonnik kiwając głową.

— Ot tak, wziąć ta i iść, przeżegnawszy się, gdzie oczy poniosą, — odpowiedział Tadeuszek.

— Więc ty myślisz — mówił dalej coraz mocniej kiwając głową, że na każdym mostku dostaniesz chleba z masłem?

— A! jak zmówię szczerze pacierz, potem Pod Toją obronę i Kto się w opiekę — rzekł chłopiec — w oczach jego błysnęła ła wiary i ufności.

— Prawda, prawda, moje dziecko — mówił zakonnik, kładąc dłoń na jego głowce. — Ptaki nie sieją nie orzą, a mają codzienną pożywność. Lilia nie stara się, a ma śliczną sukienkę. Ale człowiek zgrzeszył, mój chłopcze, i dlatego musi pracować. Dobrze jednak, że tak wierzysz. Wiara to grunt; przy niej znajdzie się reszta. Ale jeszcze powiedz mi, dlaczego jesteś w chłopskiej koszulce, bez czapki i bosa, kiedyś nie chłopskie dziecko?

— Bo mi sukienki moje wzięli — odpowiedział spokojnie Tadeuszek — ale to dużo o tem mówić.

— Poczekaj że, — dodał zakonnik, gładząc głowę Tadeuszka. Pójdźmy ot tam nad rzekę, tam sobie usiądziemy, ja napiję się wody, opowiesz mi to wszystko. A potem może się znajdzie dla ciebie jeszcze jaki posiłek i dobra rada co dalej począć.

Minęli więc mostek, zeszli ku rzece, tam mnich usiadł na kłodzie wierzby złamanej, postawił worek między kolanami, dobywszy z niego blaszany kubek, kazał chłopcu zaczerpnąć sobie wody. Gdy się napił, Tadeuszek pobiegł jeszcze raz do wody, naczepnął dla siebie, i wypiuwszy

oddal mu kubek. Mnich schował go napowrót, i posadziwszy chłopczyne koło siebie, kazał mu wszystko sobie powiedzieć.

Tadeuszek, ile mógł zapamiętać i złożyć w jakąś całość opowiadanie wypadków swego dziesięcioletniego życia, tak je opowiedział, nie zapomniawszy naturalnie o swojej kochanej opiekunce, o Owsikowskim, o dokuczliwym pannie z pałacu, o batogu, o cielećtach, a nade wszystko o ekonomie.

Gdy skończył, rzekł mnich:

— Więc już wiesz, co dobre i złe na świecie! byłeś na wozie i pod wozem, byłeś w raju i za jego płotem. Cóż teraz myślisz robić?

— Ja nie wiem — odpowiedział Tadeuszek, patrząc mu w oczy.

— Chcesz iść ze mną?

— O dobrze, dobrze! — zawołał chłopczyzna, całując jego rękę, pójdę wszędzie!

— W naszym klasztorze znajdziesz przytułek. Będziesz tam usługiwał, a za to dadzą ci chleb i naukę.

— Byłem butów nie czyścił — odpowiedział Tadeuszek, który miał jakiś szczególny wstręt do tego zajęcia.

— A gdzie rozum, chłopcze? — rzekł mnich uśmiechając się i stukając palcem w szerokie i jasne czoło Tadeuszka. Czy takie buty potrzebują glansu? — i wyciągnął z pod habitu nogę.

Tadeuszek zaśmiał się i spojrział na jego

gołą stopę, pod którą była podeszwa z kapturkiem na palce, przysznurowana rzemykiem.

— Będiesz więcej służył Panu Bogu, niż ludziom, — mówił dalej stary — ale umiesz że ty czytać i pisać?

— Czytać umiem dobrze i piszę litery i liczby.

— A Introibo umiesz?

— Co to jest? — zapytał chłopczyzna.

— Służyłeś kiedy do mszy?

— O! do mszy służyłem, jak się w kaplicy państwa czasem odprawiała — odpowiedział chłopczyk, — ale tylko do dzwonka i do flaszczyk.

— O! widzisz go! a każdy z was tylko do dzwonka i do flaszczyk! — rzekł mnich uśmiechając się, i biorąc z lekka Tadeuszka za ucho.

— Bo ja dzwonić umiem doskonale! — rzekł malec z pretensją.

— Wielka sztuka! to lada kiep potrafi. Ale czy umiesz co z Ministrantury, to jest z tego, co trzeba odpowiadać?

— Umiem Et cum spiritu tuo i Amen.

— No, toż nie wiele; ale to nic nie szkodzi, nauczysz się. Jednakże czas nam już w drogę — rzekł mnich — spoglądając na słońce. Do noclegu jeszcze daleko; a chciałbym dosięgnąć na noc do klasztoru księży Bernardynów, na parę mil w bok Winnicy. Tylko możebyś jeszcze trochę podpasł konika, co? Chleb z masłem stanął ci prawda w przygodzie, ale to tego mało na dwa

dni. A i mnie odebrałeś śniadanie, tak, że się czuję głodnym.

Tadeuszek spojrzał rozweselonemi oczami, i klasnął w rączki z radości. Reformat rozwiązał swój worek i zaczął zapasy pomaleńku wydobywać, naprzód chleb dobry pytlowany, którego kawałeczek mały ukroił. Tadeuszek sądził, że i jemu się coś z tego ładnego chleba dostanie, ale widząc, że bułka staje w szeregu obok kawałka chleba, spuścił nos na kwintę. Spostrzegł to Reformat, uśmiechnął się, i wydobywszy garnuszek z masłem, czystą szmatką zawiązany, dał go chłopcu, aby nitkę rozwiązał. Tadeuszek usiadł na ziemi, aby lepiej dopełnić tego ważnego polecenia, i gdy podniósł oczy, spostrzegł w ręku mnicha bułeczkę pszenną, z wierzchu rumianą, ze spodu białą i mączną, słowem taką, jakie po dworach na Podolu i Wołyniu pieką.

— A widzisz figlarzu? — rzekł do Tadeuszka, który ośmielony jego wejrzeniem już do bułeczki rękę wyciągał. Na, to dla ciebie. Nasmaruj sobie masłem i pożywaj ten dar dobrych ludzi.

Tadeuszek wziął i zaczął zajadać, krając bułkę i delikatnie smarując ją masłem, a Reformat wsadziwszy znowu rękę do worka, wydobył z niego coś owiniętego w papier, co strasznie do kury pieczonej było podobnem. Powąchawszy, rzekł sam do siebie, to przyda się na obiad, jeżeli go gdzie nie dadzą — i włożywszy nazad do worka, wydobył z niego inne zawiniątko, które z podługowatej swej formy,

liczbę 8 przypominającej, miało minę kielbasy tak złożonej, papierem owiniętej i sznurkiem ciasno okręconej. Znowu powąchał, do worka schował, mówiąc: To będzie do poduszki, jeżeli gdzie wieczery nie dadzą. Nareszcie wyszedł na jaw spory kawał szynki, którego właściwie szukał. Rozwinął go brat Leon, bo tak się ów braciszek nazywał, ukroił sobie dobrą porcję, dał spory kawałek Tadeuszkowi, smarował chleb masłem i przykładając go plasterkami szynki, tak spożywał.

Gdy się dobrze posilili, znowu wszystko systematycznie poobwiązywał i poukładał w tej przenośnej spiżarni, w której było wiele rozmaitych zapasów, a na samem dnie pasek biały od wielkiego święta, a pod nim dopiero brewiarz.

Tak poznawszy się dobrze i pokrzepiwszy utrudzone siły, ruszyli w Imię Boże w dalszą drogę. Brat Leon wracał z nad Dniestru, gdzie miał do spełnienia klasztorne jakieś polecenie. Po drodze zachodził to do dworu, to do klasztoru, to na probostwo, i wszędzie mu coś do worka przybywało.

Tadeuszek zwyczajnie jak dziecko zdrowe, z sercem wesołem i kochającym, choć nie zapomniał swej opiekunki i Owsikowskiego, ale cieszył się światem bożym, po którym wędrował, i przywiązał się do swego nowego opiekuna, którego mu Opatrzność, do której doszła jego poranna modlitwa, zdarzyła. Trzymając się za rękę brata Leona, który często spiżarnię swoją rozwiązywał, przeszedł zwolna całe Podole, wy-

minał Winnicę i Lityn, ale widział Latyczów, Proskurów, Międzyborz; wstępował do kilku klasztorów, był na jednym probostwie, nocował w kilku dworach, a wszędzie worek dobrodusznego zakonnika napełniał się rozmaitymi przysmakami, a nawet i takimi, któreby dla dziecka zdrowsze i pońtniejsze były niż kielbasa. W jednym nawet z nich, niepokaznym, ale kryjącym złote serca pod dachem starym i słomianym, odziano Tadeuszka w sukienki, które pozostały po synku tych państwa, wyprawionym do szkół i mającym już mundurek. Ucieszył się brat Leon, jakgdyby skarb jaki wynalazł, gdy rano, kiedy Tadeuszek jeszcze spał, przyniosła służąca od pani parę cieńszych, choć już trochę starych koszulek, całą jeszcze kurteczkę, trochę wykoszlawione, ale jeszcze nie złe trzewiczki, pończoszki, nankinowe pluderki i kaszkiecik żółty z kwaścikiem.

Surge puer! wołał z rumianą i śmiejącą się twarzą Reformat, trzymając w ręku ubranie, którem miał towarzysza swego ustroić. Wprawdzie kurteczka była trochę za ciasna, pluderki za krótkie, gdyż Tadeuszek był dorodny i silniej, jak pierwszy właściciel tych rzeczy, zbudowany, jednakowoż mógł je wdziać i wcale inaczej w ubraniu tem wyglądał.

Tym sposobem, bez żadnego wypadku idąc zwolna i bez utrudzenia, przyszli dziesiątego dnia do Kalinowa, wielkiej wsi nad Słuczą w Starokonstantynowskim powiecie, gdzie był klasztor księży Reformatów, w którym brat

Leon, chociaż braciszek, był figurą znaczną, bo generalnym konwentu plenipotentem, i karmicielem szczupłej i ubogiej gromadki, która żyła z jałmużny.

Klasztor ten fundacyi Sapiehów, niezbyt wielki i wybudowany według zwykłej formy i planu reformackich klasztorów, stał na samym brzegu wsi, mającej dziś kilku właścicieli, opasany był całym murem i miał duży ogród owocowy, który aż do Słuczy dosięgał.

Znajdowało się w nim czterech księży mszalnych i dwóch braciszków. Zostawał on pod rządem gwardyana, łagodnego, ale chorowitego staruszka, którego prawą ręką i zupełnym we wszystkim powiernikiem był brat Leon. Ten ostatni mieszkał już tu przeszło lat piętnaście; przez naturalny rozum, dobry humor i jakąś taką znajomość łaciny, zjednał sobie prędko szacunek kolegów, a skoro użyty był na kwestarza, i po niejakiem czasie wrócił z bryką tak pełną, że ledwie konie stępo iść mogły, przyjęty został z wiwatami i uniesieniami, посаdzony na pierwszym miejscu przy gwardyanie, za tym stołem, który tak obficie opatrzył, i odtąd nie stracił tego miejsca w refektarzu; miał sobie powierzona całą spiżarnię, całą kasę klasztoru i wszystkie jego interesa. Wśród takiego życia i zajęcia, nabrał tej znajomości ludzi i umiejętności obchodzenia się z nimi, że wszędzie gdzie się w okolicy pokazał, był gościem pożądanym; że nikt dla niego i jego braci nie żałował, i że przez cały ten przeciąg czasu nie

tylko nie stracił przychylności okolicznych obywateli, i zaufania swoich kolegów, ale owszem, urósł w jednym i drugim, i on właściwie klasztorem Kalinowskim zarządzał, choć nigdy tego po sobie nie okazywał, i dumą lub próżnością żadnemu z przełożonych swych nie narażał się.

Tadeuszek, wsparty rekomendacją i przywiązaniem tak ważnej w klasztorze osoby, został przez wszystkich dobrze przyjęty. Nawet historia jego, przez brata Leona opowiedziana, zainteresowała zakonników tak, że postanowili nie używać go do żadnych posług cięższych i przykrzejszych, ale owszem, jako dziecię klasztoru, które im Bóg zesłał, aby mu w jego sieroctwie i opuszczeniu podali rękę, uczyć i wychowywać. Poznawszy, że choć żywy, ale najlepszego jest serca; że zdolności ma wielkie i pamięć ogromną, bo w przeciągu tygodnia nauczył się do mszy służyć; postanowili rozdzielić pomiędzy siebie lekcye, i co który z nich najlepiej umiał, tego go uczył. I tak kaznodzieja uczył go gramatyki polskiej i katechizmu; ksiądz Paweł, który nie dawno studia swe skończył i jeszcze nie wszystko zapomniał, uczył go arytmetyki i geografii, inny, który ładnie pisał, dawał mu lekcye kaligrafii, łacinę zaś zostawił ksiądz Leon sobie, a w jego nieobecności, która przy licznych klasztornych potrzebach miewała miejsce, podjął się tego sam ksiądz gwardyan, który go tak polubił, że w swoich własnych pokoikach, których miał dwa, wybrawszy dobry kącik, tam kazał Tade-

uszkowi postawić małe, skromne, ale nawet wygodniejsze łóżeczko, niż było to, na którym sam staruszek sypiał.

Odzieniem chłopca zajmował się brat Leon, i z każdej wędrownki swojej w okolice, przynosił to gotowych parę koszulek, to cienkiego płótna, to jaki surducik, to buciki lub trzewiczki. Słowem, że Tadeuszkowi na niczem nie zbywało, i garderoba jego, choć nie z jednej wsi pochodząca, choć nie wszystko dobrze przystawało, i jedno było za buchaste, drugie za ciasne, była jednak liczna i prawie więcej miał niż potrzebował.

Wśród pracy i zajęcia nie brakło czasu na bieganie i na swawole. Po kilku tygodniach już znał wszystkie kąty i kąciki klasztoru i ogrodu. Zaznajomił się z konikami księdza gwardyana, był na strychu kościelnym, na wieży, znał imiona wszystkich Sapiarów, których portrety wisiały na kurytarzach klasztornych, wiedział, jaki Święty jest w którym ołtarzu, i kiedy przed którym z nich msza się odprawia, organy zbadał dokładnie i bawił się niezmiernie temi dudami, które się tak głośno i przeciągle odzywały. Lekcyi każdej uczył się niezmiernie pilnie, a różne miał do tego pobudki: raz, że go to nie wiele kosztowało, — powtóre, że chciał coprędzej być swobodnym i robić to coby mu się podobało, dalej, że brat Leon po przejściu dzienniczka, i obaczywszy w nim dobre klasy, prowadził go z sobą do apteczki, gdzie były jabłba, gruszki suszone, wiśnie smażone w miodzie, śliwki na rożenkach z kminkiem,

sucharki z cukrem i cynamonem, słowem, różne specyaliki, które zewsząd zbierał, o które się nawet przymawiał, aby miał czem faworyta swego uraczyć i do pilności zachęcić. Wszakże oprócz tych wszystkich pobudek do pracy, była jeszcze jedna, daleko ważniejsza, o której następnie powiemy.

Przy takim życiu, przy takiej łasce Bożej i miłości ludzkiej, wszystkie dawniejsze figle Tadeuszkowi wróciły. I tak zdarzyło się, że braciszkowski drugiemu schował szczotkę, którą zamiatiał kościół, potem pomagał mu ją szukać, naturalnie znajdował i odbierał podziękowanie. Gdy tenże poszedł po wodę dla pokropienia kurytarza, on tymczasem, mając, już przygotowaną koneweczkę, zawinał się i pokropił cały, a schowawszy się we framugę śmiał się z braciszka, który się żegnał i dziwił, że robota zrobiła się sama; czasem wykradł zakrystyanowi klucze od chóru, i zaczynał grać na organach wtedy, kiedy wszyscy księża po obiedzie drzemali, i każdy zrywał się, dziwiąc się, że tak prędko czas schodzi, i że już pora na nieszpory.

Mimo to wszyscy go kochali, wszyscy gorliwie uczyli, wszyscy cieszyli się i jego wzrostem i postępami w nauce, i postanowili, przygotowawszy go dobrze, zebrać mały fundusik, to od dobrych ludzi, to z odjęcia z własnych potrzeb, oporządzić sierotę i kosztem żebrackiego klasztoru oddać do szkół do Krzemieńca.

Bóg błogosławił chęciom i zamiarom poczciwych zakonników, bo Tadeuszek uczył się,

a i puszka blaszana z napisem: Dla sieroty, rosła także, mnożyła się datkiem ludzkim każdego święta i niedzieli, a z każdej wycieczki brata Leona wracała ciężka i prawie pełna.

Ale najważniejszym w tym czasie zdarzeniem jest to nowa znajomość, którą Tadeuszek wkrótce po przybyciu swem do Kalinowa zrobił. W Kalinowie było kilku właścicieli. Najbliższą klasztoru była mała część wsi, z dziesięciu tylko poddanych złożona, należąca do dwojga ludzi młodych, ukształconych i umiejących tak potrzebami swojemi kierować, że szczupły dochód, jaki z tak małej włości mieli, wystarczał dla nich, dla dwojga dzieci, i dla starego ojca, który jako kaleka ustąpił synowi wszystkich swych praw za życia, a sam pilnował kościoła, i jeżeli miał z kim, grywał w warcaby.

Ci szczęśliwi w mierności swej, a co ważniejsza, zasługujący na to szczęście ludzie, mieli dwoje dzieci. Synek Józio był w wieku Tadeusza, a córeczka Sabinka o rok młodsza. Dzieci ku radości rodziców chowały się zdrowo, a wyglądały tak, że miło było na nie spojrzeć. Włoski ich były tak ładnie zaczesane, twarzyczki i rączki tak czysto pomyte, suknie tak przykrojone i przystające, że chociaż kurteczka chłopczyka była tylko z szarego płótna, czarnymi sznurkami ozdobiona, a sukienka dziewczynki z bardzo taniego perkaliku, jednak oboje wyglądali jak pańskie dzieci, około których chodzi wiele osób, i na których utrzymanie łoży się wiele pieniędzy. Piękne wyglądanie i dobre

wychowanie zawdzięczali pracowitej i oddanej dzieciom matce.

Dworek państwa Karpińskich, tak się bowiem nazywali ci zacni ludzie, był mały, pokryty słomą, miał ganek drewniany, przy którym rosły dwie lipy, dziedziniec zarosły trawą i z jednej strony przypierający do muru księży Reformatorów, a z drugiej mający potrzebne zabudowania gospodarskie, z tyłu zaś ogród, który się ciągnął wzdłuż klasztornego ogrodu, oddzielony był od niego murem i także aż do Słuczy przypierał.

Tadeuszek we trzy tygodnie po przybyciu swem do klasztoru, lustrując wszystkie jego kąty, zbiegł raz przed wieczorem do ogrodu, wlaźł na stojącą przy samym murze jabłoni, i próbował, czy prześliczne rumiane jabłuszka, któremi była obsypana, już dojrzałe, czy można się nimi uraczyć, i o wynalazku tym księdzu gwardyanowi donieść. Za murem posłyszał dwa miłe głosiki, które między sobą rozmawiały.

— Józiu! — mówił jeden głosik — patrzno jakie tam śliczne jabłuszka w ogrodzie księży. Już muszą być dojrzałe, bo ojciec mówił, pamiętasz, że jabłka wtenczas dojrzałe, kiedy z jednej strony żółte, a z drugiej czerwone. A tam już dużo takich żółtych i czerwonych. Widzisz Józiu!

— Widzę — odpowiedział drugi głosik — ale jak ich dostać?

— Żebyś czem rzucił — mówił pierwszy głos — to możeby które tu upadło.

— Jaka ty jesteś swawolna Sabinko — odpowiedział drugi głos — czyż można rzucać do cudzego ogrodu? Jak przyjdzie do nas ksiądz gwardyan, albo brat Leon na warszaby do dziadunia, wtenczas poprosisz go, to ci da.

— Kiedy to będzie! — odpowiedział pierwszy głos — a jabym chciała teraz.

W tej samej chwili, najpiękniejsze z całego drzewa jabłko, z jednej strony żółte, a z drugiej rumiane, upadło na ścieżkę, na której dzieci stały, i potoczyło się pod nogi Sabinki. Krzyknęła dziewczynka z radości, klasnąwszy w dłonie, i podejmując je, zawołała:

— Widzisz Józiu! jakie to pocziwe drzewo! lepsze niż ty; samo rzuciło mi jabłuszko. A jakie śliczne, a jakie słodkie! I wówczas jak druga Ewa sama jadła i dała jeść bratu. Józio skosztowawszy, że dobre, rzekł:

— Żeby to twoje pocziwe drzewo i dla mnie rzuciło jabłko! bo bardzo smaczne i już dojrzałe. Patrz ziarneczka czarne — i oboje patrzyli, czekając, ale drzewo nie usłuchało. Wtedy swawolna dziewczynka, podniosła rączkę a kiwając nią zawołała:

— Drzewo! drzewo! daj mi jeszcze jedno jabłuszko, proszę cię! — i w tej chwili jeszcze jedno jabłuszko upadło blisko zadziwionej już, i cokolwiek przestraszonej dziewczynki.

— To ktoś musi rzucać — rzekł rozsądniejszy Józio. Chodź Sabinko, żeby się mama nie gniewała.

Podjęła dziewczynka swoje jabłko i poszła

za bratem, oglądając się jednak na tę jabłoń, która życzenie jej rozumiała i słyszała jej prośbę.

Tadeuszek wówczas, wysunawszy się, oparł się na murze, i patrzył za odchodzącymi dziećmi. Ta scena zabawiła bardzo małego figlarza. Filuterny uśmiech biegł po jego ustach, gdy sobie pomyślał, jakie musiało być dzieci tych zadziwienie, i jakie teraz między sobą prowadzą rozmowy o tem doskonałem drzewie, co nie tylko dobre jabłka rodzi, ale i samo je rzuca. Nie jednak nikomu o wypadku tym nie powiedział, ale nazajutrz znowu, o tej samej porze, wlaźł na jabłoń i przyczaiwszy się, czekał. Józio i Sabinka postanowili nazajutrz pójść znowu i przekonać się, czy drzewo doprawdy takie rozumne, że jak go kto poprosi, to samo rzuca jabłka.

Gdy przyszli, zastali już jedno jabłko na ziemi rzucone jakby dla przynęty. Józio pierwszy je spostrzegł, i pierwszy uchwycił. A gdy się Sabinka o swoją część upominała, nie chciał jej dać, mówiąc: że może sobie poprosić, to jej drzewo da, a mnie nie rozumie i słuchać nie chce. Wtedy Sabinka przybliżyła się do muru, kilka jabłek najpiękniejszych upadło przy jej nóżkach, a ona zadziwiona podniosłszy główkę, spostrzegła na murze jasną, kędzierzawą główkę, rumianą jak same jabłka twarz, i duże błękitne oczy, które na nią śmiejąc się patrzyły.

— Józio! Józio! — krzyknęła wówczas — patrz tam ktoś jest. To nie drzewo rzucało jabłka.

— Ja ci zaraz mówiłem — odpowiedział chłopczyk i zbliżywszy się, zapytał: Kto ty jesteś?

— Ja? — odpowiedział mały figlarz, stając na murze i trzymając się gałęzi — ja jestem Tadeuszek Sierota. Przywędrowałem do tego klasztoru z bratem Leonem z daleka. A wy kto?

— My tu mieszkamy. To nasz ogród.

— Jakże ty się nazywasz? — pytał Tadeuszek.

— Ja nazywam się Józio.

— A ona? — pytał znowu ciekawy malec, patrząc z uśmiechem na dziewczynkę, która nie spuszczała z niego ciemnych i dużemi żęsami ocienionych oczów.

— To moja siostra, Sabinka — odpowiedział Józio — przyjdź do nas, będziemy się razem bawić.

— Dobrze, jak brat Leon pozwoli — odpowiedział Tadeuszek.

— Ja poproszę sam brata Leona, — mówił Józio, — jak przyjdzie do dziadunia na warcaby.

Tym sposobem dzieci te poznały się prędko. Tadeuszek tego samego dnia opowiedział całe zdarzenie bratu Leonowi, Józio opowiedział je ojcu i matce. Pan Karpiński nie wiedząc co za chłopczyk znajduje się w klasztorze, i bojąc się, aby sąsiedztwo tak bliskie nie przyniosło złego towarzystwa jego dzieciom, poszedł zaraz na drugi dzień do klasztoru, żeby się o wszystkim dowiedzieć.

Zakonnicy wszyscy mówili dobrze o Tadeuszkowi, a historia jego, opowiedziana przez brata

Leona, pochwały dane dziecku, które tak szczerze pokochał, świadectwo złożone przez wszystkich, którzy go uczyć zaczęli, o jego nadzwyczajnych zdolnościach, i pilności, wreszcie postanowienie biednych zakonników wychowania sieroty i oddania go do Krzemieńca, tak ujęły pana Karpińskiego, że prosił, aby mu Tadeuszka pokazano. Wyszedł jeden z zakonników i przyprowadził z sobą za rękę chłopca, ten dowiedziawszy się, że to ojciec tych ładnych dzieci, z którymi się poznał, przystąpił do niego z uśmiechem i patrzył śmiało w oczy. Pan Karpiński wziął chłopca za rękę, wdał się z nim w rozmowę, i przekonawszy się z jego odpowiedzi, że pochwały nie były przesadzone, widząc z ułożenia, że to jest dziecko dobrze wychowane, poprosił brata Leona, aby go kiedy z sobą przyprowadził i z dziećmi jego zapoznał.

Tym sposobem wszedł pod dach ucziwych ludzi. Pani Karpińska, równie jak i jej mąż, pokochała ładnego chłopczykę, strofując go jednak łagodnie, za jego zbyt dużą żywość, i naganiając każdy ruch, każde słowo, które traściło nie okrzęsaniem.

Ponieważ Józio przygotowywał się w domu, aby rok następny być przyjętym do klasy trzeciej, pan Karpiński życzył sobie, aby i Tadeuszek według jednego uczył się planu. Przepisał więc cały porządek jego lekcji i zakres każdego przedmiotu, co sam, będąc kilka lat w Krzemieńcu domowym nauczycielem, i z tego utrzymując się, dokładnie wiedział, i prosił księży,

którzy Tadeuszka uczyli, aby się tego planu trzymali. Sam dawał mu początki niemieckiego języka w tychże godzinach kiedy i synowi, pani Karpińska zaś uczyła wszystkie dzieci po francusku.

Przy końcu każdego miesiąca był egzamin w obecności księdza gwardyana, wszystkich zakonników i całego domu pana Karpińskiego. Na kilka dni przed egzaminem obaj chłopcy pilnie pracowali, szczególnie Tadeuszek nocy nie dosypiał, wiedział bowiem, że się będzie popisywał przed panią Karpińską, która się może zmartwić, jeżeliby mu źle poszło, a nade wszystko wiedział, że sprytna i swawolna Sabinka słuchać go będzie, i pewnie parsknie ze śmiechu, gdy się pomyli, lub stanie jak żak zagapiony i nie odpowie, jak potrzeba.

Tak przeszedł rok cały, na pracy, na zabawach, przy których rozumna matka, utrzymywała zawsze zgodę i jedność między dziećmi, które się zaprzyjaźniły, przystały do siebie i kochały się, jak dobre rodzeństwo. Gdy nadszedł sierpień 1825 r., zaczęto robić przygotowania do wyprawy dla obu chłopców. Pani Kalinowska zajęła się sama bielizną dla nich, przejrząwszy to wszystko, co Tadeuszek już miał, i dopełniając z zapasów brata Leona nagromadzonych, czego jeszcze brakowało. Pan Karpiński porozumiewając się z jego opiekunami, pojechał do Starego Konstantynowa, nabrał sukna na mundurki i sprowadził do domu żydów krawców, aby je poszyli. Ślicznie oba chopczyki wyglądali

przybierano żałobnie; na środku pod wysoką kopułą wznoszono wspaniały katafalk, cała świątynia napelniała się młodzieżą okrytą krepa, zbierali się rodzice, krewni i mieszkańcy miasta w czarnych i poważnych sukniach; a gdy się msza rozpoczęła, wszyscy profesorowie w mundurach, przewiązanych żałobą, stawali ze świecami po obu stronach katafalku, a obok nich we dwa rzędy klękali uczniowie, począwszy od najmniejszych do najstarszych, wybrani po czterech z każdej klasy i każdego kursu, z pomiędzy najpilniejszych, a zatem najgodniejszych reprezentować żal kolegów i modlić się najbliżej grobowca wspólnego ich dobroczyńcy. Gdy się msza skończyła, wstępował na ambonę znakomity szkoły tej kaznodzieja, ksiądz Prokop, i tym głosem przenikającym i rzewnym, który się wiskał do każdej piersi, uczył młodzież obowiązku wdzięczności i wrażał w serca jej pamięć człowieka, który żył tylko dla niej. Był to obchód dla wszystkich uczniów szkoły krzemienieckiej niezmiernie uroczysty i ważny; żaden go nigdy nie opuścił i żaden przed dopełnieniem tego obowiązku, który dla siebie uważał za święty, nie wyjechał z miasta, choć go wakacje wabiły i pieśczoły matki czekały.

Nazajutrz odbywał się obrzęd uroczysty rozdawania nagród w sali bibliotecznej, która przez swoją wielkość, piękność form, zbiór kosztowny zabytków nauki, wizerunki ludzi znakomych różnych wieków i narodów, nad każdą szafą umieszczone, silne na wszystkich młodych

robiła wrażenie. Pod wielkim portretem cesarza Aleksandra, w głębi zamieszczonym, stał stół czerwonym aksamitem ze złotą frędzlą okryty, na nim leżał dyplom przez tegoż monarchę szkole tej nadany, tudzież medale, książki i inne nagrody dla uczniów. Na prawo wznosiła się mała mównica, dla mającego odczyt profesora, a od niej rzędem szły krzesła dla grona nauczycielskiego. Na lewo, przy stole siedział biskup Łucki, potem stało próżne krzesło, dalej siedzieli członkowie komisji edukacyjnej, potem obaj zwierzchnicy szkoły, a za nimi rząd pań w stosownych i pięknych strojach z uśmiechem macierzyńskim na ustach, grono panien, upatrujących w tłumie młodzieży braci i krewnych; a za wszystkimi widne były poważne i zainteresowane twarze ojców, krewnych i mnóstwo publiczności przyjezdnej i miejscowej. Nic nie brakowało: tylko na owem próżnym krześle, tej wysokiej i giętkiej postaci, z niebieską wstęgą pod rozrzuconym mundurem, tej głowy łysej na tył wygiętej, tej pięknej i wyrazistej twarzy z przymrużonemi oczyma, z której jednak bił promień rozumu i dobroci, i tego donośnego głosu, który rzucał zdania krótkie, ucięte, a wrzające się jak połyski prawdy do serc młodych i do umysłu starszych słuchaczy. Brakowało niezapomnianego, założyciela szkoły w Krzemieńcu, po którym opróżnionego krzesła nikt zająć nie śmiał, nie czując się na sile zastąpienia nieboszczyka.

Gdy się odczyt skończył i ksiądz biskup

wspomniął w krótkich słowach brak Tadeusza Czackiego, który wszyscy odczuwali, powstał prefekt szkoły i wezwał Tadeusza Sierotę, który w tym kursie na medal srebrny zasłużył.

Łatwo sobie wyobrazić radość naszego znajomego gdy wystąpił na środek, przybliżył się do zwierzchnika szkoły i otrzymał medal i świadectwo, powracał w szeregi tych samych kolegów, co w jego siły i lata nie wierzyli.

Była to chwila wielkiej radości dla biednego sieroty, gorąco też dziękował za nią Panu Bogu, gdy po skończonej uroczystości, wszyscy poszli do kościoła, dla odśpiewania Te Deum.

Gdy chłopcy wrócili do domu, zastali konie, które po nich przyszły dla odwiezienia ich na wakacje. Józio przestraszył się, że ojciec nie przyjechał, ale list pana Karpińskiego uspokoił go, że wszyscy w domu zdrowi. Zmartwienie czekało tylko Tadeuszka. Odebrał on osobny list, w którym były te słowa: »Kochany Tadeuszu! Przygotuj się na wielkie zmartwienie, może pierwsze w tem życiu, które mocniej uczujesz, niż to wszystko co ci się w dzieciństwie twojem przytrafiło. Nie chciałem ci o tem donosić dawniej, aby ci smutek nie przeszkadzał w naukach, z których zapewne z całym zapałem starałeś się korzystać. Dowiedz się, kochany Tadeuszu, że ksiądz gwardyan przed kilkoma miesiącami umarł; na jego miejsce jest inny, który ani z charakteru, ani z głowy, ani z serca, do zacnego staruszka co cię tak kochał,

nie podobny. Wątpię, abys tam znalazł już przytułek i pomoc w utrzymaniu. To ostatnie, nie wiele cię zapewne zmartwi, bo sądzę, żeś się już tyle usposobił, iż sobie sam dasz radę. Ja byłem tylko o pół roku starszym, i Bóg mi dopomógł, bom postanowił ulgę przynieść staremu ojcu i nic od niego nie żądać. Znasz nasze przywiązanie do ciebie, i znasz nasze serca, ale wiesz także, jak nam ciężko, i że ledwie na utrzymanie Józia zdobyć się możemy. Przygotowuj się więc do stania na własnych nogach, i nie trać odwagi, która ci tem potrzebniejsza, że jeszcze jedną najgorszą mam ci donieść wiadomość. Brat Leon śmiertelnie chory, dlatego nie przyjechałem po was, bo go pilnuję i nie odstępuję ile mi tylko czas od moich prac gospodarskich pozwala. Poczciwy ten twój przyjaciel i opiekun, zapadł przed tygodniem na jakąś złą gorączkę i dotąd bez pamięci leży. Śmierć księdza gwardyana znękała go niezmiernie, złe z nim obchodzenie się jego zastępcy, zmuszenie go do ciężkich robót braciszka, od których się odzwyczaił, odjęcie wszelkich wygod, do których tak przywykł, dobiło go na duchu, tak, że jakiś nawet lekki i nieznaczący powód przyprawił w chorobę jego ciało, już i tak przez wiek i chorobę duszy zniweczone. Wyobrażam sobie, jakim cię bólem ta wiadomość przejmie, ale nie poddawaj mu się, mój drogi Tadeuszk, bo tyle dni przed tobą, a nie wiesz, ile ci sił do ich przebycia będzie potrzeba, i jakie jeszcze

próby cię czekają. Ściskam cię z serca i wyglądam was obu».

Tadeuszek przeczytawszy ten smutny list, położył go na kolanach, zakrył twarz rękami i rzewnie płakać zaczął. Gdy się cokolwiek uspokoił, i gdy Józio dowiedziawszy się o co idzie, pocieszył go jak mógł, zaczęli się zbierać, i tego samego dnia wyjechali. Nie była podróż ta tak wesoła, tak szczęśliwa jak się nie dawno spodziewał. Medal wprawdzie leżał na jego sercu, ale w tem sierocem sercu był smutek, że już nie zastanie tych, którym chciał pokazać ten owoc ich starań, ten plon ich dobroczynnych usiłowań.

Gdy przybyli do Kalinowa, Tadeuszek wyczytał z twarzy pana Karpińskiego, że brata Leona już niema na świecie. Jakoż w wigilią ich przyjazdu pochowano go, i klasztor odtąd stał się dla biednego chłopca pustym i obcym. Rzadko nawet tam bywał, gdyż nowy gwardyan widzieć go nie chciał. Do kościoła tylko chodził codziennie, gdzie modlił się za duszę swych dobroczyńców.

Pozostała mu więc tylko przyjaźń tej rodziny, gdzie go uważano jak dziecko własne, gdzie go tak rozumnie umacniał i pocieszał pan Karpiński, tak tkliwie kołała pani Karpińska. Smutnemu Tadeuszkowi upłynęły szybko wakacje wśród zacnej rodziny, zbliżył się koniec sierpnia. A koniec sierpnia był od czasu założenia szkoły w Krzemieńcu, epoką ważną dla mieszkańców Wołynia i Podola. Z dniem pierwszym września

rozpoczęły się szkoły, i na wszystkich główniejszych traktach widzieć można było wózki i bryczki, budy żydowskie, koczki obywatelskie i pańskie karety, zwożące młodzież do Krzemieńca. Wszędzie w miasteczkach i po lepszych punktach po drodze, gdzie były porządne austerye, gospodynie domów zajezdnych wyglądały niecierpliwie jadących do szkół paniczów, a nadewszystko oczekiwały na te karawany dworskie, składające się często z kilku rozmaitych powozów, a które wiozły panie mieszkające z dziećmi w Krzemieńcu, dla lepszego pilnowania ich edukacyi.

Trakt Jampolski najbardziej był wówczas uczęszczany, łączył Krzemieniec z najżyźniejszą i najbogatszą częścią Wołynia, z całym Podolem, Pobereżem i Ukrainą. Znane były w owym czasie wszystkim Dębowe karczmy, od pięknego lasu dębowego, wśród którego znajdowały się, nazwane. Stały one w punkcie tak dogodnym, że jadącym z Krzemieńca lub do Krzemieńca, wypadał tu koniecznie popas lub nocleg. Stąd były bardzo uczęszczane, a szczególnie jedna murowana, ogromna i utrzymana porządnie. Tam, po zamknięciu rocznego biegu nauk, 30 czerwca, na noclegu, i pierwszych dni lipca na popasie i noclegu, widzieć można było po kilkanaście najrozmaitszych ekwipażów, a w dwóch wielkich pokojach ścisk młodzieży, zdrowej, wesołej, szczęśliwej, że się rok szkolny dobrze skończył, że jedzie odpocząć, obaczy domowe kąty, odwiedzi krewnych i przyjaciół, pochwali

się odebraną nagrodą, popisze się ze zdobytą wiadomością i nauką. Tam wrzała rozmowa, rozlegały się śmiechy i żarty, deklamowały się rozmaite wiersze, powtarzały się różne anegdoty szkolne, oceniał się wykład profesorów, a stąd spory i pierwszeństwo oddawane jednemu przed drugim, tu oceniano także wartość uczniów medalowych.

Podobne, chociaż nie tak tłumne zjazdy, zdarzały się w Dębowych karczmach przy końcu sierpnia, kiedy młodzież zbierała się do szkół. Wszakże i wówczas nie było tam widać smutnych i zasepionych twarzy. Po dwumiesięcznych wakacjach, każdy tęsknił już do pracy i zajęcia, każdy prawie jechał z radością do tego miejsca, gdzie go czekała przyjaźń kolegów, rozkoszne przechadzki po górach, nowy głos profesora, którego jeszcze nie słuchał, nowe pole wiadomości, na które rad był co najprędzej wstąpić. Tacy nawet, którzy dojeżdżali do Krzemieńca, mając tylko kilka złotych w kieszeni, jechali bez troski i z nadzieją, że tam nie zginą, wiedzieli bowiem, że w Krzemieńcu uczniowie młodszy musieli mieć dozorców domowych. Myśl ta dodawała najbiedniejszym śmiałości, i czyniła im otuchę, że znajdują pracę, a zatem utrzymanie.

W takim położeniu, ale w kłopotliwszem cokolwiek usposobieniu dojeżdżał do Dębowych karczem i Tadeuszek. Jeszcze dziś, jeszcze może jutro i pojutrze, myślał sobie, ojciec Józia da mi obiad i śniadanie. Ale gdy wyjedzie, i ja zostanę sam o własnych siłach bez dachu

i chleba. Przykro się zrobiło biednemu chłopcu, gdy zaczął rozważać, że tak rzucony w świat, bez stałej pomocy i opieki, że gdy każde dziecko cieszy się pieśczołą matki, miłością i nauką ojca, on nie tylko że nie zna swoich rodziców, ale traci chwilowych dobrych opiekunów. Przy tych myślach, zaszło chmurami jasne i szerokie czoło szlachetnego chłopca, dręczyło go to, że niema nic, że dopiero ma lat 14, że być może, iż zwierzchność szkolna nie pozwoli mu zajmować się dozorowaniem młodszych, jako malcowi, który sam jeszcze potrzebuje nadzoru; a jeżeli i pozwoli, to może nikt nie zechce powierzyć mu dzieci swoich, nie ufając jego latom, że zatem przyjdzie miesiąc, dwa, a może i rok cały być bez stołu i stancyi, tułać się od kolegi do kolegi, i żyć okruszynami ich chleba, których mu przez przyjaźń i miłosierdzie udzielą. Ale z drugiej strony, gdy wspomniał, że będąc daleko młodszym i słabszym, w gorszych się jeszcze znajdował okolicznościach, a przecież Pan Bóg zesłał mu tak dobrego opiekuna, gdy przeszedł myślą kolegów swoich krzemienieckich, mało co od niego starszych, równie jak on biednych, nie mających nawet jego zdolności i nie ozdobionych medalem, a żyjących przecie z pracy, którą im zwierzchność szkolna zapewniła, przeżegnał się, pomodlił się w duchu i znacznie się uspokoił.

Z tej drogi, z tego zwątpienia wyleczył go zupełnie widok kilku żwawych i wesołych uczniów, którzy także w Dębowych karczmach

popasali. A gdy wkrótce nadjechała cała bryka pełna studentów, śpiewających i cieszących się, że jadać uczyć się i pracować, gdy między nimi poznał dwóch przyjaciół, z którymi nie jedną noc nad książką przesiedział, i którzy dowiedziawszy się o jego położeniu, śmiać się zaczęli z jego obaw i kłopotu, nabrał odwagi i wesoło wyglądał tej góry zamkowej, która zdala już zwiastuje miasto u stóp jej rozłożone.

Wkrótce przekonał się Tadeuszek, że w takich ciężkich chwilach, kiedy człowiekowi zdaje się, że wszystkie jego końce porwały się, zawsze je jakoś zwiąże szczery pacierz i dziecięce w opiece Boskiej zaufanie.

Gdy konie jadły owies, a studenci, których było z dziesięciu, zniósłszy razem zapasy, jakie kto jeszcze miał, otoczyli jeden ze stołów w ogromnej izbie gościnnej, i wesoło rozmawiając przyrządzali posiłek południowy, spostrzegli przez okno bryczkę na resorach.

— Jeszcze ktoś jedzie! — zawołał jeden.

— Zaczekajmy — rzekł drugi — może który kolega, zaprosimy go do siebie.

— Obaczymy, kto to? i kilku wybiegło do sieni, między nimi Józio i Tadeuszek.

Z bryczki wysiadła jakaś pani rumiana i przystojna, za nią wyskoczyło dwóch chłopców, pani wzięła za rękę młodszego syna, zwróciła się ku karczmie, i patrząc na młodzież tam stojącą, rzekła:

— To panowie wszystko studenci?

— Studenci — odpowiedział jeden.

— I panowie wszyscy do Krzemieńca jedziecie? — zapytała.

— Do Krzemieńca — odpowiedział drugi.

— Mój Boże! co tam tego musi być — rzekła kiwając głową.

— O! jest dużo! — zawołał trzeci.

— A i ja swoich jeszcze tam wiozę.

Wież pani, wież, zmieszczą się jeszcze — mówił inny.

W chwili, gdy nieznajoma z chłopcami weszła do karczmy, wjechała duża bryczka na dziedziniec, a w niej siedział jakiś szlachcic z dwoma synami w mundurach szkolnych. Uczniowie przypatrywali się przyjezdnym, rzekli jeden do drugiego: To jacyś nieznajomi, to nie Krzemieńczanie. Pójdźmy! tam na nas będą czekać — i wszyscy poszli do izby gościnnej, i otoczyli stół, wzięli się wesoło, pod prezydencją pana Karpińskiego, do spożywania różnych przysmaków, którymi ich matki opatrzyły.

Przy drugim, równie wielkim stole, siedziała przed chwilą przybyła pani Wołkowska z synami, spoglądała na dorodną i wesołą młodzież, z takim zajadającą apetytem, mustrowała swoich chłopców, którzy stojąc oparci o stół łokciami, i pootwierawszy gęby, przypatrywali się przyszłym swym kolegom i przysłuchiwali się ich rozmowie. Wtedy wszedł do pokoju szlachcic barczysty, z dużymi wąsami, w słomianym kapeluszu, w chałacie, bez chustki i kamizelki, ale z harapnikiem w rękę; za nim weszło w mundurkach dwóch dużych i niezgrabnych chłopca-

ków, z których wyższy przygarbiony, patrzył zyzem i w nosie dłuwał, a drugi mniejszy piegowaty, zdjął czapkę i drapał się w głowę, obrosła gęstymi i rudymi włosami.

Szlachcic spojrział na studentów, potem rzucił okiem na drugi stół, gdzie siedziała pani Wolkowska, i widząc, że tam miejsca dosyć, przybliżył się, na drugim jego końcu położył harapnik, przykrył go kapeluszem i ocierając pot z czoła, usiadł.

Studenci spoglądali na nowo przybyłego i jego niezgrabnych synków z uśmiechem, a Tadeuszek przysiadł się w kąciku za panem Karpińskim, żeby go nie bardzo było widać. Apetyt odpadł go i rumieńce znikły mu z twarzy.

— Czemu ty nie jesz, Tadeuszu? i coś błąd jesteś! — rzekł jeden z kolegów.

— Cicho! — odpowiedział chłopiec — jeżeli mnie kochacie, nie gadajcie do mnie i nie nazywajcie mię po imieniu. Powiem wam potem dlaczego.

Poznał biedny Tadeuszek i ów chałat, i ów harapnik. I czytelnicy poznali zapewne, że to nie był kto inny; tylko ów Goliat, któremy nasz mały Dawid oczy i gębę piaskiem zasypał. Po całych czterech latach, Tadeuszek wyrósł, zmężniał, odmienił się znacznie i przez mundurek, i przez wzrost swój nad wiek, i przez wyraz twarzy, której głowa i serce, przedwcześnie rozwinięte, inny nadawały charakter. Nie mógł go więc ekonom poznać, tem bardziej w towarzystwie kilkunastu kolegów, którzy i przez

strój i ułożenie, prawie wszyscy byli do siebie podobni. Ale Tadeuszek nie dowierzał tej zmianie, jakiej sam w sobie widzieć nie mógł, i niespokojny był i strwożony w duchu póty, póki się nie przekonał, że ekonom, który się im wszystkim przypatrywał, szczególnej uwagi na niego nie zwracał, i chociaż go dobrze widział, ani podziwieniem, ani innym znakiem nie okazał, aby go sobie przypomniał. To dodało odwagi chłopcu, i po kwandransie śmiertelnej obawy, wrócił mu humor i apetyt.

Tymczasem ekonom, wypiwszy dobry kieliszek wódki, który mu służąca z karczmy przyniosła, i rozwijając swoje zawiniątko z zapasami, rzekł do pani Wołkowskiej, która także krajała pieczoną kureę i rozdzielala jej kawałki pomiędzy swoich chłopców, dopominających się to o pępuszek, to o wątróbkę.

— A to pan swoich chłopców do Krzemieńca wieziesz?

— A do Krzemieńca — odpowiedziała. Ta nie wiem, proszę pana, gdzie ja ich tam ulokuję, i czy znajdę dobrego dyrektora.

— Tego tam nie brak — odpowiedział szlachcic mocno odchrząknawszy.

— A pan także swoich synów do Krzemieńca wiezie?

— Et! gdzie tam! ja ich wiozę napowrót do domu — odpowiedział szlachcic, — to dyabelska jama ten Krzemieniec.

— Oho! — krzyknął któryś z młodych przy drugim stole, i wszyscy podnieśli głowy,

jakby się gotowali bronić to miejsce, które każdy z nich, jak własny dom kochał.

— Nie oho! ale tak jest w rzeczy samej — odpowiedział ekonom, odchrząknawszy tak, że pani Wołkowska aż drgnęła. — Najpierw żydzi mnie tam zdarli, potem dobrze musiałem się nakrzyczeć, nim odebrałem zadatek, a na dobiitek w tych mądrych szkołach...

— W jakich? w jakich? — przerwało kilka głosów przy drugim stole.

Ekonom spojrział na nich i jeszcze głośniej chrząknął, a Tadeuszek, który tak go dobrze znał, rzekł do kolegów;

— Dajcie pokój, proszę was! niech sobie gada.

— Cóż to panu stało się w tych szkołach? zapytała po chwili pani Wołkowska. Bo to kiedy człowiek dzieci tam wiezie, to dobrze wszystko wiedzieć.

— To mi się stało, powiem pani, że cała moja podróż i ekspens na dyabła się nie zdały, choć zrobiłem czterdzieści mil drogi — odpowiedział ekonom sapiąc i poglądając na młodzież, z której jedni okazywali oburzenie, inni usłuchawszy Tadeuszka, szeptali tylko między sobą i ironicznie uśmiechali się.

— Dla czegoż to? proszę pana, — zapytała znowu pani Wołkowska. Bo to czterdzieści mil drogi! to nie palcem przekićwać. I jaki to ekspens! tem bardziej teraz, kiedy taka drożyzna na owies i siano nie urodziło. To żal!

— Zapewne, że żal! — rzekł ekonom, —

ale cóż, kiedy to tam taka wielka mądrość! Chłopcy moi byli już w trzeciej klasie w Niemirowie. Tam, ci durnie nie chcieli im dać promocyi. Więc przywiozłem ich tu, żeby ich oddać do klasy czwartej. Ale tu znowu, jak ich wzięli na jakiś egzamin, to nie chcieli ich nawet do pierwszej przyjąć, że czytać dobrze nie umieją.

Młodzież parsknęła ze śmiechu, a ekonom odchrząknawszy silniej, mówił dalej.

— Panowie śmieJCie się, a człowiekowi bieda. Tu nie ma z czego śmiać się.

— A czemużes pan — rzekł jeden z najstarszych studentów — swoich synów do tej pory czytać nie nauczył? Już im czas, spodziewam się.

— A po jakiegoż dyabła! — zawołał z gniewem ekonom — oddawałbym ich do szkół i płacił za nich tyle pieniędzy, gdyby już byli uczeni? Na to szkoła, żeby uczyła; moja rzecz zapłacić za stancję i stół. Ale to widać panowie profesorowie lubią już do gotowego, żeby darmo pieniądze brali.

— Profesorowie w Krzemieńcu — mówił tensam młody człowiek — robią to, co do nich należy; a panu daleko od tego, abys o nich sądził.

— E! mój panie — zawołał zaperzony ekonom — daleko i panu od tego, abys mnie rozumu uczył.

Wtedy Tadeuszek, widząc, że się zanosi na awanturę, mogącą krzywdę przynieść kolegom

szkolna do dozoru młodszych od niego uczniów
naznacza.

— Kiedy on taki młodziutki — rzekła —
nie musi mieć więcej jak piętnaście lat.

— Nie ma i tyle — odpowiedział przyja-
ciel Tadeuszka — czternasty rok kończy.

— Ach! szkoda, szkoda, że nie starszy.
Jabym go sama wzięła. Bardzo mi się spodobał!
Ale kiedy to jeszcze dziecko. A jak się nazywa?

— Nazywa się Tadeusz Sierota.

Na tem skończyła się rozmowa. Chłopcy
dali znać panu Karpińskiemu, że konie zaprę-
żone. Ten uklonił się pani Wołkowskiej, która
mu bardzo uprzejmie dygnęła, i obliczywszy się
z gospodynią, wyjechał.

W drodze opowiedział Tadeuszkowi treść
swej rozmowy. A gdy go sierota uwiadomił, że
tym szlachcicem był niegdyś jego przesładowca,
tem bardziej kontent był z odwagi chłopca,
która odwróciła zajście, mogące mieć zły koniec,
i zjednała mu matkę mającą dwóch malców do
ulokowania. Sądząc zaś, że może pani Woł-
kowska odstąpi od swojego uprzedzenia co do
wieku nauczyciela, i wspomni o nim prefektowi,
umacniał go nadzieją znalezienia zaraz miejsca,
i radził jutro rano pójść do zwierzchnika szkoły,
z prośbą o zapisanie go na listę kandydatów
do dozoru domowego, i poleceniem się jego
łasce i opiece. Tak więc Tadeuszek niecierpli-
wie wyglądał Krzemieńca.

W tym razie nadzieja nie zawiodła Tadeu-
szka, bo jeśli biedak nie mający co jeść, west-

chnie do Boga o chleb i pracę, i spodziewa się, że je otrzyma, taki zawsze otrzymuje więcej niż się spodziewa. Nadzieja jest prawdziwą matką i pocieszycielką dla sieroty, żądającej od świata tylko tego, co się każdemu stworzeniu boskiemu należy. Tadeuszek właśnie tego tylko żądał. Prosił on o chleb powszedni, o surducik, o bućiki, o kącik pod skromnym dachem, o świeczkę łożową, przy której mógłby się uczyć, spodziewał się, że to wszystko otrzyma, bo właściwie prosił tylko o pracę, i nadzieja ta, w uroczystej chwili powzięta, nie zawiodła go wcale. Już na trzeci dzień przyzwany był przez prefekta, który go pani Wołkowskiej zarekomendował.

Wszyscy trzej umieszczeni zostali u jakiejś poczciwej wdowy, która już od lat kilkunastu trudniła się utrzymaniem studentów na stancyi i stole, i Tadeuszek wziął się do tej nowej dla siebie pracy uczenia, z właściwą sobie energią. Przebył zdrowo i szczęśliwie cały rok szkolny tak, że i sam bardzo chlubnie skończył drugi kurs i chłopcy pani Wołkowskiej w klasie pierwszej, listy pochwalne otrzymali. Gdy matka przyjechała dla zabrania dzieci na wakacje, uściskała serdecznie piętnastoletniego guwernera, i prosiła go usilnie, aby i nadal dzieci jej nie odstępował i z niemi pojechał. Chociaż serce ciągnęło Tadeuszka do Kalinowa, nie chcąc jednak tracić miejsca, z którego był kontent, pojechał na wakacje ze swymi uczniami.

Następny rok przeszedł Tadeuszkowi równie pomyślnie, z tą jednak różnicą, że jego kolega,

Józio, który pomimo pilności nie mógł mu dorównać, zaczął rozwijać się umysłowo bardziej, i swego zdolniejszego kolegę doganiać. Ucieszyło to Tadeuszka niezmiernie, bo wiedział, jak postęp Józia ucieszy jego rodziców. Ze swojej strony pomagał mu, gdy Józio na jakie trudności natrafił.

Był zwyczaj w Krzemieńcu, że w takim razie, gdy się zdarzyło dwóch lub trzech uczniów na jednym kursie zasługujących na nagrodę, przyzywano ich na sesję zgromadzenia nauczycielskiego. Wówczas dyrektor objawił im, że jednogłośnie zdaniem zwierzchności szkolnej i wszystkich profesorów, uznani zostali za równych, tak co do postępów w naukach, jak i co do obyczajów, że Rada w przyznaniu im nagrody sama decydować nie może, ale zostawia to losowi, aby jednego z nich wybrał. Sesje te o nagrody odbywały się zwykle 28-go czerwca wieczorem. Wszyscy uczniowie wiedzieli, że się ich los rozstrzyga, i wszyscy znajdowali się przez cały czas trwania jej na galeryi przed gmachem szkolnym, przechadzając się i wyczekując z niecierpliwością wyniku obrad. Miło było patrzeć na tę dorodną młodzież w rozmaitych grupach snującą się, rozbierającą poważnie zasługę, wartość i zdolności każdego z kandydatów, których mogła naprzód już ukazać, a jednak nie pewną, czy się nie pomyli, ciekawą, jak trudność między kilkoma równymi rozstrzygniętą zostanie, i zainteresowaną tak, jak gdyby szło o los dalszego życia.

W takim właśnie położeniu znalazła się Rada Liceum na ostatniej swej tego rodzaju sesyi 28-go czerwca 1830 roku. Tadeusz Sierota i Józef Karpiński okazali się zupełnie równymi: nikt nie mógł żadnej między nimi znaleźć różnicy, żadnego zrobić zarzutu, coby szalę jednego z nich podniósł, a drugiego przeważył. Postanowiono więc wezwać ich, aby medal srebrny przeznaczony dla obu, jeden z nich ciągnął losem. Posłany szwajcar wszedł na galerię, młodzież w ten moment otoczyła go, a on zawołał głośno:

— Czy są tu między panami pan Tadeusz Sierota i pan Józef Karpiński?

— Są, są! — odezwali się koledzy, i kilka głosów w różnych stronach krzyknęło: Tadius! Tadius! — z innej strony: Józio! Karpiński! wzywają was.

— Ja mówiłem, — rzekł któryś z powagą, — że na tem się skończy. Będą ciągnąć losy.

I wynalazłszy obydwóch, sprawiedliwa młodzież kontenta, że się zdanie jej potwierdza, otoczyła ich, i ściskając i winszując, odprowadziła z tryumfem do drzwi sali. Gdy weszli, dyrektor powiedział im o co idzie, powinszował tak chlubnego świadectwa wszystkich uczących, i wezwał do wyciągnięcia losem nagrody przyznanej obydwom. Wtedy Tadeusz Sierota rzekł:

— Mam już jedną nagrodę, on nie ma żadnej, jeżeli panowie pozwolicie, to proszę, aby Józio otrzymał medal, na który równie zasłużył, będzie to wielka radość dla jego rodziców;

gdybym ich miał, dodał ze łzą w oku — możebym mu nie ustąpił — choć go Kocham jak brata.

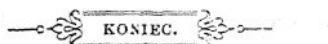
Wszyscy spojrzeli po sobie, i uśmiech ukontentowania ukazał się na ustach tych poważnych ludzi. Wszyscy więc skłonili się do jego prośby, a chociaż Józio z początku się opierał, gdy mu jednak zaczęto perswadować, że mu się medal należy, że Tadeusz dostanie świadectwo, że nie otrzymał medalu dla tego jedynie, że ustawa jeden tylko przeznaczyła, rzucił się rozrzewniony w objęcia Tadeuszka, i ustępstwo jego przyjął.

Wypadek ten rozgłosił się nazajutrz w całym miasteczku, gdzie wszystko, co się tyczyło szkoły, najżywszy obudziło interes, i Tadeuskowi ogromną zjednało reputację. Wszyscy koledzy ściskali go, i wychwalali jego znalezienie się, wszyscy obywatele starali się go widzieć i z nim pomówić; a gdy w czasie uroczystego aktu wezwano ich obu razem i wręczono jednemu medal, drugiemu świadectwo na medal, z krótkim całej okoliczności objaśnieniem, wszystkich oczy zwróciły się na pięknego i szlachetnego młodzieńca.

Wakacje przepędził w Kalinowie. Potrzebował odpocząć po całorocznej usilnej pracy, potrzebował nakarmić serce miłością ludzi dobrych i widokiem ich szczęścia, do którego się przyczynił.

I my rozstaniemy się już z Tadeuszem Sierotą. Może żal wam będzie! Może ciekawi

jesteście dalszych jego losów? Kiedyś gdy starsi będziecie, przeczytacie całość, z której wyjęłam dla was stosowną czastkę. O los poznanego młodzieńca możecie być spokojni; bo kogo prowadzi szlachetność i rozwaga, kto zasłużył sobie na miłość Boską i przyjaźń ludzką, ten przejdzie przez życie czysty, zatem szczęśliwy, nie splami czynem brzydkim swego sumienia.



OMYŁKI DRUKU.

<i>Strona</i>	16	<i>wiersz</i>	23: Klentyna	<i>czytaj:</i>	Klementyna.
«	26	«	12: Perè	«	Père.
«	34	«	1: jedną	«	jedną.
«	84	«	22: znaleźć	«	znaleźć.
«	89	«	8: przyszle	«	przysłe.
«	89	«	21: milczacego	«	milczącego.
«	89	«	28: rozparządził	«	rozporządził.
«	91	«	24: dsrektor	«	dyrektor.
«	99	«	17: tafić	«	trafić.
«	100	«	3: zabiawiać	«	zabawiać.
«	101	«	16: intaras	«	interes.
«	101	«	31: niebieskiem	«	niebieskim.
«	107	«	1: swoim	«	swojem.
«	109	«	10: nauczycielkiem	«	nauczycielskiem.
«	105	«	13: brybnać	«	bryknać.
«	121	«	7: szerek	«	szereg.
«	225	«	10: buźnice	«	bóźnicę.
«	139	«	3: Będzie	«	będzie.
«	148	«	7: pirogi	«	pierogi.
«	149	«	5: pobliskim	«	poblizkiem.
«	153	«	12: kszykiem	«	krzykiem.
«	168	«	29: podwładnych	«	podwładnym.
«	169	«	14: namietnikiem	«	namiestnikiem.
«	172	«	2: nie żywą	«	nieżywą.
«	180	«	16: każka	«	każda.
«	187	«	26: blisko	«	blizko.
«	206	«	13: żęsami	«	rżęsami.
«	208	«	32: chopczyki	«	chłopczyki.



